

EMILIA SZZANIECKA
1804 - 1896

URZĄD WOJEWÓDZKI W POZNANIU
WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI

BIBLIOTEKA
„KRONIKI WIELKOPOLSKI”

MAREK REZLER

EMILIA
SZZANIECKA

1804 - 1896

Wydawnictwo WBP

Poznań 1996

KOMITET REDAKCYJNY BIBLIOTEKI „KRONIKI WIELKOPOLSKI”

*Paweł Anders, Lena Bednarska (przewodnicząca), Krzysztof Kasprzak,
Czesław Łuczak, Edmund Makowski, Tomasz Naganowski, Zofia Płatkiewicz (sekretarz)*

Adres Redakcji:

Urząd Wojewódzki w Poznaniu

Wydział Kultury i Sztuki

ul. T. Kościuszki 93, pok. 131

61-716 Poznań

tel. 54 16 77, 54 10 71 w. 677, 52 43 40

Opiniodawca

Stanisław Nawrocki

Projekt okładki

Grzegorz Marszałek

Redaktor

Maria Zielińska

Redaktor techniczny

Henryk Gromadecki



ISBN 83-85811-36-2

Wydawnictwo WBP

60-819 Poznań, ul. Prusa 3, tel. 47 20 11

Wydanie I. Ark. wyd. 11,50. Ark. druk. 12,00.

WSTĘP

Burzliwy wiek XIX zaowocował niezwykle obszerną literaturą pamiętnikarską, tomami wydawnictw źródłowych i opracowaniami. Istotnie, był to czas wielkich przemian w Europie i na świecie, czas kształtowania się nowych mocarstw, innych niż wcześniej stosunków społecznych, gwałtownego przyspieszenia zmian gospodarczych, nowych wynalazków – ale też i niszczących wojen. Rodziły się z nich nowe państwa, budziły narody, lecz straty nimi wywołane musiały być uzupełniane przez kilka następnych pokoleń. Był to wiek pary, elektryczności oraz kolonii, zrodzony z burzliwej fali wojen napoleońskich i zakończony przygotowaniem do kolejnego, wyjątkowo krwawego konfliktu zbrojnego, który dał początek naszym czasom. Wiek XIX był ostatnim stuleciem romantyków.

Dla ziem polskich stulecie to było okresem trzech wielkich i kilku mniejszych powstań narodowych. Niemożliwy był rozwój spokojnie funkcjonującego kraju, który rozdzielony decyzją zaborców musiał ideę państwa zastąpić ustaleniem koncepcji przetrwania narodu. Każdy z zaborów miał własną drogę do niepodległości i dopiero dziś możemy stwierdzić, że wartościowanie zasług, klasyfikowanie wkładu w pracę niepodległościową było zabiegiem zbyt czynnym i niesłusznym. Inne warunki działania mieli nasi niepodległościowcy z zaboru pruskiego, inne powstańcy z Królestwa Polskiego i z Galicji. Specyfiką ziem położonych nad Wartą i Obrą po upadku powstania listopadowego stało się umacnianie świadomości narodowej drogą pracy organicznej – ale bez odżegnywania się od udziału w walce zbrojnej, gdy nadeszła taka potrzeba. Kilkadziesiąt lat wychowywania w podobnym duchu zaowocowało sukcesem powstania z lat 1918-1919.

Z problematyką zaangażowania poszczególnych grup ludności w działalność niepodległościową łączona jest sprawa roli kobiet w tej pracy. Z reguły eksponuje się zasługi pań, które walczyły o wolność z bronią w ręku (Emilia Plater, Henryka Pustowójtówna), niekiedy idealizując ich postacie, tworząc wokół nich legendę, niewiele mającą wspólnego z realiami epoki czy miejsca; takie zresztą było zapotrzebowanie jeszcze niedawnych dziesięcioleci. Tragizm naszych czasów sprawił, że w środowisku polskim z reguły wyżej ceniono zasługi na polu walki niż osiągnięcia w codziennej żmudnej pracy. Śmierć żołnierska w boju miała większy wydźwięk od systematycznego, długotrwałego w efektach trudu. Dopiero od niedawna zaczynamy cenić obydwie formy zaangażowania w działalności niepodległościowej – co na ziemiach zaboru pruskiego często łączyło się ze sobą.

Kobieta albo walczyła z szablą w ręku (i wtedy była ceniona wyżej, bardziej czczona), albo czekała w domu na walczących bohaterów modląc się, szykując środki opatrunkowe i wychowując następne pokolenia dla Boga, Ojczyzny – i kolejnego powstania. Bardzo mało było wśród nich przywódczyń i organizatorek, zresztą traktowanych przez otoczenie (zwłaszcza męskie) z przymrużeniem oka, nie do końca serio. Były jednak wśród nich panie, jak Klaudyna Potocka czy Klementyna Hoffmanowa, w pracę niepodległościową zaangażowane z siłą i efektami, które największych nawet sceptyków zmusiły do szacunku i... posłuchu.

W środowisku wielkopolskim z pewnością największą sławę zyskała panna Emilia Szaniecka, która z czasem zdobyła sobie pozycję nie do podważenia, stała się w regionie instytucją. Reprezentowała bardzo prężne środowisko patriotycznych ziemian, łączących obowiązki gospodarcze z działalnością narodową i społeczną. Oni to wspólnie z mieszczaństwem tworzyli środowisko szczególnie aktywne także w pracy narodowej, patriotycznej – nie zawsze tak wprost nazywanej.

Fenomen wielostronnej, wielokierunkowej aktywności Emilii Szanieckiej polegał również na długim czasie jej życiowej aktywności. Panna Emilia była świadkiem niemal całości wydarzeń dziewiętnastowiecznych w zaborze pruskim. Jako dziecko przeżyła epokę napoleońską, potem uczestniczyła w prawie wszystkich powstaniach tego czasu na ziemiach polskich, przed jej oczami przesunęło się kilka pokoleń rodaków i szereg różnych koncepcji rozgrywania sprawy polskiej w minionym stuleciu. Była świadkiem powstania Wielkiego Księstwa

Poznańskiego, a potem prowincji poznańskiej, przekształcania się Królestwa Pruskiego w Cesarstwo i tworzenia systemu politycznych gigantów, którzy w niespełna ćwierć wieku po jej śmierci ruszyły do dawno już oczekiwanej rozprawy. Życie Emilii Szanieckiej to zarazem obraz dziejów zaboru pruskiego, zwłaszcza Wielkopolski, w XIX wieku. W każdym etapie tych losów miała swój udział. Zatem nie od rzeczy będzie przypomnieć też okoliczności, w jakich Szaniecka działała.

Wpływ jednostki i mas na proces dziejowy jest jednym z najgoręcej dyskutowanych zagadnień historii. Jeszcze mniej udało się ustalić przypadków wpływu kobiety na rozwój krajów, społeczeństw, narodów. Jednak Emilia Szaniecka – to zabór pruski XIX wieku. Zatem spojrzymy na dzieje tej niezwykle niewiasty przez pryzmat losu jej stron ojczystych. Były to bowiem czasy równie burzliwe, skomplikowane i bohaterkie, jak wyjątkowa była ich regionalna, wielce zasłużona bohaterka.

W maju 1996 roku minie setna rocznica śmierci Emilii Szanieckiej. Niech ta skromna publikacja jej postać przypomni.

Rozdział I

MŁODOŚĆ

I PIERWSZE DOŚWIADCZENIA

Narodziny Emilii Sczanieckiej przypadły w schyłkowym okresie istnienia tak zwanych Prus Południowych – prowincji utworzonej w 1793 roku, po drugim rozbiórce Polski; jest to zarazem data przejścia Wielkopolski w granice monarchii Hohenzollernów. Nowe władze niemal od razu przystąpiły do wprowadzania swoich porządków: anulowano postanowienia Konstytucji 3 maja, wprowadzono niemiecki jako język urzędowy, mieszczanom unieważniono dotychczasowe przywileje, chłopów zaś szybko przywołano do porządku, rozwiązując ich problemów przenosząc w bliżej nie określonej przyszłość. Wszystkich objęto surowym reżimem podatkowym. Zmiany te były zbyt gwałtowne, by mogły się przyjąć bez zastrzeżeń w polskiej społeczności Wielkopolski, która początkowo zmianę władcy i podległości państwowej na ogół przyjęła dość obojętnie.

Nic więc dziwnego, że już w rok później, gdy w centralnej Polsce wybuchło powstanie dowodzone przez Tadeusza Kościuszkę, także Wielkopolska ruszyła do walki przeciw „swojemu” zaborcy. W sierpniu 1794 roku niemal cały region został opanowany przez powstańców, a gdy we wrześniu wkroczył tu korpus generała Jana Henryka Dąbrowskiego i Józefa Wybickiego, sukcesy te zostały utrwalone. Ostatecznie jednak klęska insurekcji zamknęła ten rozdział także w zaborze pruskim, choć walki trwały tu jeszcze w grudniu, gdy w centralnej Polsce strzały już ucichły. W następnym roku nastąpiła tragedia trzeciego rozbioru i Polska zniknęła z mapy Europy.

Administracja pruska, nauczona doświadczeniami z lat 1793 - 1794, początkowo złagodziła kurs obliczony na szybką asymilację nowej prowincji. Wkrótce jednak nastąpił powrót do dawnych metod, rozszerzonych o nowe działania, choć nie była to germanizacja w stylu końca XIX i początku XX wieku, lecz raczej dążność do wszechogarnięcia, wchłonięcia tych obszarów. Państwo pruskie sięgnęło wtedy aż poza Warszawę (utworzono tam tzw. Prusy Nowowschodnie) i aby ten potężny teren opanować administracyjnie, kulturowo i gospodarczo, należało postępować szybko i zdecydowanie, ale umiejętnie, jako że od 1795 roku połowę ludności państwa pruskiego stanowili właśnie Polacy. Działano przede wszystkim z myślą o przyszłości, starając się zgermanizować system kształcenia nauczycieli, kierując młodzież na studia w Niemczech i rozmieszczając rekrutów Wielkopolan w garnizonach stacjonujących poza zasięgiem języka polskiego. Państwo kontrolowało funkcjonowanie miast (dawne miasta królewskie utraciły swe znaczenie), radykalnie ograniczyło ich zasięg działania i wpływy, wreszcie zachowało, jedynie instytucjonalizując, system społeczno-gospodarczy na wsi. W tej sytuacji duża była rola szlachty polskiej – posesjonatów, która jednak została odgórnie zweryfikowana poprzez obowiązek przedstawienia swych dokumentów nobilitacyjnych. Znacznie się wtedy skurczyła owa niegdyś wszechmocna w Polsce warstwa społeczna (stan), ale ci, którzy pomyślnie przeszli przez sito weryfikacyjne i zachowali majątek, liczyć mogli na poparcie Berlina. Państwo pruskie opierało się na silnej administracji i uprzywilejowaniu szlachty, zatem przyszłych ziemian polskich starało się zjednać różnymi sposobami, przy równoczesnym braku gwarancji lojalności z ich strony. Wiek XIX był okresem próby dla tych ludzi; wydaje się też, że znacznie większy odsetek z nich (inaczej niż głoszono oficjalnie) spisał się gorzej, aniżeli dziś możemy sądzić. Tym większe było znaczenie tych rodów ziemiańskich, które w kolejnych pokoleniach miały przedstawicieli umiejętnie działających na rzecz polskości.

Jednym z takich silnych w Wielkopolsce rodów szlacheckich – później ziemiańskich – byli Sczanieccy herbu Osorya. Jak podaje Teodor Żychliński, nazwisko rodziny pochodzi od wsi Sczaniec (Szczaniec) koło Świebodzina; inna, zgermanizowana linia rodu nosi nazwisko od niemieckiej nazwy wsi: Stentsch. Osorya zaś to *ćwiartka kola złotego o trzech szprychach z dzwonem ku dolowi postawionem, w polu czerwonym, w szczycie trzy pióra strusie*. Pierwsze dokumenty, w których

pojawia się nazwisko Sczanieckich, sięgają XIII wieku – jeden z przedstawicieli tego rodu, Wojciech, kasztelan zbąszyński, w 1294 roku towarzyszył Przemysłowi II w Słupsku i Gdańsku. W XVI stuleciu z rodu wyodrębniły się linie Kurskich i Pieskowskich. Interesująca nas linia Sczanieckich od 1572 roku wywodziła się z Łagowca koło Międzyrzecza; jej protoplastą był Jerzy, żonaty z Urszulą Bukowiecką. Rodzicami Emilii Sczanieckiej byli Łukasz Sczaniecki (z siódmego pokolenia tej linii) oraz Weronika z Wyskota-Zakrzewskich, córka rotmistrza wojsk polskich, łowczego gnieźnieńskiego. Nie należy z tą linią łączyć osoby pułkownika Ludwika Sczanieckiego, żołnierza armii Księstwa Warszawskiego i powstania listopadowego, autora cennych dla historyka pamiętników, wykonawcy testamentu generała Jana Henryka Dąbrowskiego. Pochodził on z młodszej linii Sczanieckich, wywodzącej się od Jana, posła na sejm walny w 1649 roku.

W rodzinie Łukasza i Weroniki Sczanieckich przyszło na świat pięcioro dzieci: Stanisław, Konstanty, Nimfa, Kordula i Emilia. Podstawą utrzymania rodziny były głównie majątki: Brody, Wąsowo, Pakosław, Michorzewo, Michorzewko, Śliwno, Suchocin i Nietrzezanowo, a więc okolice położone na zachód od Poznania, między Bukiem, Nowym Tomysłem i Pniewami.

Emilia była trzecim z kolei dzieckiem; urodziła się 20 maja 1804 roku w Brodach. Wczesne dzieciństwo miała spokojne i szczęśliwe. Rodzina była zgodna i udana (szczególną rolę odgrywała tu babka Emilii, a matka ojca, Anastazja ze Skórczewskich), majątek zaś, umiejętnie zarządzany, przynosił dochody pozwalające na życie spokojne i w miarę dostatnie.

Pierwszy wstrząs, na razie tylko polityczny i gospodarczy, nastąpił po 1806 roku, gdy przez Wielkopolskę przechodziły oddziały zwycięskiego cesarza Francuzów, a później region stał się częścią nowo utworzonego Księstwa Warszawskiego. Radość ze zwycięskiego wyniku powstania przeciw Prusakom, a potem (jak przypuszczano) z odzyskanej niepodległości była jednak nieco przytłumiona ogromnymi ciężarami na rzecz wojska, a także obowiązkiem ciągłego dostarczania rekrutów do armii. Mała Emilka, wówczas zaledwie dwuletnie dziecko, nie mogła zrozumieć istoty zachodzących wydarzeń, jednak zaczęła się wówczas tworzyć atmosfera wcześniej tu nie spotykana, która dała początek nastrojowi towarzyszącemu polskim działaniom przez kilka następnych dziesięcioleci.

Całkiem świadomie już mała Emilia odebrała cios, jaki spotkał rodzinę w lipcu 1810 roku: śmierć ojca, Łukasza Sczanieckiego. Młoda wdowa, nie przygotowana do samodzielnego zarządzania majątkiem, znalazła się w trudnej sytuacji. Inicjatywę w rodzinie przejęła więc doświadczona i z natury energiczna teściowa. Anastazja Sczaniecka wydała też pierwsze dyspozycje dotyczące losu osieroconych dzieci. W rok po śmierci Łukasza Sczanieckiego rodzinna rada opiekunów podjęła decyzję o przenosinach pani Weroniki z czworgiem starszych dzieci do Poznania, dla umożliwienia ich edukacji.

Zamieszkało w domu przy Starym Rynku. Chłopcy rozpoczęli naukę w szkole departamentowej, a dziewczęta odbywały lekcje w domu pod kierunkiem guwernantek i przychodzących nauczycieli. Czas nie był spokojny, miasto współuczestniczyło w wielkich wydarzeniach tamtych lat. Mówiono już o ciągłych rekwizycjach na rzecz wojska i pobieraniu rekruta; dla Sczanieckich, ze względu na położenie ich majątków, były to powinności szczególnie uciążliwe. Potem były realia wojny 1812 roku, wreszcie opieka nad rannymi i chorymi, powracającymi z Rosji żołnierzami Wielkiej Armii. Pani Weronika Sczaniecka nie uchylała się od udzielania pomocy i można przypuszczać, że dla ośmioletniej wtedy Emilii była to pierwsza możliwość oglądania żołnierskiego nieszczęścia. Dzieci dojrzewały wtedy znacznie wcześniej niż dziś i szybciej rozumiały sens zachodzących wydarzeń, ale jednak wątpliwe, by doświadczenie z lat 1812 - 1813 miało decydujący wpływ na jej dalsze poczynania.

Mimo emocjonujących wydarzeń w mieście, a później wkroczenia okupacyjnych wojsk rosyjskich, edukacja rodzeństwa Sczanieckich po krótkiej przerwie potoczyła się dawnym trybem. Jesień 1813 roku była momentem przełomowym dla Emilii i jej starszej siostry Nimfy: zgodnie z życzeniem babki Anastazji rozpoczęły naukę na pensji żeńskiej kierowanej przez Jana Samuela Kaulfussa.

Kaulfuss był jedną z największych indywidualności w pedagogicznym świecie ówczesnej Wielkopolski. Pochodził z rodziny niemieckiej, lecz silnie czuł się związany z tradycją i kulturą polską. Był to czas, gdy jego rodak, Samuel Bogumił Linde, zaczął wydawać pierwszy słownik języka polskiego, on sam zaś napisał rozprawę *o pięknościach języka polskiego pod względem dramatycznym*. Kaulfuss należał do Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, był poważany i miał duży autorytet – nie tylko wśród uczniów. Obydwie panny Sczanieckie prze-

chodziły w jego zakładzie edukację wszechstronną, obejmującą znajomość czterech języków (polskiego, niemieckiego, francuskiego i włoskiego), a także przyrodę, rysunki, malarstwo i urządzenie mieszkań, roboty ręczne i naukę muzyki. Tak wtedy kształcone były panny z tak zwanych dobrych domów.

Na pensji Kaulfussa Emilia i Nimfa zetknęły się z Janem Wilhelmem Kassyszem, nauczycielem historii i literatury polskiej. Ów utalentowany pedagog i szczerzy patriota polski wywarł wielki wpływ na osobowość obydwu dziewcząt. Bardzo żywo reagował na wydarzenia zachodzące w kraju i w mieście, a swoje zajęcia niekiedy aktualizował, zamieniając lekcje w niemalże patriotyczne posiedzenia polskie – jak jesienią 1813 roku, gdy uczył w ten sposób pamięć poległego pod Lipskiem księcia Józefa Poniatowskiego. Z czasem jednak ten szlachetny człowiek został zmuszony przez władze pruskie do odejścia ze szkoły i powrotu na zajmowane wcześniej stanowisko pastora ewangelickiego w Orzeszkowie. W sierpniu 1814 roku obydwie siostry były świadkami uroczystego przemarszu przez Poznań konduktu wiozącego do kraju szczątki księcia Józefa.

Cały okres istnienia Księstwa Warszawskiego (lata 1807-1815) wywarł wielki wpływ na kształtowanie osobowości Szczanieckiej. Był to bowiem czas szczególny w dziejach ludności polskiej, która żyła w swoistej „gorączce” emocjonalnej, wynikającej z radykalizmu zachodzących przemian. Do przejawów niepodległości, takich jak własny rząd, wojsko, stolica, polski język urzędowy, dochodziło jednak poważne obciążenie gospodarcze na rzecz armii polskiej i wojsk sprzymierzonych – zwłaszcza wojska francuskiego. Z jednej strony więc upragniona wolność, z drugiej upokarzające, wasalne stosunki między rządem Księstwa Warszawskiego a władzami napoleońskimi. Panowała też silnie patriotyczna atmosfera, poparta odpowiednią, typową dla tamtych czasów, retoryką. W takich nastrojach wyrastała najpierw kilku-, a potem kilkunastoletnia dziewczynka, z natury i tak już wrażliwa, nie obojętna na otaczające zjawiska. Wrażenie czasów było spotęgowane działaniem wychowawców w szkole, którzy kształtowali świadomość narodową i patriotyczną uczniów. Tak rodziły się umysły przyszłych powstańców listopadowych, działaczy organicznikowskich, pierwszych dowódców i żołnierzy *najdłuższej wojny*

nowoczesnej Europy. Kto w dzieciństwie wzrastał w atmosferze patriotycznej, w tym kierunku był też kształtowany przez dom rodzinny i szkołę – ten z reguły wpojone zasady zachował już do końca życia.

Rok 1815 zapoczątkował nowy etap dziejów ziem polskich. Po stanowieniach kongresu wiedeńskiego powołano Wielkie Księstwo Poznańskie, Królestwo Polskie i Rzeczpospolitą Krakowską, w każdym z tych państw tworząc namiastkę i wrażenie autonomii. Zmęczenie ciągłymi wojnami okresu napoleońskiego i narodowa retoryka stosowana przez głównych polityków zwycięskiej koalicji sprawiły, że ludność polska początkowo potraktowała kolejne zmiany jako etap na drodze ku niepodległości. Szczególną estymą cieszył się car Aleksander I; to na jego cześć Alojzy Feliński napisał pieśń *Boże coś Polskę*, zaś Karol Kurpiński skomponował wspaniałego poloneza *Witaj królu...*

Podobnie, choć nie tak samo, wyglądała sytuacja w Wielkim Księstwie Poznańskim. Formalnie na czele państewka stał namiestnik reprezentujący osobę króla. Był nim książę Antoni Radziwiłł – człowiek wielkiego umysłu i wysokiej kultury, uczciwy Polak, który jednak w swych działaniach był krępowany oczekiwaniami dworu berlińskiego i politycznie ubezwłasnowolniony. Reprezentował kurs obliczony na pojednanie polsko-pruskie i od samego początku swego urzędowania, od czerwca 1815 roku, starał się pozbawić Polaków złudzeń, choć czynił to bardzo kulturalnie i taktownie. Ostatecznie jednak Radziwiłł, chcąc uniknąć dalszych upokorzeń związanych z koniecznością ustępowania przed żądaniem Berlina, coraz mniej skłonnego do koncesji na rzecz ludności polskiej, odsunął się w cień, zajął się sprawami związanymi z kulturą, sztuką, popieraniem nauki. Na tym stanowisku też wielce się zasłużył jako mecenas artystów (m.in. Fryderyka Chopina) i zdolniejszej młodzieży; w trudnej sytuacji pomógł też Karolowi Marcinkowskiemu.

Znacznie większe znaczenie miał w Księstwie naczelnny prezes prowincji, od 1831 roku niemalże wielkorządca i wykonawca bieżących wytycznych otrzymywanych z Berlina, zwierzchnik administracji. W czasach względnie umiarkowanego kursu wobec ludności polskiej, w latach 1815-1824, stanowisko to piastował Józef Zerboni di Spocetti, człowiek życzliwy Polakom, ale i oddany władzy; później funkcję tę przejął znacznie mniej z nami sympatyzujący Johann F. von Baumann. Oficjalnie deklarowano życzliwość wobec ludności polskiej i gotowość poszanowania jej praw autonomicznych. Jednak równo-

częśnie odpowiednio zreorganizowano system zarządzania prowincją, jej administrację, sądownictwo i nauczanie w szkołach, stopniowo wprowadzając uprzywilejowanie struktur pruskich i języka niemieckiego. Odstąpiono też od projektu tworzenia odrębnej polskiej formacji wojskowej w Księstwie. W 1822 roku odeszli z pracy w szkołach J.S. Kaulfuss i J.W. Kassysz, potem Józef Muczkowski. Z drugiej strony był to okres aktywności tajnych polskich związków młodzieży, formą zbliżonych do podobnych organizacji działających w Królestwie Polskim. W 1822 roku nastąpiły aresztowania wśród polskich studentów w Berlinie, działających w kółku patriotyczno-samokształceniowym „Polonia”; byli wśród nich Karol Marcinkowski i Antoni Koszutski. Pułkownik Ludwik Szaniecki zorganizował filię Wolnomularstwa Narodowego (rozbitego aresztowaniami po 1825 roku), do patriotycznych demonstracji wykorzystano m.in. obchody żałobne po śmierci Tadeusza Kościuszki i Jana Henryka Dąbrowskiego.

Lata umiarkowanego kursu wobec ludności polskiej (1815-1830) dla obydwu pańien Szanieckich rozpoczęły się pod znakiem nauki w szkole. Był to również okres ujawnienia się zapatrywań i postawy 11-letniej Emilii. W końcu maja 1815 roku dziewczynka ostentacyjnie odmówiła udziału w uroczystościach powitania wojsk pruskich wkraczających do Poznania. Podobnie zaprotestowała w związku z ceremonią zamiany godeł z polskich na pruskie na frontonie ratusza w czerwcu tegoż roku; doszło nawet wtedy do interwencji kierownictwa szkoły u babki Emilii. Nieprzypadkowo na doroczny popis szkolny w 1815 roku Szaniecka wybrała recytację fragmentu *Śpiewów historycznych* Juliana Ursyna Niemcewicza.

Po zamknięciu pensji Kaulfussa Nimfa i Emilia Szanieckie rozpoczęły naukę w zakładzie państwa Trimaille, a później przeszły do żeńskiej szkoły Reida; dołączyła tam do nich młodsza siostra Kordula. Dziewczęta zajmowały się nie tylko nauką. Poznawały świat, zaczęły bywać w otoczeniu osób zajmujących w Księstwie eksponowaną pozycję, nawet na dworze samego księcia namiestnika, wśród rówieśnych im dzieci Radziwiłłów. Były też zaangażowane w obchodzie żałobnym ku czci Tadeusza Kościuszki w grudniu 1817 roku. Już wkrótce, w czerwcu roku następnego, Emilia uczestniczyła w uroczystym pogrzebie generała Dąbrowskiego w Winnej Górze.

Ciężkim ciosem dla 14-letniej Emilii była śmierć matki w sierpniu 1818 roku. Znów inicjatywa w rodzinie przeszła w ręce babki

Anastazji, która przejęła opiekę nad gromadką osieroconych dzieci. Rada rodzinna zaakceptowała jej decyzję: Konstanty i Stanisław mieli kontynuować naukę u Kassjusza (i mieszkać w jego internacie), natomiast dziewczęta miały zamieszkać w Wąsowie u Anastazji Szanieckiej i pobierać lekcje u specjalnie zaangażowanej guwernantki. Nimfa podporządkowała się tej decyzji, natomiast Emilia zaprotestowała. Już wcześniej zdarzało się jej wyrażać chęć dalszej nauki poza domem, teraz już oficjalnie przeciwstawiła się postanowieniom babki i bezskutecznie próbowała ją nakłonić do udzielenia zgody na kontynuowanie nauki w Poznaniu. Z drugiej strony jednak, przy całym konserwatyźmie poglądów pedagogicznych, pani Szaniecka bardzo dbała o patriotyczne wychowanie wnuków i to w typowej dla tamtej epoki, ostentacyjnej formie. Emilia szczególnie angażowała się w lekturę, inscenizacje o charakterze narodowym i deklamacje – zwłaszcza *Śpiewów historycznych* Niemcewicza. Nadal jednak myślała o dalszej edukacji, której nie mógł jej zapewnić pobyt w Wąsowie.

Wiosną 1819 roku pojawiła się okazja realizacji marzeń. Podczas pobytu w Poznaniu Emilia spotkała się z J.W. Kassyuszem, który ukierunkował dalsze poczynania dziewczynki. Szaniecka z pominięciem „drogi służbowej”, czyli osoby babki Anastazji, złożyła stosowną petycję wprost w Opiece Sądowej. W owych czasach taki akt niesubordynacji ze strony kilkunastoletniej panny był niesłychany, lecz Emilia osiągnęła swój cel dzięki talentom dyplomatycznym radcy sprawiedliwości Hiacynta Zakrzewskiego (wuja dziewczynki) oraz interwencji Kassjusza. Ostatecznie rada rodzinna postanowiła ulokować Emilię i Kordulę na pensji Laforgue'ów w Dreźnie.

Stolica Saksonii była w tym czasie ośrodkiem skupiającym wiele polskich rodzin ziemiańskich, co niewątpliwie podtrzymywało więź między Dreznem a ziemią polskimi jeszcze z czasu rządów Wętynów w Rzeczypospolitej. Berlin, Drezno i Wrocław stały się z czasem ośrodkami grupującymi szczególnie silną Polonię, reprezentującą określony, dość wysoki poziom intelektualny. Na ziemiach zaboru pruskiego nie było wtedy uniwersytetu, więc młodzież polska (o ile mogła sobie na to pozwolić) wyjeżdżała głównie do tych miast. Później duży ośrodek polski, lecz o proletariackim charakterze, powstał w Westfalii, dokąd przybywali robotnicy do pracy w kopalniach, a do

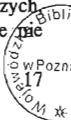
Saksonii („na saksy”) zaczęli przyjeżdżać polscy robotnicy rolni. W pierwszej połowie XIX wieku jednak wybierano się głównie do Berlina, Wrocławia i Drezna – po naukę.

Panny Szanieckie od razu znalazły się w dobrym towarzystwie koleżanek i kolegów ze znanych wielkopolskich rodów ziemiańskich: Turnów, Mycielskich, Bojanowskich. Drezno, miasto wówczas imponujące rozmachem, kulturą i światowością, przyciągało także Polaków z terenu objętego granicami Królestwa Polskiego. Niezbyt chętnie Prusom władze Saksonii przychylnym okiem patrzyły na sędziwych powstańców Kościuszki, legionistów Dąbrowskiego i dawnych wiarusów napoleońskich, którzy na ulicach i w salonach Drezna w licznym polskim towarzystwie czuli się doskonale. Ci ludzie kształtowali też opinię i zapatrywania panien Szanieckich, swoją osobą potwierdzali wiadomości, a także kierunek wychowania przyjęty w Brodach, Wąsowie i Poznaniu. Emilia i Kordula spotkały tam m.in. generała Karola Kniaziewiczza i Tadeusza Tödwena.

Pensja Laforgue'ów należała do najbardziej cenionych zakładów tego typu w Dreźnie. Dziewczęta w zasadzie kontynuowały styl kształcenia przyjęty na pensjach Kaulfussa i Trimaille'ów z tym, że z oczywistych względów nie było w nim elementów narodowych. Uczono systemem „ogólnokształcącym”, z położeniem szczególnego nacisku na obycie towarzyskie, co było bardzo istotne w Dreźnie, które w porównaniu z dość prowincjonalnym Poznaniem było metropolią i dawało jaki taki pogląd na wielki świat. Z tego okresu pozostała Szanieckiej doskonała znajomość francuskiego, jako że wszystkie zajęcia u Laforgue'ów odbywały się w tym języku. A co więcej, już do końca życia zdarzało się jej (zwłaszcza w piśmie) stosować składnię francuską, co w niektórych środowiskach różnie było przyjmowane.

Pobyty w Dreźnie umocnił też Szaniecką w patriotycznej ocenie realiów kraju. W Królestwie Polskim i w Galicji, a także w Poznańskim oficjalne władze jak tylko mogły, unikały eksponowania polskiej symboliki narodowej. Tu miała jej Emilia pod dostatkiem, zarówno wśród rodaków, jak w licznych muzeach, bibliotekach i galeriach stolicy Saksonii.

Był to zarazem czas pierwszych kontaktów Szanieckiej z polską konspiracyjną działalnością niepodległościową. W dziejach Polski czasu rozbiorów wystąpił fenomen powstań narodowowyzwoleńczych akcentujących życie każdego kolejnego pokolenia, które jeszcze



zaznało klęski w walce zbrojnej. Na początku lat dwudziestych XIX wieku dorastały już dzieci powstańców kościuszkowskich i żołnierzy Napoleona – ich synowie właśnie rozpoczęli działalność konspiracyjną na ziemiach polskich. Centralą tego ruchu było Królestwo Polskie, w którym zaczęły powstawać organizacje działające pod szyldem bardzo w tych czasach modnej masonerii. Tak powstało Wolnomularstwo Narodowe, które miało swoją odmianę w Wielkim Księstwie Poznańskim, kierowaną przez pułkownika Ludwika Szanieckiego. W 1820 roku z organizacji tej wyłonił się Związek Kosynierów ze Stanisławem Mielżyńskim, Janem Nepomucenem Umińskim i Adamem Morawskim na czele. Z czasem Umiński przejął kierownictwo Związku i nawiązał kontakt z warszawskim Towarzystwem Patriotycznym Waleriana Łukasińskiego.

Klęska powstania dekabrystów w 1825 roku w Rosji zapoczątkowała falę aresztowań także na ziemiach polskich. Doszło wtedy do rozbicia Towarzystwa Patriotycznego, a w Poznańskim – Związku Kosynierów. Był to już czas stopniowego ograniczania autonomii Wielkiego Księstwa Poznańskiego pod kierunkiem nowego naczelnego prezesa prowincji, Johanna F. von Baumanna. W sejmie stanowym coraz częściej zachodziła konieczność wystąpień w obronie praw języka polskiego, z czego zasłynął pułkownik Andrzej Niegolewski, dawny szwoleżer spod Somosierry. W ciągu wielu następnych lat właśnie sejm prowincjonalny był głównym ośrodkiem walki o zachowanie tożsamości narodowej Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Własne tajne związki miały środowiska młodzieżowe. W Królestwie Polskim utworzono m.in. koła filomatów i filaretów, Stowarzyszenie Przyjaciół, czyli „Panta Koina” („Wszystko Wspólne”), w Berlinie zaczęły powstawać organizacje studenckie, takie jak „Arminia”, Stowarzyszenie Polskie, a od marca 1819 roku – Związek Polski kierowany przez Cypriana Jarochońskiego. Z czasem owa w pełni jawna organizacja przekształciła się w tajny związek pod nazwą „Polonia”. W ogólnym zarysie realizowano tu program filomatów, filaretów i Promienistych, ideę odrodzenia Polski łączono samokształceniem i krzewieniem kultury narodowej. Podobne organizacje powstały na innych uczelniach Prus i Austrii, które miały Polaków między studentami. Było w tym sporo szczerego patriotyzmu, woli walki o przetrwanie narodowe, ale też i wiele młodzieńczej naiwności, z typową dla romantyzmu przesadną egzaltacją połączoną z brakiem doświadczenia

w konspirowaniu. W działalności „Polonii” zaangażowany był brat Emilii, Konstanty Szaniecki, zarazem słuchacz korepetycji, a później bliski kolega przyszłego czołowego aktywisty tej organizacji, Karola Marcinkowskiego. Można zatem przypuścić, że wtedy właśnie, około 1820 roku, coraz częściej zaczęły krzyżować się drogi życiowe Emilii Szanieckiej i przyszłego wodza duchowego poznańskich organiczników.

W tym czasie zaszły poważne zmiany w rodzinie: we wrześniu 1820 roku Nimfa Szaniecka wyszła za mąż za Antoniego Łackiego i zamieszkała w Chraplewie; w przyszłości ów dwór chraplewski odegrał ważną rolę w życiu panny Emilii. Na razie trzeba było jednak wracać do Dreżna. Tam zastała ją wiadomość o aresztowaniach wśród członków „Polonii”, przeprowadzonych przez policję pruską w lutym i marcu 1822 roku. W więzieniu znaleźli się m.in. Ludwik Koehler i Karol Marcinkowski, na pewien czas zatrzymano też braci panny Emilii. W czasie wakacji letnich, w lipcu, Szaniecka znajdowała się wśród rodzin odprowadzających podsądnych, wywożonych do twierdzy w Wisłoujściu.

Bardzo ważny w życiu Emilii Szanieckiej był rok 1823. Ukończyła edukację w Dreźnie, zdobyła wykształcenie i obycie odpowiednie dla swej pozycji, pod względem inteligencji i wiedzy ogólnej miała wyraźną przewagę nad niejedną ze swych rówieśnic; wiele z nich już zresztą od paru lat było żonami i matkami. Stopniowo też panna Emilia zaczęła przygotowywać się do roli właścicielki majątku, jako że nadchodziła pora podziału schedy po rodzicach pomiędzy dorosłe już dzieci. Wkrótce rada opiekuńcza zdecydowała, że Konstanty otrzyma Brody (po śmierci pani Anastazji miało mu przypaść w udziale również Wąsowo), Emilia: Pakosław, Michorzewo i Michorzewko, Stanisław: Głuponie, Kordula: Śliwno i Łagowiec, zaś Nimfa – Chraplewo.

Moment do przejmowania majątku nie był korzystny. Większość właścicieli wciąż odczuwała skutki wojen z początków stulecia, ponadto w kwietniu 1823 roku zniesiono pańszczyznę, co zmuszało do zmiany systemu gospodarowania. Istniało więc niebezpieczeństwo przechodzenia w ręce niemieckie tych majątków polskich, których właściciele nie dawali sobie rady i nie byli w stanie płacić długów. Szanieccy, na razie przynajmniej, takich problemów nie mieli. Najlepiej sytuowany był Antoni Korzbok-Łacki, mąż Nimfy Szanieckiej, który w przyszłości stał się też właścicielem pałacu w Posadowie. Miał

on także kamienicę w Poznaniu przy ul. Wilhelmowskiej (obecnie al. Marcinkowskiego, koło siedziby dowództwa pruskiego V Korpusu), zarazem w razie potrzeby pełniącą funkcję domu gościnnego dla osób z obydwu rodzin. W przyszłości dom ten miał przejść do historii: na jego miejscu stanął gmach poznańskiego „Bazaru”.

Szaniecka nie od razu przystąpiła do zajęć gospodarskich, można wręcz odnieść wrażenie, że nie były to dla niej prace pociągające. Prowadziła bogate życie towarzyskie, typowe dla dobrze sytuowanej, inteligentnej panny. Jeździła do modnych wówczas kurortów, czyli „do wód” w Karlsbadzie (Karlove Vary) i Marienbadzie, czyli Mariánských Láznach. Zjeżdżało się tam znakomite towarzystwo ze wszystkich trzech zaborów i z całej Europy, nawiązywano kontakty towarzyskie i przyjacielskie, a w miarę narastania napięć międzynarodowych owe wyjazdy na kurację stawały się doskonałą okazją do przekazywania konkretnych informacji, a także spotkań emisariuszy. Jednak przed 1830 rokiem Karlsbad i Marienbad były głównie ośrodkami życia towarzyskiego ówczesnej Europy, miejscem powstawania licznych ploteczek, sensacji i skandali. Szaniecka poddała się urokowi miejsca, środowiska, przebywających tam znakomitości. Swoim zachowaniem i działaniami nie odbiegała zbytnio od całego towarzystwa – a że była inteligentna, ładna i obyta, miała powodzenie. Takich młodych Polek było tam wtedy więcej, zatem nie wyróżniała się szczególnie na ich tle.

Przełomem było uzyskanie w Karlsbadzie wiadomości o trudnym położeniu Greków walczących przeciw tureckiej niewoli. Niewątpliwie był to rezultat kilku okoliczności, zwłaszcza odzew na pojawienie się aktywnego ruchu liberalno-burżuazyjnego, który przez kilka następných dziesięcioleci kształtował rozwój wydarzeń politycznych na kontynencie. Z pewnością też ogromną rolę odegrały tu czasy romantyzmu, z ich specyficzną atmosferą, i ogromne zaangażowanie się w sprawę grecką największego poety angielskiego tamtych czasów, George’a Byrona. Wtedy to pojawił się fenomen kultu dla zaangażowania kobiet w walkę narodowyzwoleńczą. Trudno stwierdzić (za D. Wawrzykowską-Wierciochową), czy istniała kontynuacja więzi duchowej między grecką Bubuliną z 1822 roku a naszą Emilią Plater i Henryką Pustowójtówną; wydaje się, że w warunkach wciąż zmieniających się okoliczności jest to porównanie idące zbyt daleko. Faktem jest, że wtedy właśnie, w pierwszej połowie XIX wieku, rozpoczął się proces



1. Emilia Szaniecka około 1827 roku

stopniowej zmiany roli kobiety w społeczeństwie. Najpierw było to angażowanie się w działalność charytatywną, trochę także propagandową, a później próba uczestnictwa niewiast w coraz liczniejszych formach działalności, dotychczas będących domeną mężczyźni. Jak zwykle bywa w takich przypadkach, zaczęły się pojawiać zjawiska skrajne w swej wymowie, gdy kobiety widywano w czasie powstań z bronią w ręku na polu walki. Odpowiednio rozreklamowane, otoczone sentymentalną, romantyczną aurą bohaterstwa, często były przeceniane; mimo że na ogół nie sprawdzały się w boju, ze względu na płeć stawały się bohaterkami. Ich przykład miał oddziaływać (i oddziaływał) na tę część męskiej społeczności, która dotychczas nie zdradzała zbytniego zapału w zbrojnej walce o wolność. Dziś z perspektywy czasu trzeba stwierdzić, że udział kobiet w powstaniach narodowych w szeregach żołnierskich miał znaczenie bardziej propagandowe niż bojowe. Jednak w tamtych czasach traktowano te sprawy zupełnie inaczej, bardziej emocjonalnie, z większą też egzaltacją.

Szczegóły zaangażowania Emilii Sczanieckiej w udzielaniu pomocy walczącym Grekom są dziś bardzo trudne do ustalenia. Z apologetycznego opracowania Józefa Straszewicza o powstańcach listopadowych (wydanego w Paryżu w 1832 roku) można się dowiedzieć, że utworzyła Komitet Pomocy Grekom, jednak prawie nic o tej organizacji nie wiemy, zwłaszcza że w zaborze pruskim nie było mowy o legalnym funkcjonowaniu takiego towarzystwa. Jeżeli nawet taka organizacja powstała, to zajmowała się głównie gromadzeniem funduszy i medykamentów. Również informację Kazimierza Morawskiego, jakoby Sczaniecka w przewidywaniu kierunku swej dalszej pracy charytatywnej zaczęła się fizycznie i duchowo do niej przygotowywać, wypada ocenić bardziej jako wyraz ówczesnej mody i tendencji, niż realnej oceny możliwości. Panna Emilia dość wcześnie nauczyła się praktycznego podejścia do podejmowanych przedsięwzięć i rzadko decydowała się na działanie bez perspektywy uzyskania konkretnych efektów lub przydatności. Wydaje się, że zauroczeni jej osobą autorzy czynią ze Sczanieckiej osobę bardziej romantyczną, niż była taką w istocie. Z pewnością idee owej burzliwej epoki znalazły swe odbicie w mentalności żyjących wtedy ludzi, a więc i panny Emilii, jednak typowy dla romantyzmu idealizm u Sczanieckiej był przesłonięty konkretami, praktycznością rozumowania i czynu. Cecha ta utrwałała się u niej w miarę upływu czasu, gdy zajęta prowadzeniem domu, majątku,

rozlicznymi inicjatywami społecznymi czy patriotycznymi, nie miała ani czasu, ani „głowy” do irracjonalnych koncepcji w rodzaju choćby idei krzewionych przez Andrzeja Towiańskiego. Z pewnością trudno ją zaliczyć do tradycyjnych bohaterów romantycznych.

Jest to sprawa szczególnie ciekawa na tle ówczesnej mody na nieszczęśliwe miłości. Społeczność salonowa ówczesnych Prus i Wielkiego Księstwa Poznańskiego pasjonowała się wtedy losami uczucia między córką księcia namiestnika Elizą Radziwiłłówną i następcą tronu Wilhelmem Hohenzollernem, przyszłym cesarzem Wilhelmem I. Do mariażu nie doszło z przyczyn politycznych i w wyniku interwencji Rosji, która obawiała się odrodzenia sprawy polskiej w razie objęcia przez Wilhelma tronu pruskiego. Nie były to czcze obawy, jako że Antoni Radziwiłł, mimo swoistej naturalizacji w rodzie panującym, traktowany był podejrzliwie i nieufnie, zwłaszcza że nie odciął się od swych polskich korzeni. Podobnych emocji ze świata tzw. wyższych sfer było wtedy bardzo dużo; takie były czasy i tacy ludzie owej epoki. Im niżej w strukturze społeczeństwa, tym sprawy te były załatwiane bardziej stanowczo i prozaicznie, a ewentualny dramat osobisty pozostawał ukryty w zamkniętym kręgu danej rodziny (bądź rodzin).

Pojawia się tu problem etyczny, rzadko zauważany przez osoby zajmujące się biografistyką: jak dalece historyk może sobie pozwolić na publiczne ujawnienie (w mowie lub piśmie) intymnych szczegółów życia analizowanej postaci? Sprawa jest o tyle istotna, że te właśnie aspekty życia danej osoby są dla odbiorcy najbardziej atrakcyjne, bywa że są źródłem sensacji. Na sensacji najwięcej można zarobić, zatem pojawia się tu bardzo ważny problem etyczny: czy od tej strony jednakowo należy traktować zarówno ludzi nam współczesnych, jak postaci żyjące kilkadziesiąt czy kilkaset lat temu? Czy dany ktoś, gdyby żył, byłby zachwycony wyciąganiem na światło dzienne jego spraw najbardziej osobistych, intymnych, przeznaczonych wyłącznie dla jednej – dwu osób? Jak dalece można sobie pozwolić na ujawnianie prywatnych spraw opisywanych postaci z przeszłości, by nie przekroczyć granicy taktu, dzielącej historyka od bezceremonialnego poszukiwacza taniej sensacji? Wydaje się, że istnieje określony zakres tematów i spraw, które na zawsze powinny już pozostać własnością tylko i wyłącznie osób zainteresowanych; jeżeli chcemy, by uszanowano naszą prywatność, bądźmy lojalni także wobec tych, którzy już się bronić i replikować nie mogą.

Ten właśnie problem pojawia się przy okazji analizowania sprawy wzajemnych kontaktów między Emilią Szaniecką i Karolem Marcinkowskim. Były to postacie wielce znaczące w dziewiętnastowiecznej Wielkopolsce, więc kolejni ich biografowie w różny sposób próbowali tę zagadkę rozwiązać i zinterpretować. A wiemy o tej sprawie niewiele. Przypuszczalnie, jak wspomniano, obydwójce poznali się około 1820 roku w Wąsowie, gdzie Marcinkowski bywał jako korepetytor braci Szanieckiej. Potem spotykali się często u Nimfy Łackiej i w Brodach, u Konstantego Szanieckiego. Zawód lekarza wymagał ruchliwości i wysiłku, ale też dawał koneksje wśród wdzięcznych (często ustosunkowanych) pacjentów, co też i Marcinkowski skwapliwie wykorzystywał zarówno w trakcie ustalania wysokości należnego mu honorarium, jak i podczas uzgadniania szczegółów kolejnych inicjatyw społecznych. Okazji do spotkań ze Szaniecką też miał sporo przy wzajemnych koligacjach – a więc i odwiedzaniu się – ówczesnych rodów wielkopolskich oraz popularności, zatem i częstym wzywaniu „Doktora Marcina” przy różnych okazjach.

Czy było to uczucie czymś więcej niż przyjaźń i zażyłość – trudno powiedzieć. Nie można też wymagać, by zachowały się dokumenty (poza ewentualnymi listami, a tych nie ma) pozwalające wyprowadzić wnioski jednoznaczne; wiadomo tylko, że Marcinkowski w korespondencji wyrażał się o Szanieckiej wyjątkowo ciepło, co raczej rzadko mu się zdarzało w ocenie ludzi. Autorki skłonne do egzaltacji: Bożena Krzywobłocka i Dioniza Wawrzykowska-Wierciochowa, dość łatwo podjęły wątek romantyczny, jako idealnie pasujący do epoki i środowiska obydwójga przyjaciół. Ale inna biografka Szanieckiej, Helena Łuczak-Kozerska, oceniła sprawę już znacznie mniej emocjonalnie. Znamienne, że mężczyźni: Adam Wrzosek i Witold Jakóbczyk, są bardzo ostrożni w ocenie tej sprawy, a Stefan Bratkowski, autor scenariusza większości odcinków telewizyjnego serialu *Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy*, też unikał akcentów pozwalających wyprowadzić wnioski jednoznaczne.

Faktem jest, że około 1826-1827 roku Marcinkowski zachowywał się inaczej niż zwykle, był rozdrażniony i rozkojarzony – co też zauważyli w swych relacjach i wspomnieniach prawie wszyscy, którzy go znali. Z reguły biografowie łączą ten stan z niemożnością ułożenia sobie życia z Emilią, może nawet z niepowodzeniem oświadczyn. Ten właśnie wątek podchwycił poznański literat Maurycy Mann, który



2. Karol Marcinkowski (1800-1846)

w 1849 roku (a więc w trzy lata po śmierci Marcinkowskiego) opublikował w Poznaniu tekst utworu scenicznego *Sztuka i miłość*. Rzecz dzieje się w 2-ch dobach rzeczywistego życia głównego bohatera, którym jest doktor Karol. Wstęp i apologetyczny dodatek nie pozostawiają wątpliwości, kogo miał na myśli autor sztuki.

Akcja dotyczy autentycznego epizodu z życia Szanieckiej, gdy Marcinkowski wydobyl ją z letargu (o czym niżej). Panna Emilia występuje pod imieniem Kassylidy, ale z różnych szczegółów dialogu bez trudu można odczytać tożsamość osoby. Najogólniej treść sztuki sprowadza się do analizy poświęcenia obydwójga młodych – z tym że doktor Karol jednoznacznie deklaruje swoje uczucia wobec Kassylidy, zaś panna w rozmowach z krewniakiem oświadcza przyjaźń i przywiązanie wobec lekarza, lecz oznajmia równocześnie swą wolę pozostania w stanie panieńskim. Doktor Karol również przeżywa z tego powodu moralną rozterkę. Ostatecznie, po uratowaniu ukochanej, dosiada konia i rusza do walczącego Królestwa, do powstania, dla ojczyzny i potrzebujących go rodaków rezygnując ze szczęścia osobistego.

Sztuka Manna, utwór nie najwyższej próby, spowodowała wiele zamieszania w ówczesnym Poznaniu. Nikt nie miał trudności z ustaleniem, kim rzeczywiście byli Kassylida i doktor Karol. Marcinkowski umarł niedawno, Szaniecka, otoczona powszechnym szacunkiem, była niemalże instytucją – zatem nic dziwnego, że sztuka Manna stała się sensacją. Znamienne jednak, że odebrano utwór z zażenowaniem. Choć autor starał się wręcz gloryfikować doktora Karola, obydwójga zaś bohaterów przedstawić w glorii poświęcenia dla sprawy narodowej, przeważał niesmak. Sama Szaniecka zaś uczyniła to, co zrobić mogła najlepszego: zignorowała dziełko Manna i sprawa dość szybko przycichła.

Jak było naprawdę? Wydaje się, że prawda leży pośrodku, a historykowi trudno dziś wyprowadzić wnioski bez oparcia w dokumentach, których w tej sprawie nie ma prawie wcale. Z drugiej strony jednak nie można wszystkiego określić mianem salonowej plotki i wyłącznie legendy. Zarówno Szaniecka, jak Marcinkowski byli znaczącymi osobowościami, wiadomo też, że do 1831 roku doskonale się rozumieli. Co prawda obydwójga nie byli obdarzeni olśniewającą urodą, lecz cechował ich urok osobisty i silna indywidualność – a są to zalety, które ludzi raczej zbliżają do siebie, aniżeli odpychają. Romantycznego podłoża legendy należy się doszukiwać nie tyle w postępowaniu obydwójga młodych, ile w rozumowaniu tych, którzy legendę tę tworzyli i uwieczniali na piśmie. W owych czasach małżeństwo między osobami wywodzącymi się z różnych sfer społecznych było nie do pomyślenia i z góry stawało się oczywiste, że gdyby pochodzący z rodziny drobno-mieszczańskiej Marcinkowski oświadczył się o rękę córki ze starego rodu ziemiańskiego, nie miałby najmniejszych szans na uzyskanie

zgody – niezależnie od ewentualnie odwzajemnionego uczucia. Z natury dumny i znający swą wartość doktor nie chciał narazić się na upokorzenie, a będąc świadomy realiów epoki i miejsca, w ogóle nie usiłował tej sprawy oficjalnie poruszać. Po 1831 roku drogi Marcinkowskiego i Szanieckiej się rozeszły, każde przyjęło inną metodę działania społecznego, każde swą pracą tak było pochłonięte, że nie miało czasu na powracanie do sprawy z góry i tak skazanej na niepowodzenie. Oczywiście, nie można wykluczać ewentualności uczucia między obydwójgiem, jednakże przez wzgląd na moralny obowiązek zachowania taktu i szacunku wobec Karola Marcinkowskiego i Emilii Szanieckiej, należy zrezygnować z jałowego roztrząsania tej sprawy.

W swej praktyce lekarskiej Marcinkowski często skutecznie eksperymentował, a bywało, że stosował też metody znane już od dawna, choć za jego czasów wykorzystywane raczej rzadko. Taki właśnie zabieg zastosował w końcu lat dwudziestych XIX wieku wobec Szanieckiej, która ciężko zachorowała na tyfus i zapadła w letarg. Marcinkowski zastosował wówczas tzw. mokse, czyli przyłożenie rozpalonego żelaza do prawej kości ciemieniowej. Ten radykalny środek przywrócił chorej przytomność, a ślad po nim Szaniecka ponoć zachowała do końca życia. D. Wawrzykowska-Wierciochowa (za M. Mannem) wydarzenie to opisuje nieco inaczej. To właśnie moksa miała być przyczyną letargu i jedynie intuicja Marcinkowskiego oraz uważna obserwacja osoby Szanieckiej uchroniła pannę Emilię przed pochowaniem za życia. Natomiast faktem jest, że mimo towarzyskiego usposobienia i powodzenia wśród płci brzydkiej, nasza bohaterka za mąż nie wyszła, koncentrując swe życie na działalności patriotycznej, charytatywnej, społecznej i na zarządzaniu majątkiem. Zwróćmy też uwagę, że mimo rozejścia się dróg osobistych i politycznych Szanieckiej i Marcinkowskiego po 1831 roku, obydwójce nadal współpracowali w realizacji inicjatyw społecznych, m.in. w spółce bazarowej i Towarzystwie Pomocy Naukowej, żyli w zgodzie, a nawet przyjaźni. Panna Emilia zachowała lekarza we wdzięcznej pamięci aż do końca swego życia, choć zarówno w piśmie, jak i ustnie wypowiedała się na jego temat konkretnie i rzeczowo – jak w liście do Hipolita Cegielskiego ze stycznia 1866 roku, odpowiadając na pytania dotyczące osoby Doktora Marcina:

2. Do żadnego stronnictwa nie należał. Bo przypominam sobie, kiedy Mu raz napisała, że w Księstwie są tacy co utrzymują, że należy do stronnictwa Czartoryskiego – odpisał mi – „Pani wiesz, że tak nie jest, to mi dosyć, bo znasz moje zasady – szanuję dom ich, bo to jest rodzina patriarchalna, a zresztą, chcę wszędzie być, wszystko poznać i zrobić sobie sąd wyłącznie mój – a to tylko można, nie należąc do żadnej partii wybitnie, a ci, co mnie znają, to wiedzą, czym jestem i czym tylko być mogę”.

3. Najwięcej kształcił się w swoim zawodzie, bo przypominam sobie, że mi raz napisał – „Wiele się tu uczyć i nauczę i będę was mógł lepiej leczyć za mojem powrotem” – dużo bywał w klinikach.

4. Wiem, że praktykował, ale czy to wystarczało na Jego utrzymanie, nie wiem.

5. Rządowego subsidium nie brał – miał takich przyjaciół, do których w każdej chwilowej potrzebie byłby się udał.

Zważmy, że pisała te słowa osoba 62-letnia, w 20 lat po śmierci Marcinkowskiego. Trudno dziś stwierdzić, ile w tej wypowiedzi było sentymentu, ile chęci ukrycia rzeczywistej orientacji w warunkach materialnych Doktora Marcina, a ile zamiaru udzielenia konkretnych, rzeczowych informacji. Tych proporcji chyba już nie poznamy, a wiedzę o szczegółach pozostawmy Im Obydwojgu.

Rozdział II

EMILIA SZANIECKA PODCZAS WOJNY POLSKO-ROSYJSKIEJ 1831 ROKU

Okres poprzedzający wybuch powstania listopadowego był także początkiem ograniczenia uprawnień ludności polskiej Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Minął już czas starań o zjednanie sobie mieszkańców prowincji. Władze pruskie bardzo wczesnie rozpoczęły wielokierunkowe działania zmierzające do stopniowego wchłonięcia Wielkopolski; jak się wydaje, był to proces obliczony na kilkadziesiąt lat, ale zachodzący systematycznie i nieubłaganie. Faktem jest, że Polacy z jednej strony swoim spiskowaniem powodowali wydłużenie czasu realizacji tego planu, z drugiej strony jednak dawali pretekst do stosowania represji. Takie wzajemne wyniszczanie się w nieustannym konflikcie prędzej czy później musiało doprowadzić do klęski strony polskiej. W sytuacji, gdy raczej nie zanosilo się na rychłą zmianę sytuacji politycznej w Europie i na ziemiach polskich, należało się zastanowić nad inną, bardziej efektywną formą oporu. Do jej ustalenia doszło dopiero po 1831 roku.

Pierwsze spiski niepodległościowe w Wielkim Księstwie Poznańskim, jak wspomniano, wystąpiły kilka lat wcześniej. Szybko i skutecznie likwidowane, stały się źródłem frustracji, zniechęcenia, coraz częściej wyrażano też opinie, że samodzielne działania nie mają szans sukcesu i trzeba czekać na sprzyjający rozwój wydarzeń międzynarodowych.

Okazja taka pojawiła się w 1830 roku. W lipcu wybuchła rewolucja w Paryżu, a potem w Belgii. Królestwo Polskie już od kilku lat

przeżywało fale kolejnych spisków niepodległościowych, dość sprawnie likwidowanych przez policję. Według niektórych badaczy (m.in. F. Paprockiego) istnieją przesłanki do twierdzenia, że już w 1829 roku część przedstawicieli wielkopolskiego „establishmentu”, zwłaszcza Tytus Działyński, była wtajemniczona w powstańcze plany warszawskich działaczy niepodległościowych. Wydaje się jednak, że w ówczesnych realiach trudno kojarzyć kontakty hrabiego Tytusa z Joachimem Lelewelem, Józefatem Ostrowskim czy Adamem Gurowskim z planami ewentualnego powstania przeciwko Prusakom w Wielkopolsce. Bardziej chodziło tu o szanse udzielenia pomocy walczącemu Królestwu, niż o walkę zbrojną prowadzoną na własny rachunek. Oczywiście bardzo liczone na pomoc Zachodu, zwłaszcza Francji, a wtedy Księstwo byłoby jakby pomostem, kanałem przerzutowym tej pomocy. Scenariusz ten zresztą z powodzeniem został wykorzystany w ponad trzydzieści lat później, podczas powstania styczniowego. W roku 1829 i 1830 takie poczynania można było tylko planować, przewidywać w przyszłości.

Takie były realia. Niezależnie od nich jesienią 1830 roku w Wielkopolsce nasiliła się akcja propagandowa zakonspirowanych środowisk niepodległościowych, skierowana przeciwko władzom pruskim. Prowadzona emocjonalnie i dość chaotycznie, była niewątpliwie odpowiedzią na wydarzenia francuskie. Widziano w nich pojawienie się szansy podobnej do tej, która wystąpiła w roku 1806, gdy Napoleon rzucił hasło powstania, potem zaś sam ruszył na wschód. Władze pruskie odpowiedziały nasileniem obserwacji środowisk polskich.

Można przyjąć, że wybuch powstania w Warszawie 29 listopada 1830 roku zastał kierownicze warstwy społeczeństwa wielkopolskiego przygotowane do zaangażowania się w walce. O wystąpieniu zbrojnym przeciw Prusakom nie było mowy, ale zaczęto się szykować do potajemnego wyjazdu za kordon. Z kolei władze pruskie, też przygotowane na taką ewentualność, wprowadziły w Księstwie stan oblężenia, wzdłuż granicy z Królestwem rozciągnęły kordon wojskowy i ograniczyły przewóz ludzi oraz towarów w obydwu kierunkach. Granica, której legalne przekroczenie dawniej nie stwarzało większych trudności, teraz pilnowana była znacznie ostrzej. Jednak ochotnicy z Wielkopolski znaleźli sposoby dotarcia do oddziałów powstańczych. Z drugiej zaś strony wybuch powstania w Królestwie i poruszenie wśród

mieszkańców Poznańskiego władze pruskie wykorzystały do zaostreżenia kursu wobec Polaków. Odwołano Antoniego Radziwiłła ze stanowiska namiestnika, a następnego już nie mianowano. Dodatkowym pretekstem do zakończenia jego kariery politycznej stało się już wkrótce objęcie stanowiska naczelnego wodza wojsk polskich w Królestwie przez jego brata, księcia Michała Radziwiłła. Już 9 grudnia 1830 roku naczelnym prezesem prowincji poznańskiej został Eduard Flottwell, dotychczasowy prezes rejencji kwidzyńskiej, który energicznie przystąpił do ograniczania swobody środowisk polskich.

Wielkie Księstwo Poznańskie było dla powstania listopadowego jednym ze źródeł zaopatrzenia w pieniądze, części uzbrojenia, umundurowania i oporządzenia. Przede wszystkim jednak napływali stamtąd ochotnicy, głównie pochodzenia szlacheckiego i mieszczańskiego. Ustalenie ich dokładnej liczby jest dziś niemożliwe, przyjmuje się, że ochotników z Poznańskiego było około 3000-3500. Wstępowali do różnych pułków, ale najważniejszym problemem były starania o utworzenie własnego oddziału, złożonego tylko z Wielkopolan. Oczywiście tych z Poznańskiego, gdyż Kaliszanie i tak byli zaangażowani w powstaniu jakby „z urzędu”, jako że ich region znajdował się w granicach Królestwa Polskiego.

Utworzenie własnego pułku przez ochotników z za kordonu było bardzo trudne. Dyktator Józef Chłopicki za wszelką cenę chciał uniknąć zbrojnego konfliktu z Prusami, ale nie zamierzał rezygnować z wykorzystania sporej grupy ludzi, przeważnie rezerwistów przeszkolonych w armii pruskiej, znających rzemiosło wojenne. Zaczął więc prowadzić podwójną grę: pozwalał tworzyć oddziały złożone z Wielkopolan, ale bez rozgłosu, początkowo też bez zaangażowania skarbu Królestwa. Znaczyło to, że aż do chwili pełnego zorganizowania i uzyskania gotowości do udziału w walce ludzie ci musieli utrzymywać się na własny koszt. Tymczasem byli wśród nich zarówno zamożni ziemianie, jak i ochotnicy, którzy liczyli na wyżywienie i umundurowanie już w momencie wstąpienia do wojsk Królestwa. W rezultacie poznańscy bardzo wcześnie znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej, a zwłaszcza finansowej. Ich jedynym ratunkiem było zorganizowanie dopływu pieniędzy i „efektów” wojskowych z za kordonu, z Wielkopolski. Przed pozostałymi w Księstwie działaczami narodowymi stało trudne zadanie ratowania egzystencji ziomków przebywających w Warszawie.

W przeddzień wybuchu powstania listopadowego Szchaniecka, po kuracji związanej z przebyciem tyfusu, mieszkała i gospodarowała w Pakosławiu. Biografowie bohaterki podkreślają aktywne szkolenie, jakie sobie sama wtedy zorganizowała panna Emilia. Uczyła się przede wszystkim czynności związanych z pielęgnowaniem chorych, zdobyła też wcale pokaźną, choć amatorską, wiedzę medyczną, która zyskała jej popularność i doskonałą opinię nawet wśród służby i robotników folwarcznych. W drobnych wypadkach i schorzeniach radziła sobie samodzielnie, tylko niekiedy korzystając z konsultacji i rad znajomych lekarzy, zwłaszcza Marcinkowskiego. „Doktor Marcin” był jednak w Poznaniu; bliżej miała do Lwówka, gdzie miejscowy felczer nie odmawiał jej pomocy przy opiece nad chorym.

Czy były to już przygotowania do roli opiekunki rannych w razie wybuchu powstania – jak zdają się sugerować biografowie Szchanieckiej? Wydaje się, że i tak, i nie. Panna Emilia żywo reagowała na aktualne wydarzenia i znając jej charakter z tego okresu można przypuszczać, że przyjmowała je całym sercem, choć nie zawsze emocjonalnie. Z drugiej strony jednak był to czas jej praktyki w zarządzaniu majątkiem, co wymagało kontaktu ze służbą folwarczną. Chcąc tych ludzi poznać, nie mogła ograniczać swego działania do wydawania poleceń zza biurka w pałacowym gabinecie. Była panną, dziedziczką, zatem prace, którymi zwykle zajmowali się mężczyźni – właściciele majątków, od dzieciństwa przygotowywani do tej roli, ona musiała poznać sama, najwyżej z pomocą lojalnego wobec niej rządcy lub plenipotenty. Z natury systematyczna i „uporządkowana”, dość szybko opanowała podstawy wiedzy o zarządzaniu majątkiem ziemskim. Więcej: ujawniła swą umiejętność szybkiego poznawania ludzi i trafnego przydzielania im określonych zadań. W rezultacie bez trudu skompletowała zespół oddanych i lojalnych współpracowników, którzy mogli sprawnie kierować majątkiem w razie nieobecności właścicielki – a poza domem bywała Szchaniecka bardzo często i długo.

Inną cechą jej stylu zarządzania było zbliżenie do ludzi, ale bez spoufalania. W odróżnieniu od babki, Anastazji Szchanieckiej, która była w działaniu bardzo zdecydowana i miała raczej „ciężką rękę” dla poddanych, panna Emilia starała się okazać im serce i życzliwość, w zamian za lojalność i rzetelność. Było w tym wiele cech postawy chrześcijańskiej, nakazującej traktować każdego jako bliźniego, brata w wierze i człowieczeństwie, choć zajmującego w strukturze społecznej

raz na zawsze ustalone miejsce. Szczaniecka, osoba religijna, choć daleka od bigoterii, swe powinności w tej kwestii traktowała bardzo poważnie, wręcz uczyniła z nich jeden z filarów własnej postawy życiowej. Rządziła służbą i robotnikami folwarcznymi, ale jednocześnie dbała o nich, wymagała, lecz nie odmawiała pomocy, gdy któryś z nich lub jego rodzina znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej czy w chorobie. Była też bardzo sprawiedliwa i pracowita – a to również są cechy przywiązujące służbę do właściciela majątku. W rezultacie podczas kilku lat poprzedzających wybuch powstania listopadowego Szczaniecka nauczyła się rządzić swymi folwarkami, równocześnie zyskując sobie szacunek, a nawet oddanie ze strony podległych pracowników. Bardzo jej się to przydało w trudnych chwilach szykan ze strony władz pruskich, które usilnie dążyły do skutecznego ukarania Szczanieckiej po kolejnych powstaniach z jej udziałem. Służbie zależało na zachowaniu majątku w rękach lubianej i szanowanej pani, zaś dziedziczka zawsze mogła liczyć na lojalność podwładnych. Taka zgoda i wspólnota interesów między właścicielem majątku i służbą nie były wtedy spotykane zbyt często. Owe lata poprzedzające wybuch powstania listopadowego były okresem szczególnie trudnym dla Szczanieckiej, można powiedzieć, że swoistym uniwersytetem życiowym, z którego doświadczenie przydało się jej aż do końca życia.

Wróćmy jeszcze do sprawy swoistego szkolenia medycznego, jakie sobie zaaplikowała panna Emilia. Dzięki zdobytym umiejętnościom dodatkowo zyskiwała szacunek i wdzięczność służby, równocześnie też poznawała swych pracowników dokładniej i wiedziała, czego się może po nich spodziewać. Z drugiej strony jednak odnosimy wrażenie, że Szczaniecka po prostu znalazła sposób na realizację także własnych zainteresowań. Kobiet w tych czasach nie przyjmowano na uniwersytety, zatem choć w ten sposób zdobywała wiedzę w dziedzinie, która ją interesowała. Lekarzem być nie mogła, więc została pielęgniarką, w dodatku także wyższego szczebla organizacyjnego. Zwolennicy romantycznej wersji losów Szczanieckiej doszukiwaliby się tu również echa sentymentu do osoby lekarza, Karola Marcinkowskiego. Czy było tak naprawdę, dziś już chyba nie ustalimy.

O wybuchu rewolucji we Francji panna Emilia dowiedziała się podczas pobytu „u wód”, w Akwizgranie, gdzie wracała do zdrowia po przebytej chorobie. Natychmiast wyjechała do Paryża, gdzie odnowiła

znajomość z markizem Marią Józefem de La Fayette, bohaterem amerykańskiej wojny o niepodległość (popularnością równym naszemu Kościuszce), który w 1830 roku objął dowództwo Gwardii Narodowej. Szaniecka poznała go przypuszczalnie dwa lata wcześniej podczas kuracji zagranicznej. Ad hoc zorganizowano nieformalną deputację z panną Emilią na czele, która udała się do La Fayette'a w celu wysondowania opinii rewolucyjnych władz francuskich w sprawie polskiej. Niewiele uzyskano poza radą, by nie decydować się na działania pochopne i przedwczesne.

Wkrótce Szaniecka wróciła do Pakoślawia. Tu w początkach grudnia od brata Konstantego dowiedziała się o wybuchu powstania w Warszawie. Zarówno on, jak i Stanisław Szaniecki wkrótce przekroczyli granicę Królestwa. Podążyli tam również Karol Marcinkowski, Ludwik Szaniecki, Dezydery Chłapowski, bracia Maciej i Seweryn Mielżyńscy, ksiądz Adam Loga – niemal wszyscy spotkali się w szeregach nowo tworzonego oddziału jazdy poznańskiej. Panna Emilia, wiedziona patriotycznym zapałem i swoistą „gorączką narodową”, jaka ogarnęła polską społeczność Wielkiego Księstwa Poznańskiego, też postanowiła niezwłocznie dotrzeć do Warszawy. W odróżnieniu od wielu jej rówieśniczek, które zamierzały wstąpić do oddziału liniowego, od początku chciała się poświęcić pracy pielęgniarki w szpitalu. Rozpoczęła już przygotowania do wyjazdu, gdy dotarła do niej wiadomość od Konstantego. Już wtedy bowiem pojawiły się trudności z zaopatrzeniem powstającego oddziału i zaszła konieczność zorganizowania materialnej pomocy z Księstwa. Poczta między zaborami kursowała bez przeszkód, zatem Konstanty Szaniecki w liście do Karola Stablewskiego napisał wprost: *Emilce powiedz, że nie miałaby na razie w Warszawie co robić, bo rannych tu bardzo mało, a wojska wychodzące nad granicę tam będą miały swoje lazarety. Dlatego daleko lepiej, aby w Księstwie została, jeździła po Poznańskim i zbierała składki – pieniądze, broń, konie, aby namawiała ludzi na ochotników. Wszystko niech przesyła do Działyńskiego (Tytusa), który stoi na Nowym Świecie w domu Bentkowskiego. W ten sposób Emilka może daleko więcej użyteczną stać się krajowi.*

Cytująca ów list D. Wawrzykowska-Wierciochowa nie omieszkała zaraz dodać, że Szaniecki dołączył numer „Kuriера Polskiego” z 7 grudnia z wzywającym do boju patriotycznym wierszem Juliusza Słowackiego. Konkrety – i romantyzm, rzeczowość – i tak zwany

pierwiastek duchowy. Takie były czasy. Nie podkreśliła jednak autorka ogromu zadań, jakie pan Konstanty powierzył siostrze. Była to już druga połowa grudnia, zimy w owym czasie znacznie różniły się od dzisiejszych, nie było samolotów, radia, telefonów, podróżowanie w tęgim mrozie, drogami zawianymi śniegiem, w nie ogrzewanym powozie lub saniami, nie należało do przyjemności. A jednak szybkość poruszania się i przekazywania wiadomości była wtedy znacznie większa, niż się na ogół sądzi. Wręcz zdarzało się, że przesyłka listowa docierała wtedy do adresata wcześniej niż dziś. Zatem odpowiadając na apel brata Szczaniecka wzięła na siebie nie tylko zadanie patriotyczne i nielegalne (w myśl przepisów prawa pruskiego), ale także uciążliwe fizycznie.

List Konstantego Szczanieckiego datowany był 17 grudnia. W kilka dni później dotarł do rąk adresata, a jeszcze później zawarta w nim informacja została przekazana panie Emilii – odtąd też Szczaniecka rozpoczęła podróż kwestarską po całym Wielkim Księstwie Poznańskim. Najpierw wspomogła finansowo swych braci, wysyłając im z rodzinnego funduszu 1000 talarów. Potem ruszyła do Żółtowskich, Bieczyńskich, podobno udało się jej też uzyskać sowity datek od samego arcybiskupa Marcina Dunina, który oficjalnie – zgodnie z wolą władz pruskich – wydał list pasterski zwrócony przeciwko Wielkopolanom zaangażowanym w powstaniu.

Po raz pierwszy wtedy właśnie Emilia Szczaniecka ujawniła swój talent organizacyjny: by ułatwić kwestę na rzecz walczących w Królestwie rodaków, przystąpiła do tworzenia komitetu pomocy powstańcom, złożonego z kobiet. Przewodniczyła panna Emilia, zaś jej najbliższymi współpracownikami były m.in. Klementyna Grabowska, Helena Turnowa oraz Nimfa Łącka. Jednym z zaufanych łączników przekazujących zebrane pieniądze i „efekta” okazał się Karol Stablewski – mąż Korduli Szczanieckiej. Zestaw ten był najzupełniej normalny, polskich rodzin ziemiańskich w Wielkim Księstwie Poznańskim było wiele, jednak tylko niektóre miały głos decydujący w sprawach prowincji. Powiązania między nimi były dość ścisłe, często podkreślane mariażami. Zatem analizując tablice genealogiczne ziemian wielkopolskich (nie tylko tamtego czasu), zauważymy powtarzanie się tych samych nazwisk, rodzinami jakby splecionych między sobą w różnych pokoleniach. Z oczywistych względów stosunki rodzinne przeważnie łączyły się też z poglądami narodowymi czy

patriotycznymi – zatem w działalności publicznej spotykamy często nie tylko te same nazwiska, ale i osoby, oczywiście w gronie przedstawicieli jednego bądź sąsiednich pokoleń.

Rezultat patriotycznej kwesty prowadzonej przez Szczaniecką okazał się znaczący. Sama panna Emilia sprzedała część lasu, zapożyczyła się u Żydów we Lwówku i przekazała na cele powstańcze 16 tys. talarów, czyli kwotę dwukrotnie większą od tej, którą udało się jej uzyskać od rodaków. Jak zwykle w takich przypadkach bywa, stopień zaangażowania ziemian wielkopolskich w tej akcji był zróżnicowany. Zdarzali się i tacy, którzy raczej nie zanadto uszczuplili swój majątek. Była wśród nich i pani Anastazja Szczaniecka, która zgadzała się z celowością i hasłami walki narodowowyzwoleńczej, ale nie miała przekonania do jej rezultatów przy ówczesnej sytuacji politycznej ziem polskich. W rezultacie, chyba „dla świętego spokoju”, ofiarowała na cele powstańcze... 100 talarów. Dla porównania wkładu organizacyjnego i finansowego wysiłku ziemian wielkopolskich na rzecz powstania listopadowego można podać, że np. całoroczny dochód z majątków Edwarda Raczyńskiego (m.in. twórcy słynnej Biblioteki) wynosił wtedy 600 tys. talarów. Oczywiście chodzi tu jedynie o porównanie z dochodami i tak ofiarnego na cele publiczne arystokraty, który na własne potrzeby przeznaczał kwotę bardzo niewielką. Sam hrabia Edward, który w czasie wybuchu powstania był w Warszawie, rychło wrócił do swego Rogalina. Mimo iż nie wierzył w powodzenie całego przedsięwzięcia, kazał w swoim warszawskim pałacu urządzić szpital wojskowy, który utrzymywał własnym kosztem, a w Rogalinie zorganizował pracę przy przygotowaniu środków opatrunkowych, zwłaszcza szarpi, spełniających w owym czasie rolę waty. Później Raczyński zaangażował się w nieudaną akcję orędowania w sprawie polskiej u dworu berlińskiego. Związki Emilii Szczanieckiej z Raczyńskimi były pośrednie: jej najserdeczniejszą przyjaciółką została Klaudyna z Działyńskich Potocka, żona pasierba hrabiego Edwarda, Bernarda Potockiego, ponadto w 1831 roku kierowała pracą wspomnianego już tzw. Szpitala Poznańskiego, utrzymywanego kosztem Raczyńskiego.

Dnia 21 grudnia 1830 roku król Fryderyk Wilhelm III wydał zarządzenie, nakazujące natychmiastowy powrót wszystkich mieszkańców m.in. Wielkiego Księstwa Poznańskiego, którzy dołączyli do powstańców w Królestwie Polskim, pod groźbą surowych sankcji. Niewiele to pomogło, ochotnicy (mimo zaostrożnej kontroli granicz-

nej) w dalszym ciągu dołączali do rodaków za kordonem. Coraz bardziej zaczęła się też niecierpliwie Emilia Sczaniecka. Jej zasługi dla organizowanych w Warszawie oddziałów jazdy poznańskiej były ogromne. Tytus Działyński stwierdził wprost, że finansowej aktywności panny Emilii oddziały te, pozbawione wtedy realnej pomocy ze strony władz powstańczych, zawdzięczały przetrwanie najtrudniejszego, początkowo okresu tworzenia.

Sczaniecka wreszcie doszła do wniosku, że uczyniła wszystko, co zrobić mogła w Księstwie. Wyraźnie „ciągnęło” ją do Królestwa. Przyczyn takiego zapału mogło być kilka. Przede wszystkim atmosfera panująca wśród Polaków w Wielkim Księstwie Poznańskim wręcz zobowiązywała moralnie wszystkich świadomych istoty rzeczy aktywistów narodowych do wyjazdu za kordon. Sprawa wydaje się o tyle ciekawa, że konieczne jest sprostowanie stereotypu utrwalonego w literaturze przedmiotu i w zachowanych przekazach źródłowych. Można z nich wywnioskować, że w latach 1772 - 1918 niemal cały naród polski we wszystkich trzech zaborach o niczym innym bardziej nie marzył niż o niepodległości. Z wyjątkiem nielicznych zdegenerowanych jednostek „wszyscy” walczyli, „wszyscy” cierpieli w niewoli, wreszcie w listopadzie 1918 roku „wszyscy” spontanicznie cieszyli się z odzyskanej niepodległości. Tymczasem rzeczywistość była znacznie bardziej prozaiczna: w okresie między kolejnymi powstaniami w pracy narodowej zaangażowanych było zaledwie kilka procent polskiej ludności każdego z zaborów.

Pojawia się zatem pytanie o przyczyny takiej sytuacji. Przede wszystkim nie w pełni jeszcze była wtedy utrwalona świadomość narodowa. W wieku XIX dopiero się ona u nas kształtowała – i tak znacznie wolniej niż w innych państwach ówczesnej Europy, jako że w interesie zarówno Prus, jak Rosji i Austrii leżało skuteczne powstrzymanie tego procesu wśród ludności podporządkowanej traktatami, bądź podbitej. W połowie XIX stulecia nastąpiło ożywienie ruchów liberalnych i burżuazyjno-demokratycznych, ale w drugiej połowie tego stulecia doszło także do burzliwego rozwoju tendencji nacjonalistycznych. Tym bardziej agresywnych, im mniejszy był dany naród i w trudniejszym położeniu politycznym. Jednak w okresie powstania listopadowego w polskim środowisku przeważały pierwsze z tych zjawisk. W tym czasie też trudności z ową świadomością wynikały raczej z niskiego poziomu ogólnego i wykształcenia

większości polskich mieszkańców danego regionu czy zaboru. Świadomi położenia narodu i krzywdy politycznej w gruncie rzeczy byli (i to nie wszyscy) przedstawiciele arystokracji, ziemiaństwa, bogatsi mieszczaństwo oraz krąg przyszłej inteligencji – zatem ludzie odpowiednio ukształtowani w środowisku rodzinnym i wykształceni, często już bywali w świecie. Stanowili oni jednak niewielki odsetek całej ludności polskiej, która na ogół nie zwracała większej uwagi na język urzędowy, walutę czy narodowość policjanta i urzędnika, o ile owe aspekty nie miały negatywnego wpływu na w miarę spokojną, codzienną egzystencję. Udział w powstaniu zbrojnym (na początku przynajmniej) był bardziej wynikiem przymusu mobilizacyjnego i chwilowego impulsu, niż wyrazem świadomej, patriotycznej decyzji. Dopiero potem, w walce, odbywała się przyspieszona edukacja narodowa żołnierzy. Który z nich nie poległ lub nie wyemigrował, ten przeważnie był już świadomym wychowawcą następnych pokoleń w duchu patriotycznym – co jednak nie znaczyło, że w kierunku przyszłego zaangażowania w kolejnej walce zaborcą. Ze świadomości owej sytuacji wyniknęło wysyłanie w latach czterdziestych emisariuszy, którzy mieli zanieść w lud oświatę i świadomość polskiej tożsamości narodowej. Nie zawsze jednak i nie wszędzie akcja ta, prowadzona pod idealistycznymi hasłami i nie zawsze umiejętnie, przyniosła pożądane rezultaty. Z jednej strony bowiem kosynierzy wielkopolscy dzielnie stawali do boju pod Wrześnią w 1848 roku, z drugiej zaś dwa lata wcześniej chłopcy dokonywali pogromu polskich dworów w trakcie rabacji galicyjskiej.

Inną przyczyną owego przekonania o „totalnym” zaangażowaniu całego narodu w walce o niepodległość jest... wykształcenie tych, którzy o Polsce wtedy mówili, a przede wszystkim pisali. Analfabetyzm był wówczas powszechny (w zaborze pruskim najmniejszy i stopniowo został zlikwidowany niemal w ogóle), zatem odbiór narodowej literatury, pism politycznych itd. był w gruncie rzeczy bardzo ograniczony. Dziś otrzymujemy do ręki przede wszystkim utrwalony w druku i rękopisach wynik pracy środowisk najbardziej wykształconych, ale też nie zawsze w pełni świadomych narodowo. Stąd w przyszłości, na tle ciągłego obracania się we własnym, zamkniętym kręgu, między ludźmi o podobnym poziomie i zapatrywaniach, coraz częściej wśród ziemian i w kręgach przyszłej inteligencji zaczęło pojawiać się preko-

nanie o wyjątkowości i omnipotencji ludu. Wyidealizowano klasy i warstwy społeczne, które potrzebowały jeszcze wielu dziesięcioleci, by zrozumieć istotę toczącej się gry narodowej. Szaniecka nie uległa tym przekonaniom i jak się wydaje, postąpiła słusznie.

Zdecydowała się na wyjazd do Warszawy, nie tylko ulegając ogólnym nastrojom panującym wśród najbardziej świadomych grup społeczności polskiej w Wielkim Księstwie Poznańskim, ale chciała być bliżej braci, poza tym ważna była dla niej możliwość sprawdzenia swych umiejętności samarytańskich w warunkach nieuniknionej wojny. O tym zaś, że do konfliktu zbrojnego z Rosją dojdzie, niemal wszyscy byli przekonani, zwłaszcza od chwili niepowodzenia misji pojednawczej wysłanej do Petersburga i ogłoszenia 18 grudnia 1830 roku powstania narodowego. Z chwilą obwieszczenia 25 stycznia roku następnego aktu usunięcia Mikołaja I z tronu polskiego rozpoczęcie działań wojennych było już tylko kwestią czasu. Szaniecka miała więc okazję sprawdzić swe umiejętności i zdobyć nowe doświadczenia. Charakterystyczne, że nawet nie przeszło jej przez myśl wstąpienie do oddziału liniowego. Czy miała świadomość braku żołnierskich umiejętności, siły i odporności fizycznej, niezwykłości takiej postawy – nie wiadomo. Emilia Plater, Maria Raszanowiczówna czy Maria Prószyńska podobnych wątpliwości nie miały i weszły do naszej tradycji orężnej na podstawie legendy, która niewiele ma wspólnego z rzeczywistością. Emilia Szaniecka od razu była nastawiona na udzielanie pomocy rannym żołnierzom, nie mając jednak praktyki w tej pracy. Nie ona jedna zresztą miała się tego dopiero nauczyć.

Otoczenie panny Emilii decyzję dziedziczki przyjęło bez entuzjazmu, zwłaszcza babka Anastazja była przeciwna tym planom. Trzeba też było pomyśleć o sposobie przekroczenia granicy Królestwa. Sama Szaniecka tak opisała sposób realizacji postanowienia:

Choć nie lękałam się trudów czekającej mnie tam pracy – przecież wychowana pod surowym okiem babki (Anastazji z Skórzewskich Szanieckiej, starościny średzkiej) dziwną trwogą napępiała mnie myśl samotnej podróży. Przygotowana do drogi, nie śmiałam puścić się sama i czekałam, rychło Bóg mi ześle sposobność przedostania się do Warszawy. Wówczas, w połowie stycznia 1831 r., odebrałam list od Terulianowej Koczorowskiej [krewnej autorki relacji – dop. M.R.], w którym mi donosiła, że mąż jej zaciągnięty do wojska, złamał nogę, zatem jedźcie do niego, do Warszawy.

To była towarzyszka zesłana mi przez Opatrzność. Bez zwłoki zabrałam się w drogę, tłumacząc nagle postanowienie wyjazdu przez memi siostrami (Kordulą Stablewską, Nimfą Łącką) chęcią odwiedzenia braci naszych Stanisława i Konstantego, walczących w szeregach. Jechałam za paszportem służącej pani Koczorowskiej, pełna wiary w świętość i zwycięstwo sprawy, pchana żądzą przysłużenia się cierpiącym rodakom. Gdy przybyłyśmy do stolicy, pierwszym moim życzeniem było zapisać się do Szaretek od Mienia, wpierv jednak, aby zasięgnąć rady, udałam się za namową Teresy Lubomirskiej do Klaudii Potockiej, mało mi znanej, z którą zawarłam przyjaźń dozgonną. Ta szlachetna Polka pełna poświęcenia i najgorętszego patriotyzmu, od razu przyjęła mnie jako siostrę – zatrzymała na cały wieczór i nazajutrz, zamiast do Mienia, zawiozła do pani Tańskiej, opiekunki szpitali, gdzie mogłam mieć szersze pole do działania.

Kim była Klaudyna Potocka, o której Sczaniecka (na ogół z natury niezbyt skora do emocjonalnych opinii) wyrażała się tak ciepło, serdecznie? Dotychczas wspomniano, że była żoną Bernarda Potockiego, pasierba Edwarda Raczyńskiego, syna Konstancji Potockiej i jej pierwszego męża, podróżnika i pisarza Jana Potockiego, autora m.in. *Rękopisu znalezionej w Saragossie*. Dodajmy, że była najmłodszą siostrą Tytusa Działyńskiego, właściciela Kórnika, działacza gospodarczego, wydawcy źródeł i bibliofila; do dziś zachowała się „Klaudiówka” – oficyna zamku kórnickiego, w której przyszła na świat w sierpniu 1801 roku. Była od Sczanieckiej nie tylko trochę starsza, ale też bardziej czytana, obyta w świecie, utalentowana, inteligentna, lecz przeciętnej urody. Małżeństwo okazało się niedobrane i pani Klaudyna zaczęła szukać własnej drogi spełnienia w życiu. Dziś powiedzielibyśmy, że poświęciła się pracy społecznej. Ze Sczaniecką od czasu do czasu spotykała się przy różnych okazjach już wcześniej, w Wielkopolsce. Teraz stały się bliskimi przyjaciółkami.

W Warszawie w tym czasie rzeczywiście panna Emilia niewiele miała pracy. Chłonoła więc atmosferę miasta, w którym (inaczej niż obyta z Warszawą Potocka) nigdy jeszcze nie była, zawierała nowe znajomości, uczestniczyła w różnych obchodach narodowych. Była także na styczniowej sesji sejmu, detronizującej Mikołaja I. Co zobaczyła i przeżywała, umieściła w listach – relacjach wysyłanych do siostry, Korduli Stablewskiej.



3. Klaudivna Potocka (1801 - 1836)

W lutym 1831 roku coraz wyraźniejsza już była nadchodząca chwila zbrojnej konfrontacji ze zbliżającą się do granic Królestwa armią rosyjską. W przygotowaniach do walki osobne miejsce wyznaczono kobietom, które zaangażowały się w szykowanie środków opatrunkowych. Były jednak i pomysły dość osobliwe, jak projekt sformowania *pulku Sarmatek* ubranych w białe suknie, amarantowe płaszcze i konfederatki; zadaniem ich miało być organizowanie lazaretów i służba samarytańska. Zamiar ten szybko stał się nieaktualny, zwłaszcza że już istniała żeńska organizacja zajmująca się owymi sprawami.

Wszystko rozpoczęło się 21 grudnia 1830 roku, gdy w Warszawie zebrało się grono pań zaangażowanych w działalności społecznej:

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (wizytatorka szkół i pisarka), Katarzyna Sowińska, Amelia Wulfers, Benigna Małachowska, Anna Suchodolska i Aleksandra Tarczewska. Wkrótce powstał statut organizacji wzorowanej na podobnych związkach kobiecych działających w Prusach w czasie wojen napoleońskich. Od 1 stycznia 1831 roku zaczęło w Warszawie działać Towarzystwo Dobroczynności Patriotycznej Kobiet z Klementyną Hoffmanową na czele. Później wstąpiły do organizacji m.in. Emilia Sczaniecka, Klaudyna Potocka i Anna Przepałkowska, przybyłe z Wielkopolski. Towarzystwo, z czasem dość liczne, postawiło przed sobą szeroki program pracy charytatywnej, zaopatrzeniowej i samarytańskiej – być może właśnie dlatego przetrwało aż do 1832 roku, jeszcze po upadku powstania.

Działalność tej organizacji miała dwa etapy. Najpierw zajmowano się gromadzeniem funduszy i środków opatrunkowych, organizowano lazarety – przygotowywano się na ciężkie chwile, które wkrótce miały nadejść. Własnym staraniem członkiń Towarzystwa zorganizowano szpital w Szkole Aplikacyjnej przy ul. Miodowej i w mieszkaniu państwa Sowińskich. Interesujące były dalsze losy tego wielce zasłużonego, patriotycznego małżeństwa. Generał Józef Sowiński, inwalida, komendant Szkoły Aplikacyjnej, stał się później bohaterem obrony Woli w 1831 roku, zaś wdowa po nim, pani Katarzyna, przez wiele lat była dla rodaków symbolem wolnej Polski, a jej demonstracyjny pogrzeb w trzydzieści lat później zapoczątkował falę manifestacji patriotycznych poprzedzających wybuch powstania styczniowego. W tym okresie członkinie Towarzystwa zajmowały się ogólną akcją charytatywną, choćby na rzecz osób chorych, niedołączonych i bezdomnych.

Etap drugi był związany z działaniem już w warunkach walki zbrojnej, gdy warszawskie szpitale i lazarety były przepelnione wciąż napływającymi rannymi żołnierzami z kolejnych pól bitewnych. Ten okres był też ważną, twardą próbą dla dzielnych niewiast. Wprawdzie nie tylko one zajmowały się wtedy opieką nad rannymi, ale ich doświadczenia organizacyjne bardzo się przydały później, z pewnymi modyfikacjami, w następnych zmaganiach z zaborcą – nie tylko rosyjskim.

Panna Emilia na razie niewiele miała pracy medycznej. Zatem wolne chwile urozmaicała sobie pisanem listów do siostry Korduli – zapewne z zamiarem wykorzystania tej drogi do informowania całej

najbliższej rodziny o wydarzeniach w Królestwie Polskim. Jej relacje świadczą o żywym zainteresowaniu wszystkim, co się wokół działo i niezłej orientacji Sczanieckiej nawet w bieżących wydarzeniach wojсковych. Zresztą w owym czasie i miejscu taka znajomość rzeczy nie była niczym szczególnym, jako że uniesieni zapalem patriotycznym mieszkańcy Warszawy (a także prasa stolicy) starali się wiedzieć niemal wszystko, co dotyczyło ukochanej armii, a polskie dowództwo niezbyt umiejętnie maskowało swe decyzje, planowane i rzeczywiste ruchy wojsk. Należy sądzić, że i szpiegdy rosyjscy korzystali z tej możliwości bez większych przeszkód.

Oto próbka relacji Sczanieckiej (przytoczona przez D. Wawrzykowską-Wierciochową) zawartej w liście do siostry z 7 lutego 1831 roku: *Droga Kordulko! W sobotę [czyli 5 lutego – dop. M.R.] dostał [Michał] Radziwiłł sztafetę, że Moskale trzema traktami do Polski wkroczyli. Wczoraj pułk Szembeka, w którym jest Brodnicki i Piotr Zakrzewski, wymaszerował. Dziś o 12 wychodzą szasery Kazimierza Skarżyńskiego, w którym służą Franciszek i Hilary Mycielscy. Wśród rano [tj. 8 lutego – dop. M.R.] wychodzi nasz I szwadron; drugi ma się formować w Warszawie i później iść w pogoń za pierwszym. Pułki kaliskie także dziś przychodzą, aby wkrótce iść do walki. Z naszego szwadronu mają wybrać 24 na adiutantów do różnych pułków. Arnold Skórzewski odkomenderowany do Dezyderego Chłapowskiego, Staś Chłapowski i Ksawery Bojanowski do Antoniego [tekst nieczytelny]. Bracia nasi [Stanisław i Konstanty] idą podobno do generała Suchorzewskiego, który już stoi nad linią, ale jeszcze nie otrzymał rozkazu wymarszu i dopiero jutro – skoro Wisłę przejdzie – będzie wykomenderowany. Ostrowski i Maciej Mielżyński byli wczoraj wysłani na zwiad, jeden do Siedlec, drugi do Pultuska, dziś mają wrócić i zdać raport.*

A zatem rozpoczęła się już ta walka, która ma stanowić o naszej przyszłości! Boże! Daj nam tyle męstwa, abyśmy znieść mogli to wszystko, co nas dręczy...

Zatrzymajmy się na chwilę nad tym listem. Autorka biografii istotnie mogła w nim widzieć przede wszystkim dowód niezłej orientacji Sczanieckiej w zachodzących wydarzeniach. Jednak nawet w reáliach pierwszej połowy XIX wieku taka wylewność na piśmie raczej nie świadczyła o rozsądku autorki, rzeczywiście dobrze zorientowanej w tym, co ją otaczało. Chciała zrelacjonować siostrze (a więc i rodakom w Księżstwie) przebieg wydarzeń i przekazać zatroskanym

rodzinom wiadomości o bliskich, którzy już wkrótce mieli ruszyć do walki. Najwidoczniej jednak nie zdawała sobie sprawy z sądowego znaczenia owych listów, gdyby któryś z nich dostał się w ręce policjanta pruskiego. Relacje Szczanieckiej byłyby wówczas doskonałym dowodem pisemnym (znacznie ważniejszym niż informacja ustna) zaangażowania konkretnych osób z Wielkopolski w walkach powstańczych. Władze pruskie na ogół wiedziały, kto, kiedy i gdzie walczył, ale ułatwianie im pracy sporządzaniem pisemnych zestawień może świadczyć o braku doświadczenia i wyobraźni panny Emilii. Dalsze wydarzenia z lat 1848 i 1863 - 1864 nauczyły ją powściągliwości i dyskrecji w zostawianiu na piśmie informacji, które mogłyby okazać się przydatnymi dla policji pruskiej. Na razie jednak Szczaniecka była pochłonięta przygotowaniami do pracy samarytańskiej, wyraźnie też uległa ekscytacji zachodzącymi wydarzeniami i dała się ponieść fali uniesień patriotycznych.

Trzeba jednak przyznać, że mimo nieco bogoojczyźnianych i patetycznych wezwań (typowych dla korespondencji tamtych czasów) w konkretnych sprawach wypowiadała się stanowczo, rzeczowo, bez zbędnych słów czy ozdobników. Jest to cecha ludzi o talentach przywódczych, kierowniczych. Czy Szczaniecka już wtedy je uzewnętrzniała – należy wątpić. Chciała przyjąć na siebie obowiązki, o których miała tylko teoretyczne pojęcie, ponadto znalazła się w otoczeniu kobiet górujących wtedy nad nią intelektualnie i obyciem towarzyskim, choć sama panna Emilia raczej nie była typem zastraszonej prowincjuszki. Trudno jednak rozwinąć samodzielnie skrzydła w sytuacji, gdy z jednej strony zarządem Towarzystwa Dobroczynności Patriotycznej Kobiet kierowała bardzo inteligentna, a przy tym energiczna Klementyna Hoffmanowa, z drugiej zaś stała najbliższa przyjaciółka Klaudyna Potocka, dla której ludzkie i sprawy stolicy Królestwa Polskiego nie miały tajemnic. Jednak najtwardsza szkoła życia miała dopiero na-
dejsć.

Pierwsze doświadczenia zebrała jeszcze w lutym, gdy do Warszawy zaczęto zwozić rannych z bitew pod Stoczkiem i Kałuszynem. Hoffmanowa skierowała Szczaniecką do pracy w szpitalu wojskowym na Ujazdowie, gdzie została zatrudniona jako pomocnik lekarza. Na razie tylko obmywała rany i je bandażowała. Miała okazję oswoić się z wyglądem zranień będących wynikiem walki, ale mimo ogromnego zmęczenia fizycznego nie odczuwała przygnębienia. Dopiero co przy-

byli z pola boju ranni żołnierze często jeszcze byli pod wrażeniem niedawnych sukcesów, ich nastrój był znakomity, udzielał się on też pielęgniarce.

Jednak naprawdę ciężka praca rozpoczęła się od 20 lutego 1831 roku – pierwszego dnia bitwy grochowskiej (właściwy, decydujący bój stoczono pięć dni później). Nie było już czasu na doksztalcanie i nabieranie doświadczenia. Z dnia na dzień lawinowo zaczęli do Warszawy napływać ranni żołnierze, wymagający opatrzenia, ręki lekarza, wyżywienia, często również przebrania, wreszcie warunków do rekonwalescencji. Ustalił się wtedy rytm pracy polskiego personelu sanitarnego. Zespoły kierowane przez generała Karola Kaczkowskiego udzielały pomocy jeszcze na polu walki, o ile warunki boju na to pozwalały. W miarę możliwości zbierano rannych i wywożono ich do szpitali warszawskich, gdzie czekał na nich inny personel. Wkrótce okazało się, że konieczne jest skierowanie na pole bitwy jak największej liczby osób umiejących udzielić pierwszej pomocy. Zalecany był pośpiech, gdyż bój toczył się w warunkach zimowych, które wprawdzie powstrzymywały rozwój infekcji, ale powodowały szybkie zamarznięcie zszokowanych, pokaleczonych, gwałtownie wyziębionych ludzi. Środki transportowe i przygotowana „baza szpitalna” w Warszawie na około 3000 rannych okazały się niewystarczające dla udzielenia pomocy wszystkim potrzebującym. Trzeba było się odwołać do ofiarności mieszkańców miasta.

Emilia Sczaniecka od razu dostała się w wir ciężkiej pracy sanitariuszki w czasie toczącej się walki. Robić musiała wszystko: wyszukiwać rannych, opatrywać ich, organizować transport, pomagać chirurgom w trakcie zabiegów, wreszcie – po pewnym czasie – także zajmować się nimi w trakcie pobytu w szpitalu. Kiedy przemęczona wracała do swego pokoju w oficynie pałacu Łubieńskich przy ul. Królewskiej, znajdowała jednak czas na pisanie listów do siostry. Zaczęła już zauważać dysproporcję sił polskich i rosyjskich, a nawet zdarzało się jej wtrącać na pół fachowe uwagi na temat możliwości bojowych poszczególnych formacji. Wydaje się, że powtarzała opinie znajomych ludzi w mundurach, bo w boju nie uczestniczyła, nie oglądała też walki – nie tyle z racji niechęci, ile z braku czasu. Nie unikała też opinii o okropnościach boju i ogromie żołnierskiego nieszczęścia.

Rankiem 20 lutego Szczaniecka rozpoczęła pracę w nowym miejscu: w Szpitalu Wolskim. Tu spotkał ją zawód. Po latach tak pisała w relacji opublikowanej dopiero po jej śmierci:

Szpital ów znajdował się za Wolskimi rogatkami obok kościoła. Na wstępie spotkała mnie przykreść, bo zamiast opatrywać rannych, do czego czułam się powołaną, wysłano mnie do kuchni, a tam kucharz, stary pijak, przekonawszy się o mojej zupełnej niewiadomości w tym zakresie, lajał bez przerwy. Po pewnym czasie, ku wielkiej mej radości, zjawiała się w kuchni jakaś pani, rodem z Warszawy. Miała intencją służenia w lazarecie i powierzonym jej opiece rannym – lecz nadawała się do doglądania chorych właśnie tyle, ile ja do gotowania – więc zamieniłyśmy nasze role ku zupełnemu zadowoleniu obydwóch stron. Odtąd już stale zajęta byłam pielęgnowaniem rannych. Straszny widok ran nieszczęśliwych ofiar powstania, duszne powietrze lazaretu, rozpaczliwe jęki konających, zrazu tak na mnie podziały, iż całymi dniami nie byłam zdolną przyjąć żadnego pożywienia. Ogłuszający bezustanny huk armat [tu panna Emilia trochę przesadziła, zważywszy odległość Szpitala Wolskiego od pola bitwy grochowskiej – dop. M.R.], świst kul potęgował się z dniem każdym – lekarze mdleli ze zmęczenia, niepokój o bliskich rozdzierał mi serce. Dopiero wieczorem, gdy przyszedłam do swego mieszkania, tj. do palacu Łubieńskich, mogłam nieco siły me pokrzepić. Ale one powoli opadały, byłam tak osłabioną i zmienioną, iż zwróciłam uwagę pewnej miłosiernej rzeźniczki, która chorych pielęgnowała.

– Pani tak strasznie mizerna – zaczęła mnie jednego wieczoru, gdyśmy razem pełniły służbę – uważam, że pani nic nie je – dlaczego?

– Tutaj nie mogę – odparłam smutno – jest mi przeciwnem jadać z lazaretowej kuchni.

Kobieta uzalawszy się nade mną, przyniosła nazajutrz z domu swego wódki, likieru, mięsa i od tej pory codziennie brała z sobą zapas żywności, pilnując, abym takowy spożyła sumiennie. Opieka tej zacnej rzeźniczki ocaliła mi życie. Stopniowo siły wracały, byłam jednak jeszcze bardzo wrażliwą i niezahartowaną na widok śmierci lub konania.

Aby zrozumieć sens tego opisu, trzeba sobie uświadomić realia ówczesnego szpitala polowego, pracującego w warunkach toczącej się bitwy. Nie było wtedy środków uśmierzających ból ani antybiotyków. W miarę upływu czasu, gdy mijało działanie narkotyku walki, ranny żołnierz zaczynał przeżywać męczarnie fizyczne, których nie zawsze była w stanie przytłumić apatia. Metody leczenia i operowania z dzi-



4. Lazaret Poznański w pałacu Łubieńskich w Warszawie w 1831 roku

siejszego punktu widzenia były wręcz barbarzyńskie, a wygląd lazaretu, dochodzące stamtąd jęki, krzyki, zapachy, z czasem mogły doprowadzić osobę nie przyzwyczajoną do takich wrażeń i mniej odporną psychicznie do urazu nerwowego. Po wielu latach atmosferę takiego miejsca doskonale opisywał Henri Dunant, twórca Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, a w literaturze pięknej – Margaret Mitchell w powieści *Przemięło z wiatrem*. Czytając opis szpitala polowego 2 Korpusu Polskiego w czasie bitwy o Monte Cassino, pióra Melchiora Wańkowicza, też trzeba zachować odporność psychiczną – cóż dopiero w warunkach szpitala dziewiętnastowiecznego, gdy na polu walki chirurg posługiwał się przeważnie tylko przyrządami do wydobywania kul z ciała, igłą, niemi i piłą amputacyjną.

Wydaje się, że kierując Szczaniecką do kuchni, starano się jej zaoszczędzić morderczej pracy z rannymi. Obawiano się najwidoczniej, że nie sprostą zadaniu wymagającemu siły fizycznej i psychicznej odporności. Na obwiązaniu rany sprawa się przecież nie kończyła. Ranny musiał być nadal pod obserwacją i kontrolą, wymagał indywidualnego podejścia, trzeba się było przygotować do różnych zachowań, każdemu zaś pomóc nie tylko fizycznie, ale i podtrzymać psychicznie. Takich problemów dotąd panna Emilia nie miała i chyba niezupełnie była ich świadoma. Uczyla się na własnych doświadczeniach i radach otoczenia.

Wreszcie nadszedł kryzys. Sczaniecka, przemęczona, przytłoczona dramatem ludzi powierzonych jej opiece, zmizerniała. Znamienne jednak, że tłumaczyła to... niechęcią do lazaretowej diety (bo chyba nie chodziło o ewentualne pozbawienie pożywienia rannych, jako że personel szpitalny zawsze był utrzymywany ze środków przeznaczonych na koszty opieki). Należy przypuścić, że maskowała w ten sposób kryzys psychiczny. W warunkach wojennych bowiem, przebywając dłuższy czas w niesprzyjających okolicznościach i przy nieustannej, wyczerpującej pracy, człowiek z reguły obojętnieje na to, co, gdzie i jak je, gdzie śpi i kto jest w jego najbliższym otoczeniu. Sczaniecka (jak można wywnioskować z jej zachowania – i to już w 1831 roku) raczej należała do tej właśnie grupy. Miała świadomość, że jaśniepańskie maniere nie są tu właściwe, ale ich ukazanie w takiej sprawie i w tym miejscu było dla niej wtedy bardziej możliwe do przyjęcia, niż posądzenie o miękkość charakteru. Ale i ta chwila nadeszła niebawem. Znowu oddajmy głos pannie Emilii:

W moich oczach kończył właśnie małoletni chłopiec, który zaledwie w pierwszej wiosnie, już życiem przyplacił bohaterowi zapal w nierównej walce z nieprzyjacielem. Jedynek to był – ostatnia pociecha i nadzieja owdowiałej matki, toteż żał mi było serdecznie i tego życia młodego i samotnej wdowy. On począł gorącymi słowami zaklinać mnie, abym matce oddalonej doniosła o jego śmierci – i hardy wobec kul nieprzyjacielskich teraz płakał rzewnie, wspominając, że drogiej twarzy matki już nigdy nie zobaczy! Cóż dziwnego, że słuchając rozdzierających słów pożegnalnych młodzieniaszka, zalewałam się łzami...

Posługacz szpitalny, widząc moje rozrzewnienie, zapytał:

– Czy to pani brat umiera?

– Nie!

– No to pewnie który z przyjaciół?

– I to nie, ja go nie znam wcale.

– Moja pani – odparł szorstko – jeśliś taka plaksa idź do domu, tu nie miejsce dla ciebie.

Proste słowa posługacza wywarły na mnie silne wrażenie – odtąd starałam się lepiej panować nad sobą. W strasznych chwilach mnożyły się tragiczne wypadki i trzeba było mieć dużo zasobów energii, aby nie upaść na duchu.

Znamienne, że opis ten rozpowszechniono dopiero po śmierci Sczanieckiej, w 1926 roku, na łamach poświęconego jej pamięci dodat-

ku ilustrowanego do „Gazety Powszechnej”. Wbrew pozorom jest to nie tylko powściągliwa relacja z kryzysu psychicznego, jaki spotkał pannę Emilię na widok umierającego młodego żołnierza. Mamy tu bowiem jedyny znany przypadek załamania się Sczanieckiej w trakcie pracy samarytańskiej. Trudno posądzać 27-letnią kobietę o tanią czułość po paru dniach wyczerpującej pracy z rannym. W takich przypadkach zwykle przychodzi obojętność, a nawet otępienie. Raczej należy ją podziwiać, że miała jeszcze dość siły, by przeżywać dramat rannego.

Wydaje się, że istota sprawy tkwi w czymś innym. Panna Emilia, po przetrzymaniu kryzysu związanego ze zmęczeniem fizycznym, załamała się psychicznie. W takim przypadku ochotnik zwykle wycofuje się z dalszej służby i działalności, chyba że nastąpi przełom, który spowoduje odzyskanie równowagi psychicznej, pozwoli „wziąć się w garść”. Wiele wskazuje na to, że w przypadku Sczanieckiej nastąpiło drugie z tych zjawisk – na szczęście dla przyszłych jej działań. Realia życia w ówczesnym lazarecie lub szpitalu wojskowym pozwalają przypuszczać, że panna Emilia znacznie złagodziła odezwanie się posługacza, odpowiednika dzisiejszej salowej. Scena przy łóżku umierającego żołnierza musiała być istotnie denerwująca, skoro pozwolił sobie na takie ostre uwagi w stosunku do osoby ze zwierzchniego dłań personelu medycznego.

Wydarzenie to równocześnie podważa jeden z mitów otaczających powstanie listopadowe. Była to nie tylko walka zbrojna pełna patriotycznej frazeologii, a nawet egzaltacji, porywających pieśni i powiewających sztandarów narodowych, ale też brutalna krwawa rzeź na polach bitew, gdzie w rozpacz, mękach konania, ponurych scenach niewiele zostało miejsca na bogoojczyźniane deklaracje. Gwałtowne przejście z romantycznych nastrojów do brutalnych realiów szpitala polowego było dla Sczanieckiej szokiem, wiodącym do nieuniknionego kryzysu. Nie była wyjątkiem. Dziewczęta, którym jednak udało się wstąpić do pułków liniowych, przeżyły szok jeszcze większy, gdy po raz pierwszy dostały się w wir na przykład walki kawaleryjskiej – jak choćby Barbara Czarnowska w bitwie grochowskiej. Najczęściej mdlały, traciły głowę lub wycofywały się z boju. Znamienna bywała reakcja ich kolegów obecnych przy udzielaniu pomocy dziewczynie dotychczas ukrywającej swą pleć: nie rozczulali się nad jej zapalem patriotycznym (jak można było się spodziewać po wydzwisku niektórych

publikacji), lecz ogarniała ich nie ukrywana irytacja. Żołnierz w walce potrzebuje u boku nie pełnego ideałów słabeusza, lecz kolegi, na którym będzie mógł polegać w chwilach zagrożenia. Nie wszyscy idealisci czasu wojny chcieli to zrozumieć: tak nie mógł pojąć Fryderyk Chopin unikania go przez przyjaciół, którzy wracali do walczącego Królestwa, z kolei diamentem rzuconym w płomień była później śmierć Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Gajcego – żołnierze byli z nich przeciętni, ale kultura poniosła stratę niepowetowaną.

Dokładnie według tych właśnie zasad potraktował Sczaniecką posługacz szpitalny. Udzielona jej wtedy przez prostego człowieka lekcja rzeczowości została zapamiętana już na całe życie. Niezręcznie było by jej wracać do Wielkopolski z przeświadczeniem, że nie dała sobie rady, że nie wytrzymała trudów pracy, która według dotychczasowego przeświadczenia miała być jej celem życiowym.

Warto było zwrócić uwagę na ów epizod z życia panny Emilii, gdyż doświadczenie to ukierunkowało całą jej późniejszą działalność. Od tej chwili w każdej pracy związanej z udzielaniem pomocy rannym była troskliwa, ale rzeczowa. Bywała zmęczona, przeciążona obowiązkami, ale nie pozwalała sobie na chwile słabości przy łóżku chorego. Dopiero po jakimś czasie, gdy nadchodziło odprężenie, ujawniał się stopień napięcia psychicznego, w jakim się wcześniej znajdowała – niestety w postaci schorzeń, które niegdyś wcale nie dawały znać o sobie (m.in. trudności z chodzeniem).

Od epizodu z posługaczem panna Emilia nie miała już kłopotów z opanowaniem się w pracy; uporządkowała swój tryb życia, zaczęła racjonalnie gospodarować swym czasem i siłami. Intensywna, wyczerpująca praca w szpitalu nie przeszkadzała jej w kontynuowaniu korespondencji z siostrą. W szpitalu miała coraz więcej zajęć, zwłaszcza 25 lutego, gdy ważyły się losy bitwy pod Grochowem. W Warszawie, jak sama Sczaniecka napisała: *Położenie było tak straszliwe, iż każde serce musiało zdrżeć na widok, który tu się przedstawiał. Łóżek było tylko dwieście, a z pola walki przywieziono 5000 rannych i razem wrzucono konających z kalekami i trupy z żyjącymi jeszcze.* Nie było mowy o przyjęciu ich wszystkich w szpitalach i lazaretach – ranni zostali ulokowani w prywatnych mieszkaniach, szkołach oraz w licznych w Warszawie budynkach koszarowych.

Panna Emilia została skierowana do pracy w koszarach Sapieżyńskich, a potem w koszarach gwardii na Żoliborzu, gdzie z braku zorganizowanej opieki medycznej musiała przejąć inicjatywę i kierow-

nictwo lazaretu, sprowadzić lekarzy i sanitariuszy. Szczególnie trudna była dla niej chwila, kiedy zabrakło żywności dla kilkudziesięciu rannych. Dzięki przypadkowo znalezionej osobie, która z własnej inicjatywy zaczęła dostarczać pożywienie do szpitala, udało się zapobiec rozruchom głodowym i tragedii.

Powoli stała się znana i popularna wśród rannych żołnierzy. Między tymi, którym obce było jej nazwisko, ustaliło się pojęcie „czarnej pani” – od koloru sukni noszonej przez Sczaniecką na co dzień. Z czasem tak przywykła do tego ubioru, że zaczęła w owej sukni chodzić także po powrocie do Wielkopolski. W niektórych opisach pojawiła się nawet sugestia, jakoby panna Emilia, nosząc czarną suknię, demonstrowała swą żalobę po niepodległej Polsce – byłaby zatem prekursorką żaloby narodowej, po 1861 roku obowiązującej wśród Polek w zaborze rosyjskim. W rzeczywistości chodziło o coś zupełnie innego: o wygodę. Pracując od rana do wieczora w lazaretach, Sczaniecka nie miała możliwości regularnie wymieniać wierzchniej odzieży, nie mówiąc już o jej praniu. Kolor czarny zaś skutecznie maskował brud, kurz, nawet plamy krwi. Co prawda, ówczesne pielęgniarki nosiły także dodatkowo białe fartuch, często przekazywany w ręce praczek, ale modna wtedy zimną długa, szczelnie zapięta pod szyję codzienna suknia już nie mogła być czyszczona z taką samą częstotliwością. Poziom ówczesnej higieny daleko odbiegał od reguł obowiązujących dzisiaj i takie zasady nikogo nie raziły. Wygodniej więc było mieć kilka czarnych sukien używanych kolejno, niż chodzić w jasnej odzieży, z koniecznością oszczędzania się przy pracy, by jej nie zabrudzić. Z czasem zresztą panna Emilia nosiła czarną suknię, by dać wyraz żalobie po śmierci kolejnych osób z najbliższej rodziny – i tak już zostało. Bywały jednak chwile, gdy w celach towarzyskich ubierała się na jasno, zaskakując otoczenie gwałtowną zmianą (na korzyść) swego image. To jednak było później.

Wiosną 1831 roku walczące Królestwo zostało dotknięte kolejnym nieszczęściem: armia rosyjska przyniosła ze sobą epidemię cholery, która zaczęła czynić spustoszenie w wojsku carskim; nawet wśród wyższych dowódców krążyły pogłoski, że była wygodnym kamuflażem dla usunięcia niewygodnych osób, wśród nich wielkiego księcia Konstantego i feldmarszałka Iwana Dybicza. Przez kontakt na polu walki, w lazaretach i z ludnością cywilną zaraza przeniknęła także wśród Polaków, z czasem zresztą dotarła i do Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

W lazaretach epidemia zaczęła zbierać obfite żniwo; zachorowała też, choć dosyć lekko, Emilia Sczaniecka. Mimo odsunięcia zagrożenia od stolicy, wysiłek lekarzy i pielęgniarek wcale się nie zmniejszył. Zmienił się tylko kierunek pracy: w szpitalach przeważali rekonwalescenci i osoby chore na cholere. Pomoc, której trzeba było udzielać rannym z kolejnych bitew, już nie wymagała natychmiastowej interwencji fachowej. Na opiekę nad rannymi i chorymi wciąż jednak konieczna była ofiarność finansowa, dostarczanie żywności, środków opatrunkowych, bielizny pościelowej i osobistej itd. Minęła jednak wcześniejsza nerwowość, łatwiej było układać dyżury, regulować okresy pracy i wypoczynku.

Minęła nerwowa gorączka bieżącej pracy, nadeszła pora bilansu, podsumowania dotychczasowego trudu—zatem w prasie warszawskiej zaczęły się pojawiać podziękowania i wyrazy wdzięczności wobec osób szczególnie zasłużonych w działalności samarytańskiej. Emilia Sczaniecka była wymieniona wśród pielęgniarek symbolizujących całkowite oddanie wykonywanej pracy, nie unikającej najbardziej uciążliwych czynności. Sprawdziła się i zyskała popularność. Została zauważona, zdobyła uznanie i szacunek rodaków.

W dalszym ciągu relacjonowała w listach wszystkie najważniejsze wydarzenia w Warszawie i całym Królestwie. Ponieważ wielu poznańców ruszyło pod komendą swego krajana, Dezyderego Chłapowskiego, na Litwę, Sczaniecka zaczęła spełniać funkcję łącznika między nimi i Wielkim Księstwem Poznańskim. Kurierzy regularnie kursujący między Chłapowskim i Warszawą dostarczali korespondencję, którą panna Emilia później kierowała za kordon; tę samą drogę odbywały listy z Księstwa do walczących na Litwie. Szczególnie trudne zadanie musiała wziąć na siebie po wybuchu epidemii cholery, gdy pozostałe w Poznańskim rodziny były pełne niepokoju o swych bliskich. Uspokajała, niekiedy bagatelizowała niebezpieczeństwo, starała się przekazać jak najwięcej informacji o konkretnych osobach. Oczywiście nie przerwała kwesty na cele powstania; wdzięczni Wielkopolanie nadal przysyłali jej pieniądze, choć (co jest w pełni zrozumiałe) było ich już mniej niż w grudniu 1830 roku. Rozliczała się też z nich sumiennie. Oto przykład takiego sprawozdania, wysłanego 24 maja do jednego z ofiarodawców:

Doprawdy nie wiem, jak mogłam sobie zasłużyć na zaufanie Pana Dobrodzieja, tak mało mając szczęścia być od niego znaną. Pozwól Pan

przynajmniej mały rys przesłać sobie z użytku przesłanych pieniędzy, jako i ich ilości. Pan Hektor (Kwilecki) zostawił mi 300 talarów i 3 sztuki złota (te użyłam w Lazarecie Gwardyjskim na lekarstwa, pijawki, bańki, plastry itd.), na czym w początkach bardzo zbywało; i na żywność dla takich sal, które były zupełnie zapomniane... Później od pana Łubińskiego odebrałam 562 talary z zaznaczeniem, że to na potrzeby kolegów. Zdawało mi się, że nie tylko chorzy mieli prawo do dobrodziejstwa, ale też i ci ochotnicy ubożsi, którzy bez grosza zostawali i nie mieli się za co umundurować, gdy zostali awansowani. O złożonych tam pieniądzach tylko niektórym osobom powiedziałam, aby gdy będą widzieć którego w krytycznym położeniu, poradzili mu do mnie się udać. Tym, od których można się spodziewać zwrotu pieniędzy, daję w formie pożyczki, chcąc, ile możliwości, żeby te pieniądze tylko zupełnie biednych doszły. Pani Otocka przysłała na moje ręce 148 loudorów z życzeniem, aby były użyte na lazarety... W tych dniach odebrałam z banku 194 talary 16 trojaków, z których później będę mieć honor przesłać rachunek. Będę się mienić za najszcześniejszą, jeżeli sposób użycia tych pieniędzy zjedna mi Pana Dobrodzieja zadowolenie.

Cytująca ów list D. Wawrzykowska-Wierciochowa uznała, że jest on jednym z dowodów na spełnianie przez Szaniecką funkcji swoistej kasjerki Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Jest w tej opinii nieco przesady, fundusze przeznaczone dla poznańczyków uczestniczących w powstaniu płynęły każdą drogą możliwą do wykorzystania. Faktem jest, że popularność panny Emilii sprawiła, iż coraz wyższe kwoty zaczęto właśnie jej powierzać. Była Wielkopolanom potrzebna właśnie z racji wielostronności działań: pomagała rannym i chorym, relacjonowała pisemnie przebieg wojny, informowała o losach walczących, gromadziła fundusze i zajmowała się ich podziałem. Był to ogrom pracy, której nie można nie zauważyć i nie docenić. Zwróćmy też uwagę, że w zespole pracowała tylko podczas pełnienia funkcji samarytańskich, pozostałe zadania wykonywała już sama. Aby poradzić sobie z tym wszystkim, należało mieć wrodzone zdolności organizacyjne, być systematyczną, umieć organizować sobie czas, wreszcie wykazać się wielkim samozaparciem, siłą ciała i ducha. Była to wielostronność działania charakterystyczna dla Wielkopolan z jej pokolenia – oczywiście tych, którzy podjęli się pracy społecznej; w XIX wieku zaś region miał ich wyjątkowo wielu. Ludzie ci zwarli swe szeregi po upadku powstania z lat 1830-1831, w chwili narodzin ruchu organicznikowskiego.

W maju 1831 roku Szaniecka była zaangażowana równocześnie w Szpitalu Wolskim i w Lazarecie Poznańskim w pałacu Łubieńskich. Gdy dotarła do niej wiadomość o klęsce w bitwie pod Ostrołęką (26 maja 1831 roku), jeszcze tego samego wieczora przystąpiła do organizowania wyjazdu na pobożowisko. Do pomocy zaangażowała Klaudynę Potocką i Natalię Kicką; wspólnie skompletowały zespół ratowniczy, który na kilku wozach ruszył pod Ostrołękę. Widok pola niedawnej bitwy wstrząsnął Szaniecką. Fatalnie zorganizowana pomoc rannym i oddalenie od stolicy sprawiły, że działy się tam sceny niemal dantejskie. Tym razem jednak poradziła sobie bez większych sensacji zdrowotnych i psychicznych, zaś lazarety warszawskie, w których wciąż jeszcze kurowało się około 16 tys. rannych, musiały przyjąć kolejnie 3000 uczestników bitwy ostrołęckiej.

Znacznie gorsza była radykalizacja nastrojów w społeczeństwie polskim, zwłaszcza wśród mieszkańców Warszawy. Rozgorzały konflikty i kłótnie polityczne, radykałowie zaczęli szukać przyczyn, a przede wszystkim winowajców ponoszonych porażek. Echa tych konfliktów utrwalała Szaniecka w swych listach, akcentując niepokoje coraz częściej ujawniające się w sejmie, na ulicach miasta i w salonach towarzyskich. Wreszcie w końcu czerwca doszło do nie kontrolowanego wybuchu w stolicy. Szaniecka, która przypadkowo znalazła się w kręgu tych wydarzeń, zachowała jednak spokój i z dezaprobatą wyrażała się o intencjach przywódców zamieszek.

Do kolejnych rozruchów doszło w sierpniu. Tym razem wzburzony tłum dokonał samosądu na kilku generałach posądzonych o zdradę i na dawnych szpiegach wielkiego księcia Konstantego. Szaniecka, zdegustowana zachodzącymi wydarzeniami, niepokoili się o los znanych jej Wielkopolan, wśród których było też wielu arystokratów, szczególnie znieawidzonych przez wzburzony tłum. Miała też inne powody do obaw. W Poznańskim rozpoczęły się represje wobec Wielkopolan, biorących udział w powstańczych walkach w Królestwie. Majątek Emilii Szanieckiej został objęty sekwestrem, a sprawa przeciwko niej była w toku. Na swego pełnomocnika panna Emilia wybrała Józefa Grabowskiego z Łukowa, który reprezentował ją wobec władz poznańskich i berlińskich – z wyraźnym jednak zakazem występowania do króla z prośbą o łaskę.

Boleśniejsza była dla Szanieckiej sprawa losów korpusu Giełguda i Chłapowskiego, który w lipcu 1831 roku został zmuszony do prze-

kroczenia granicy Prus Wschodnich. Z jednej strony więc bardzo się niepokoiła losom służących tam poznańczyków (wiedziała tylko tyle, że pod Szawłami polegli ksiądz Ignacy Loga oraz Ignacy Mielżyński), z drugiej razem z innymi mieszkańcami stolicy z radością przeżywała powrót korpusu generała Henryka Dembińskiego z Litwy. Później zaczęli ścigać do stolicy ci żołnierze Chłapowskiego, którzy nie wykonali rozkazu przekroczenia granicy Prus bądź już zza kordonu wrócili do Królestwa. Jednak nie było wśród nich bliższych znajomych Szczanieckiej.

Był to już jednak sierpień 1831 roku, gdy miasto szykowało się do obrony przed nadciągającym korpusem feldmarszałka Iwana Paskiewicza. Powtórzyły się przygotowania w lazaretach podobne do tych, które prowadzone były w styczniu i lutym.

Po dwudniowym szturmie 6 i 7 września miasto zostało zmuszone do kapitulacji. Wśród pań z Towarzystwa Dobroczyńności zapanował niepokój o los rannych leżących w szpitalach, którzy znaleźliby się pod kontrolą władz rosyjskich, objęci śledztwem, a niektórzy z nich zagrożeni zsyłką na Syberię. Trudne było też położenie Wielkopolanek pracujących w lazaretach. Były poddanymi króla pruskiego, przed paroma miesiącami nielegalnie przekroczyły granicę, w Wielkim Księstwie Poznańskim czekały już na nie władze policyjne. Postanowiono więc wywieźć z miasta jak najwięcej rannych zdolnych do transportu, pozostałym zaś w miarę możliwości pozmieniać nazwiska, by utrudnić pracę rosyjskim organom śledczym. Z rannymi Warszawę miały opuścić wszystkie pielęgniarki przybyłe spoza Królestwa; opiekę nad pozostałymi zaś przejęły warszawianki pod kierunkiem Katarzyny Sowińskiej, wdowy po bohaterskim obrońcy Woli.

Na realizację tego planu było już jednak za mało czasu, choć dzielne samarytanki czyniły wszystko, co tylko było możliwe. Ostatecznie postanowiono ruszyć za armią wycofującą się do Modlina, by tam kontynuować pracę pielęgniarską. Tymczasem 12 września do Warszawy zaczęły wkraczać zwycięskie oddziały carskie. Klaudyna Potocka wykorzystała rodzinne koligacje swego męża z komendantem rosyjskim stolicy generałem Wittem, by uzyskać zgodę na wyjazd z miasta z „dworem”. Oczywiście owa wyjątkowo liczna asysta w większości składała się z polskich oficerów, którzy jeszcze nie zdążyli wydostać się z Warszawy, i pań – Wielkopolanek, pod zmienionymi nazwiskami. Wśród nich była służąca Dorota Grossen, czyli Emilia

Sczaniecka. W Modlinie zachorował „na nerwową febrę” jej brat Stanisław. Obydwie przyjaciółki zgodnie czuwały przy łożu chorego. Potem nie zostało już nic innego, jak decyzja przekroczenia granicy pruskiej.

Pod Toruniem Potocka wraz ze swym „dworem” musiała przejść obowiązkową kwarantannę, po czym dojechano do Torunia. Tu Sczaniecka zachorowała, w dodatku musiała przejść przesłuchanie sądowe w związku ze sprawą jednego z towarzyszy podróży z Warszawy, Józefa Tańskiego, który został zdemaskowany. Parokrotnie obydwie przyjaciółki doznały upokorzeń związanych zarówno ze śledztwem, jak i z nie najlepszym traktowaniem przez przedstawicieli władz pruskich, którzy wtedy raczej nie ułatwiali życia żołnierzom i działaczom polskim zmuszonym do przekroczenia granicy.

Ostatnim akcentem łączącym osobę Sczanieckiej z Warszawą i wydarzeniami wojny polsko-rosyjskiej 1831 roku był *obraz św. Mikołaja, zdobyty na Moskalach, oprawny w piękne złote ramy*, ofiarowany panie Emilii przez Rząd Narodowy na pamiątkę jej ofiarnej pracy przy rannych. Obraz ten był oddany na przechowanie, ale mimo usilnych starań już nie wrócił do rąk właścicielki.

Udział w wojnie 1831 roku był dla Sczanieckiej twardą szkołą życia. Po raz pierwszy na tak dużą skalę zetknęła się z ludzkim nieszczęściem, z realiami pola bitwy i skutkami walki zbrojnej. Nauczyła się udzielać pomocy rannym, kierować lazaretem, zdobyła też praktykę w pracy organizacyjnej. Umiejętności te przydały się jej zarówno w podobnych doświadczeniach w przyszłości, w latach 1848 i 1863 - 1864, jak i w samodzielnym zarządzaniu własnym majątkiem. Nauczyła się realizmu w ocenie sytuacji; z typowo dziewiętnastowiecznej, nieco romantycznej i egzaltowanej osoby stała się kobietą bardzo rzeczową i praktyczną. Dojrzała psychicznie, uodporniła się na przeciwności losu. Doświadczenia kolejnych dziesięcioleci potwierdziły przydatność tych cech przy realizacji zadań, jakie postawiła przed sobą panna Emilia.

Rozdział III

DZIAŁALNOŚĆ PATRIOTYCZNA I CHARYTATYWNA W LATACH 1831 - 1844

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że poczynania polskich elit przywódczych i kulturalnych w Wielkim Księstwie Poznańskim w ciągu następných kilkunastu lat były następstwem klęski powstania listopadowego. Niepomyślny wynik walki zbrojnej zaowocował pojawieniem się nowych prądów ideologicznych i kierunków działania, takich jak ruch organicznikowski. Ziemię polską w obawie przed represjami opuściło też około 8000-9000 osób, głównie z intelektualnej elity narodu. Była to Wielka Emigracja – ogromne środowisko twórcze, które dało początek odmiennym niż przedtem sposobom oglądania polskiej rzeczywistości. Ludzie ci, zwłaszcza pochodzący z Królestwa, drogę powrotu mieli zamkniętą, gdyż akt amnestii wydany przez Mikołaja I w listopadzie 1831 roku nie obejmował przywódców i działaczy powstania, czyli ich właśnie. Zresztą niektórzy z nich i tak nie widzieli dla siebie miejsca w spacyfikowanym przez carskie władze Królestwie Polskim.

Znacznie mniej jasna była sytuacja uczestników powstania pochodzących z zaborów pruskiego i austriackiego. Dla nich powrót w ojczyście strony z pewnością wiązał się z perspektywą aresztowania, sądu i nieuchronnej kary, ale w realiach nieporozumień wśród państw Świętego Przymierza mieli szansę na amnestię, trzeba jednak było przeczekać, a i to bez gwarancji. Ostatecznie utrwaliły się trzy wzorce postępowania: natychmiastowy powrót do Księstwa, odbycie kary i szybkie włączenie się w życie regionu; tymczasowa emigracja

połączona z obserwacją wydarzeń w Wielkim Księstwie Poznańskim i wreszcie decyzja pozostania poza krajem już na stałe. Najczęściej wybierano drugą drogę; tak uczynił m.in. Karol Marcinkowski. Znamienne, że różnica decyzji nie oddaliła tych ludzi od siebie. Nadal utrzymywano kontakt listowny i przez znajomych, ku irytacji władz i dużej aktywności policji pruskiej.

Jak już wspomniano, król Fryderyk Wilhelm III nakazał natychmiastowy powrót Polakom z pruskiego zaboru, którzy udali się do Królestwa Polskiego. Zarządzenie to stało się podstawą działań naczelnego prezesa prowincji Eduarda Flottwella. Uważał on (poniekąd słusznie), że głównym oparciem dla podtrzymywania i szerzenia polskości w Księstwie było środowisko szlacheckie, ziemiańskie oraz rodząca się dopiero burżuazja. Liczny udział ludzi z tych kręgów w powstaniu listopadowym był doskonałą okazją do uderzenia w szlachtę wielkopolską. W rezultacie zanosilo się na to, że represje obejmą ponad 500 uczestników powstania z Poznańskiego, a po 1 kwietnia 1832 roku (ostateczny wyznaczony termin powrotu) – nawet 950. Sankcje skierowane przeciw aż tylu przedstawicielom ziemiaństwa wielkopolskiego podcięłyby egzystencję większości aktywnych działaczy polskich tego środowiska. Kara przewidziana za udział w powstaniu obejmowała m.in. konfiskatę majątków, pozbawienie szlachectwa, grzywnę i osadzenie w twierdzy – byłaby to więc katastrofa trudna do zrekompensowania glorią męczeństwa sprawy narodowej.

O skierowaniu represji głównie przeciwko szlachcie świadczyła też zewnętrzna, honorowa forma wyciągania konsekwencji. W Poznaniu ustawiono szubienicę z zawieszonymi na niej portretami Wielkopolan – powstańców, którzy jeszcze nie wrócili z Królestwa. Powrót delikwenta kwitowano ceremonią zdejmowania i niszczenia wizerunku w obecności oskarżonego. Następnie symbolicznie przywracano mu honor po to, by kontynuować procedurę karno-sądową. Polska ludność Poznania i Księstwa odbierała te obce jej ceremonie obojętnie, wręcz z sympatią dla obwinionych – ci zaś mieli znacznie mniejsze powody do satysfakcji z perspektywą sądu, nędzy i więzienia.

Ostatecznie jednak zwyciężyły chwiejność Fryderyka Wilhelma III i cicha niechęć dworu berlińskiego do Rosji. W rezultacie powstańcy z Wielkopolski, mimo głośnych zapowiedzi sankcji, prędzej czy później odzyskiwali swe majątki, a ich pobyt w więzieniu był niezbyt długi. Górę wzięły (przynajmniej oficjalnie) argumenty przypominające, że

walczyli nie przeciw swemu władcy, lecz z Rosją, kobiety zaś trudno było posądzać o buntownicze zamiary, skoro najczęściej zajmowały się pracą samarytańską – zasłużyły więc na szacunek i wyróżnienie, a nie na sankcje przewidziane prawem. Wiele znaczył wtedy również głos społeczeństwa niemieckiego, które do polskich powstańców odnosiło się z nie skrywaną sympatią. Trudniejsza była sytuacja Polaków – oficerów rezerwy armii pruskiej, którzy złamali zakaz służby wojskowej w armii obcego państwa bez zgody przełożonych. Ale i tu sankcje w końcu okazały się niezbyt uciążliwe. Ostatecznie przeprowadzono około 1500 dochodzeń, z czego 1224 osoby amnestionowano, wyrok skazujący otrzymało 93 ziemian; 30 z nich ostatecznie uwolniono, pozostałych częściowo ulaskawiono.

Jednak początki tego procesu wyglądały groźnie. Władze pruskie nie miały trudności z ustaleniem charakteru i stopnia zaangażowania danej osoby w powstaniu, zatem gdy minął wyznaczony termin powrotu Wielkopolan do Księstwa, następowały represje. Majątki ziemian uczestniczących w wydarzeniach za kordonem zostały objęte sekwestrem, czyli przymusowym zarządem do czasu ostatecznej decyzji – wyroku sądowego. Edyktami królewskimi z 6 lutego i 26 kwietnia 1831 roku dochód z tych majątków został przeznaczony na potrzeby Prowincjonalnego Funduszu Szkolnego. Oczywiście dotychczasowy właściciel nie miał prawa wstępu do swych włości i do czasu wyjaśnienia sprawy musiał sobie znaleźć jakieś locum i środki utrzymania. Różnie sobie radzono. Tytus Działyński, po zasekwestrowaniu mu dóbr kórnickich, zatrzymał się w Krakowie, a potem w majątku żony pod Jarosławiem (w Galicji), jego siostra Klaudyna udała się do teściowej, do Rogalina, także inni podsądni po powrocie do Księstwa szukali dachu nad głową u krewnych, którzy zachowali swe majątki. Ostatecznie w ciągu kilku kolejnych lat niemal wszyscy stopniowo powrócili do swych domów; jednak wtedy, w latach 1831-1833, ich sytuacja była nie najlepsza.

Tymczasem Flottwell i ściśle z nim współpracujący dowódca poznańskiego korpusu armijnego generał Karl von Grolman, mimo fiaska planów zneutralizowania polskiego ziemiaństwa, realizowali zamiar stopniowej germanizacji Księstwa. Od 1829 roku budowano twierdzę w Poznaniu. Poza tym zaczęto stosować interesującą taktykę, która w następnych dziesięcioleciach zwróciła się przeciwko jej autorom. Zgodnie z memoriałem ministra spraw wewnętrznych i policji

Brenna z 30 lipca 1832 roku podjęto decyzje, które zmierzały ku podniesieniu ogólnego poziomu polskiej ludności Księstwa, jej wykształcenia, kultury itd., by tym łatwiej było je scalić z pozostałymi częściami państwa. Realizacja tych zamierzeń była niemożliwa bez współpracy polskiego ziemiaństwa, które z kolei nie mogło funkcjonować bez oparcia materialnego we własnym majątku – a więc koło się zamknęło. Dalsza eskalacja represji wobec polskich elit intelektualnych Księstwa uniemożliwiłaby, a przynajmniej ogromnie utrudniłaby, realizację planów administracji. A że finalizacja tego pomysłu znacznie się rozminęła z oczekiwaniami Flottwella, Grolmana i Brenna – to już inna sprawa.

Zatem idee organicznikowskie trafiły na podatny grunt, w pełni odpowiadały ogólnym trendom polityki państwa, choć każda ze stron robiła to samo, ale w innym celu. Z jednej strony więc zaostrzono kurs germanizatorski, z drugiej zaś otwarto drogę ku podniesieniu poziomu ludności polskiej Księstwa, nie doceniając organizacyjnych możliwości naszych działaczy. W kwietniu 1832 roku język niemiecki stał się urzędowy, a w trzy lata później polszczyzna dopuszczona była tylko w najniższych ogniwach administracji. Poza tym starano się przynajmniej częściowo zneutralizować wpływy duchowieństwa katolickiego w Księstwie. Pojawił się tu zupełnie nowy problem, który w pół wieku później ostatecznie oddzielił intencje obydwu stron. Władze berlińskie niechętnie tolerowały niezależność kleru katolickiego, rządzącego się własnymi prawami, uznającego wyższość władzy papieża nad zwierzchnictwem królewskim – mimo formalnego złożenia przysięgi homagiальной. Bardzo silny był też związek duchowieństwa, zwłaszcza niższego, z szerokimi kręgami ludności polskiej. W warunkach Wielkiego Księstwa Poznańskiego zaczęto stawiać znak równości między religią i narodowością, między Niemcami – „lutrami” i Polakami – katolikami. Jeżeli nawet do mas nie docierała istota walki o przetrwanie narodowe, na pewno czytelny był religijny kontekst konfliktu. Tak rodził się stereotyp, hasło: „Polak – to katolik”. Ludzie dotąd spokojni, nie angażujący się w konflikty narodowe, polityczne czy gospodarcze, lojalni poddani jakiego bądź aktualnie panującego monarchy, stawali do boju z chwilą, gdy władze próbowały zaczepić księdza – ówczesnie duchowego przywódcę niemal każdego mniejszego środowiska polskiego.

Szczytem konfliktu na tym tle była sprawa tzw. małżeństw mieszanych, gdy władze dążyły do zobowiązania rodziców, aby ich dzieci

były wychowywane w duchu religii ewangelickiej, podczas gdy duchowieństwo katolickie było innego zdania. Konflikt ostatecznie doprowadził w 1839 roku do uwięzienia arcybiskupa Marcina Dunina i osadzenia go najpierw w Berlinie, a później w twierdzy kołobrzesckiej.

Przełom nastąpił w 1840 roku, po śmierci Fryderyka Wilhelma III. Jego następca, Fryderyk Wilhelm IV, rozpoczął rządy od liberalizacji kursu polityki pruskiej, także wobec Polaków. Niektórzy badacze przeszłości, m.in. Andrzej Wojtkowski, twierdzą, że jednym z impulsów do tego działania była mowa – memoriał w sprawie położenia ludności polskiej Księstwa, wygłoszona przez Edwarda Raczyńskiego po uroczystościach koronacyjnych w Królewcu. Nowy monarcha złagodził kurs polityczny, odwołał Eduarda Flottwella ze stanowiska naczelnego prezesa prowincji i ogłosił amnestię dla osób skazanych po 1831 roku.

Nowy prezes, Adolf Heinrich Arnim-Boitzenburg, kontynuował działalność swego poprzednika, lecz znacznie złagodził stosowane metody postępowania. Zamiast walczyć z polskim ziemiaństwem i wyższym duchowieństwem, starał się te grupy sobie zjednać. Złagodzone też restrykcje dotyczące używania języka polskiego w szkołach i urzędach. Politykę Arnima kontynuował jego następca, Moritz von Beurmann, lecz u jego boku pojawił się niezwykle kulturalny, inteligentny i sympatyczny, ale też bardzo skuteczny w działaniu prezydent policji, Julius von Minutoli. Był to zespół przeciwników godnych działaczy rozpoczynającej się właśnie *najdłuższej wojny nowoczesnej Europy*.

Czasy rządów Flottwella, Arnima i Beurmanna zadecydowały o dalszym kierunku postępowania w polskich środowiskach narodowych Księstwa. Początkowo było bardzo ciężko. Uczestnicy powstania listopadowego zostali odsunięci od możliwości kandydowania do parlamentu i do sejmu prowincjonalnego, co dało Niemcom przewagę i otwartą drogę do stanowienia praw im wygodnych. Dopiero po amnestii, gdy polskim działaczom przywrócono poprzednie prawa, odzyskali oni przewagę w regionie. Na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych w Wielkim Księstwie Poznańskim funkcjonowały ukształtowane już polskie stronnictwa i ugrupowania polityczne, przede wszystkim liberałowie, konserwatyści i konspiratorzy utrzymujący kontakt z Towarzystwem Demokratycznym Polskim; na miejscu w Poznaniu najaktywniejszy (i sprawiający najwięcej kłopotu) był

Walenty Stefański. Do początku lat czterdziestych głównym problemem podnoszonym przez polskich działaczy parlamentarnych była sprawa języka urzędowego w Księstwie, odżywiająca regularnie w miarę zaostrzenia bądź łagodzenia oficjalnego kursu wobec środowisk polskich aż do 1918 roku.

Jednak najbardziej charakterystycznym zjawiskiem, występującym wtedy tylko w zaborze pruskim, był ruch organicznikowski. Był to bardziej sposób działania, metoda utrwalania polskości niż ruch społeczny z określonym programem, założeniami itd. Istota sprawy (podobnie jak samo pojęcie pracy organicznej) zostały sformułowane dopiero w 1848 roku w artykule Jana Koźmiana, zamieszczonym w konserwatywnym i katolickim „Przeglądzie Poznańskim”: *Od Polaków zależy chwilę zmartwychwstania ojczyzny przyspieszyć, albo opóźnić: droga wszystkich cnót, miłości dla wszystkiego co krajowe, droga sposobów godziwych, wspólności, poświęcenia i robót organicznych* [podkr. – M.R.], *czynności i wytrwałości prowadzi do Polski...*

Wprawdzie słowa te zostały napisane dopiero w trakcie wydarzeń Wiosny Ludów, ich istota była w Wielkopolsce aktualna od kilkunastu lat. Chodziło o obronę narodowości środkami legalnymi, przede wszystkim na drodze postępu gospodarczego, umysłowego – nie czynem powstańczym i rewolucyjnym. Zapaleńcy, insurgenci byli skłonni widzieć w tej metodzie kapitulantwo, niechęć do walki o niepodległość. Szczególnie mocno duch organicznikowski rzutował na opinię o Wielkopolanach w oczach rodaków z Polski centralnej. Trzeba jednak przyznać, że w sytuacji, jaka się wytworzyła na ziemiach zaboru pruskiego po 1830 roku, taka metoda była optymalna. Więcej, przynosiła skutki może mniej efektywne propagandowo niż kolejne powstania, lecz za to znacznie trwalsze. Wychodzono z bardzo praktycznego założenia, że w ówczesnej sytuacji politycznej Polski powstanie zbrojne nie daje żadnych szans odzyskania niepodległości. Pozbawieni pomocy z zewnątrz Polacy jedynie wykrwawiają najwartościowszą, najbardziej twórczą i aktywną część społeczeństwa, ku radości zaborców i braku inicjatywy ze strony potencjalnych sojuszników. Należało zatem zachować „substancję narodową” środkami pokojowymi, wzmocnić się wszechstronnie i z czasem stanąć do skutecznej rywalizacji z zaborcą.

Organiczni nie odzęgnywali się od udziału w walce zbrojnej. Niemal wszyscy główni działacze tego kierunku w Wielkopolsce

z Marcinkowskim na czele byli „szwadronistami”, czyli żołnierzami jazdy poznańskiej z lat 1830-1831. Gdy zaszła potrzeba udziału w walce zbrojnej (1848, 1863-1864) oni i ich synowie, jeżeli tylko mogli – razem z innymi ruszali w pole. Jednak uważali, że jest jeszcze za wcześnie na wybuch powstania. Moment uderzenia należało wybrać starannie, bez kierowania się chwilowymi odczuciami czy koniunkturą – należało uderzyć raz, ale skutecznie. Tak właśnie stało się w Wielkopolsce na przełomie lat 1918-1919, gdy powstanie wybuchło dzięki przypadkowi, lecz jego wszechstronny sukces był rezultatem żmudnej pracy wychowawczej i organizacyjnej poprzednich ośmiu dziesięcioleci.

Przyjmuje się, że twórcą oraz liderem tego kierunku w Wielkopolsce był Karol Marcinkowski. Tymczasem „Doktor Marcin” wrócił do Poznania dopiero w marcu 1835 roku, potem musiał troszczyć się o swój byt, odsiadywał karę więzienia, wreszcie walczył z epidemią cholery – w sumie nie bardzo dysponował czasem na poważną działalność organizacyjną; rozwinął ją, ale kilka miesięcy później. Wydaje się, że raczej dołączył do akcji zapoczątkowanej nieco wcześniej przez Gustawa Potworowskiego, Waleriana Rembowskiego, Józefa Łubieńskiego i N. Kurnatowskiego. W grudniu 1835 roku założyli oni kasyno w Gostyniu, które miało zaspokoić *chęć wzajemnego pożycia towarzyskiego w celu popierania przemysłu i oświaty*. Właśnie w Gostyniu przez kilka następujących lat, do czasu otwarcia Bazaru w Poznaniu, koncentrował się ruch organicznikowski regionu. Z chwilą nieoficjalnego przeniesienia centrali ruchu do stolicy Wielkopolski inicjatywa była już w rękach Marcinkowskiego. Był to czas rządów Flottwella, który przychylnie patrzył na takie inicjatywy (zajęci gospodarką i kulturą Polacy nie będą myśleli o polityce), więc wkrótce podobne kasyna i organizacje powstały w innych miastach Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Spotykano się, prowadzono szkolenia, wydawano prasę fachową, a także tytuły bardziej przystępne treścią. Z czasem ruch objął wielu czołowych działaczy ziemiaństwa wielkopolskiego. Znamienne, że byli wśród nich (przede wszystkim) dawni żołnierze generała Dezyderego Chłapowskiego. Ich dowódca czynił w swych włościach to samo, początkowo ciążył ku środowisku organicznikowskiemu, ale z czasem coraz bardziej zaczął działać na własny rachunek – po prostu kontynuował pracę rozpoczętą wkrótce po powrocie z wojen napoleońskich. Zaś sam Marcinkowski, jak lapidarnie ujął sprawę Franciszek

Paprocki, zmierzał do „równości bratniej” nie na drodze rewolucyjnej, lecz poprzez cywilizacyjne odrodzenie społeczeństwa, do którego prowadziła oświata i praca. Jego program symbolizowały dwa trwale pomniki: założony w 1838 r. Bazar Poznański i powołane do życia w r. 1841 Towarzystwo Naukowej Pomocy.

Istotnie, obydwie instytucje powstały przede wszystkim z inicjatywy Karola Marcinkowskiego i jego najbliższych współpracowników. Nie były to działania łatwe, akceptowane przez wszystkie środowiska polskie. Zauważmy, że sam „Doktor Marcin” umierał w listopadzie 1846 roku przeświadczony o klęsce swego programu, dodatkowo przygnieciony nie tylko chorobą, ale i poczuciem bezsilności związanej z atmosferą aresztowań po nieudanej próbie powstańczej. Organizacji działających w duchu pracy organicznej było wtedy w Wielkopolsce wiele, różne też okazywały się ich późniejsze losy. Jednak Marcinkowski z Bazarem i Towarzystwem Naukowej Pomocy był filarem, symbolem całego kierunku działania.

Emilia Szaniecka od początku swego pobytu w Poznańskim po powrocie z powstania musiała znaleźć swoje miejsce w istniejących tu warunkach. Po opuszczeniu Torunia dalej podróżowała u boku Potockiej, razem z chorym bratem Stanisławem, dwoma żołnierzami inwalidami (bezrękim Antonim Golcem i jednonogim Krawczykiem), dwoma Potockimi, Józefem Tańskim i Wincentym Tyszkiewiczem. Jechano drogą okrężną, przez Lubostroń, Budziszewko i Łukowo, odwiedzając Skórzewskich, Łubińskich i Grabowskich. Przyjaciółki rozstały się dopiero na przełomie listopada i grudnia 1831 roku w Budziszewku. Potocka udała się do Rogalina, a potem bywała w Konarzewie i Trzebawiu. Tam w połowie grudnia otrzymała urzędowe wezwanie do opuszczenia Księstwa w ciągu 48 godzin. Wkrótce zamieszkała w Dreźnie, stron ojczystych już nie dane było jej zobaczyć. Szaniecka przy pożegnaniu nie przypuszczała, że więcej już się nie spotka z przyjaciółką; do końca życia miała też przy sobie medalion z puklem włosów Potockiej.

Po rozstaniu z Klaudyną panna Emilia, pozbawiona możliwości powrotu do zasekwestrowanego Pakosławia, zamieszkała u siostry Nimfy w Chraplewie. Odwiedzała krewnych, szukała też możliwości odzyskania majątku. Miała świadomość konsekwencji karnych, jakie ponieść musiała za udział w powstaniu. Ostatecznie amnestia z 26 grudnia 1831 roku jej nie objęła. Skazano Szaniecką na konfiskatę

majątku i sześciomiesięczną karę więzienia do odsiedzenia w twierdzy w Nysie. Dwukrotna apelacja niewiele pomogła, zaś argument podkreślający samarytańską działalność panny Emilii w Warszawie został przez oskarżycieli zrównoważony faktem zbierania pieniędzy i oporządzenia wojskowego dla uczestników „rewolucji”.

Czekając na ostateczny wyrok, Sczaniecka odwiedzała (ale tylko jako gość) Pakosław, Wąsowo, a gdy Łąccy z Chraplewa przenieśli się do Lwówka, mieszkała tam razem z nimi oraz obydwoma inwalidami, którym postanowiła zapewnić opiekę już na stałe. Jest to sprawa o tyle istotna, że w końcu 1831 roku w regionie działał już kierowany przez Józefę Grabowską Komitet Dam Wielkopolskich, którego członkinie zajęły się organizowaniem pomocy finansowej i materialnej dla żołnierzy polskich internowanych na obszarze Prus. Emilia Sczaniecka też działała w tym zespole, zatem opieka nad dwoma bezdomnymi kalekami weteranami łączyła się z tą działalnością dość wyraźnie. Podobny charakter miała też opieka wychowawcza, jaką panna Emilia sprawowała nad dwoma synami zesłanego na Syberię powstańca Jakuba Szredera.

W grudniu 1831 roku skrzyżowały się drogi Emilii Sczanieckiej i Adama Mickiewicza. Łukowo koło Obornik, majątek Grabowskich, było jednym z ośrodków kierowniczych Komitetu Dam Wielkopolskich. Miejsowość była położona na szlaku do Prus Wschodnich, gdzie znajdowały się obozy dla internowanych żołnierzy polskich, Poznań był w pobliżu – zatem oczywiste, że tu właśnie pojawiały się często osoby w różnej formie związane z powstaniem. To właśnie w Łukowie w końcu grudnia 1831 roku odbył się zjazd paru znakomitości. Wigilię Bożego Narodzenia spędził tu Adam Mickiewicz, byli też jego brat Franciszek, Stefan Garczyński, a także Wincenty Pol, który później zadedykował Sczanieckiej swoje *Pieśni Janusza*. Wiele wskazuje na to, że pojawiła się tam i panna Emilia, która jednak nie uczestniczyła w pamiętnej wigilii. Chciała poznać sławnych ludzi, równocześnie też uzyskać od nich wiadomości o potrzebach internowanych powstańców. Ciekawe, że jak pisze D. Wawrzykowska-Wierciochowa, Mickiewicz, który później za granicą czasami spotykał Sczaniecką, traktował ją z rezerwą. Dziś trudno określić przyczynę tego stosunku do znanej już wtedy i zasłużonej społeczniczki. Czy rzeczywiście miał to być wyraz kompleksu niższości wieszczą wobec kobiety, która wzięła udział w powstaniu, podczas gdy on w gruncie

rzeczy tak „pędził” do Królestwa, by się tam spóźnić. Wiele niepo-
chlebnych opinii w Wielkopolsce wywołał jego burzliwy romans ze
znaną sawantką Konstancją Łubieńską, rozkwitający w Śmielowie
(i nie tylko) w tym czasie, gdy Królestwo jeszcze walczyło. Niewy-
kluczone, że Szaniecka, z natury – już wtedy – bardzo zasadnicza
w sprawach męsko-damskich i rodzinnych, nie ukrywająca swych
opinii, mogła okazać się szczerą także wobec wieszczka. Z kolei
Mickiewicz, przyzwyczajony bardziej do hołdów ze strony dam niż
wymówek, mógł nie być zachwycony tym, co i od kogo usłyszał.
W sumie więc wzajemne kontakty Szanieckiej z Mickiewiczem
cechował szacunek, ale też i rezerwa, co jednak nie przeszkadzało
pannie Emilii zachwycać się twórczością największego z polskich
poetów romantycznych.

Już wtedy pojawiła się u niej bardzo wartościowa cecha, wśród
Polaków zaś dość rzadka: oddzielała ludzi od ich czynów. Jeżeli kogoś
nawet nie lubiła lub była uprzedzona, odczucia te nie miały wpływu na
ocenę faktów, działalności danej osoby. Opinie uzyskane z zewnątrz
nie były dla niej wiążące, na każdy temat starała się wyrobić własne
zdanie, nawet w największej gorączce umysłów, w wirze zachodzących
wydarzeń umiała zachować dystans i trzeźwość spojrzenia. Miała więc
w sobie wiele cech dzisiejszego menedżera, a z czasem okazało się, że
podobnie rozumowali także inni liderzy ruchu organicznikowskiego;
skrajnym przykładem takiego człowieka był znacznie młodszy od
Szanieckiej ksiądz Piotr Wawrzyniak. Co ciekawe, panna Emilia
rozumowała tak i działała, równocześnie nie w pełni akceptując moty-
wację poczynań Marcinkowskiego i jego towarzyszy.

Jak widać panna Emilia nie czekała biernie na decyzję sądu w spr-
awie oceny jej zaangażowania w powstaniu listopadowym. Działalność
w charytatywnych organizacjach kobiecych stała się drugą naturą
Szanieckiej. Wielkopolska była odtąd pomostem łączącym polskie
środowiska emigracyjne na Zachodzie z ojczystymi stronami. Podczas
gdy komitety, stowarzyszenia kobiece i różne organizacje działające
w Księstwie funkcjonowały oficjalnie i legalnie, to ich dodatkowa,
łącznikowa działalność była już związana z ryzykiem, groźbą sankcji
policyjnych. Ryzyko było tym większe, że w latach 1831 - 1833 niektóre
z działaczek (m.in. Szaniecka) miały jeszcze nie wyjaśnioną do końca
własną sytuację prawną i majątkową, a ewentualna „wpadka” znacz-
nie pogorszyłaby ich położenie przed sądem.

Począwszy od upadku powstania listopadowego szczególnie tropione przez policję były kontakty miejscowych działaczy ze środowiskami emigracyjnymi. Władze pruskie doskonale zdawały sobie sprawę z roli odgrywanej przez Wielkopolskę. Zwalczenie tych kontaktów stanowiło nie tylko realizację postanowień Świętego Przymierza, ale także zapobieganie polskiej konspiracji narodowej na obszarze całego zaboru pruskiego. Wydaje się, że ów drugi czynnik miał tu dużo większe znaczenie, o ile nie decydujące, jako że przymierze zawarte w Wiedniu w 1815 roku pod presją Rosji, przez Prusy i Austrię było traktowane jako swoisty haracz polityczny wobec znacznie silniejszego partnera. Walka z polską działalnością niepodległościową leżała w interesie wszystkich trzech zaborców. Wprawdzie władze pruskie kolejne powstania wybuchające w Królestwie Polskim odbierały z cichym uczuciem „Schadenfreude” wobec kłopotów niezbyt lubianego sojusznika, gdy jednak szykowało się zagrożenie dla sytuacji we własnym kraju (zaborze) – a tak najczęściej sytuacja się rozwijała – współpraca była dość ścisła.

Emilia Szaniecka chyba zdawała sobie sprawę z ponoszonego ryzyka, przez długi czas jednak udawało się jej uniknąć sankcji policyjnych. Regularnie kontaktowała się z mieszkającą w Dreźnie Klaudyną Potocką. Powstały tam dwa komitety pomocy uchodźcom: męski i kobiecy; drugim z nich kierowała właśnie pani Klaudyna, zaś współpracowało z nią, działające konspiracyjnie w Wielkopolsce, Stowarzyszenie Kobiecte kierowane przez Emilię Szaniecką.

Władze pruskie miały też z panią Emilią kłopoty innego rodzaju. Jak wspomniano, jeszcze w czasie pobytu w Królestwie Polskim stanowczo zakazała swemu pełnomocnikowi, Józefowi Grabowskiemu z Łukowa, występowania do króla pruskiego z prośbą o łaskę – daleka więc była od skruchy i niełatwa do złamania groźbą konfiskaty majątku. W drodze z Torunia do domu też kilkakrotnie dawała dowody nienagannyh manier, ale równocześnie okazywała ironiczne lekceważenie dla zarządzeń administracji. Konspirowała, kontaktowała się z emigrantami – co prawda z legalnej, dreźnieńskiej strony – postępowała tak, jakby nie toczyło się przeciw niej śledztwo, nie groziło więzienie i pozbawienie środków do życia. Policja domyślała się roli, jaką odgrywała Szaniecka w zaborze, ale z jednej strony wciąż nie udawało się odkryć niepodważalnych dowodów jej winy, a z drugiej nazbyt surowe sankcje skierowane wobec osoby

szanowanej i popularnej spowodowałyby niepożądane reakcje i nastroje ludności polskiej wobec pruskiej administracji.

Raz tylko panna Emilia pozwoliła sobie na nieostrożność, gdy 6 września 1832 roku w kościele parafialnym we Lwówku zorganizowała uroczyste nabożeństwo żałobne za duszę poległego rok wcześniej podczas obrony Warszawy jej znajomego, porucznika Conrada. Była to już jawna prowokacja, gdyż oficer ten służył w armii pruskiej i przechodząc do polskiego powstania złamał nie tylko prawo – jak wszyscy ochotnicy z Księstwa – ale był dezertorem, w dodatku Niemcem. Sprawa dotarła do samego Flottwella, który w gruncie rzeczy też darzył pannę Emilię szacunkiem za jej humanitaryzm; niezręcznie by mu było dodatkowo karać kobietę, w dodatku zajmującą tak znaczącą pozycję w społecznej strukturze Księstwa. Ostatecznie skończyło się na ostrzeżeniu, że powtórzenie podobnych działań może w przyszłości wpłynąć na wynik postępowania w sprawie majątkowej za udział w powstaniu listopadowym. Z jednej strony więc należy podziwiać odwagę głoszenia przekonań, ale z drugiej – była to w gruncie rzeczy akcja niepotrzebna, która mogła narazić na represje nie tylko ją, ale całe Stowarzyszenie Kobiecte i podopiecznych.

Popularność panny Emilii w Wielkim Księstwie Poznańskim rosła stopniowo, gdyż jeszcze w trakcie powstania w Poznańskie dochodziły informacje o jej działaniach samarytańskich. Z pewnością przyczyniły się do sławy też listy przysyłane siostrze, Korduli Stablewskiej. Szczaniecka, jak wiadomo, w ten sposób nadal utrzymywała kontakty z macierzystymi stronami, kontynuowała kierowanie pomocą finansową i materialną. Jednak w listach tych nie było autoreklamy, trudno więc je uznać za główne źródło popularności. Znacznie bardziej w tym kierunku oddziaływały informacje przekazywane przez inne osoby w listach kierowanych do Księstwa i opowieści samych Wielkopolan po powrocie w rodzinne strony. Gdy więc władze pruskie jeszcze w czasie powstania podjęły sankcje wobec Szczanieckiej, wiedziały dobrze, gdzie jest panna Emilia, co robi i jak jest oceniana.

Duży wpływ na wzrost popularności Emilii Szczanieckiej miało opublikowanie jej portretu i na swój sposób hagiograficznego biogramu w ogromnie wtedy popularnym albumie Józefa Straszewicza *Les Polonais et les Polonaises de la Révolution du 29 Novembre 1830*, który ukazał się w Paryżu w 1832 roku. Publikacja opracowana była na żywo, niektóre wizerunki (m.in. Piotra Wysockiego i Emilii Plater)

były tam fikcyjne, zaś biogramy znacznie przesadzone, a jednak opracowanie z owymi portretami błyskawicznie rozeszło się po całej Europie i do dziś jest reprodukowane nawet na kartach podręczników. Tam właśnie, w albumie Straszewicza, zawarty jest jedyny znany wizerunek panny Emilii z lat młodości, wykonany około 1827 roku przez znanego malarza wielkopolskiego tych czasów, Fabiana Sarneckiego. Był to portrecista rzetelny, nie idealizujący modelu, więc należy przyjąć, że mamy tu wizerunek bardzo zbliżony do oryginału. Wynika zeń, że Szaniecka była wtedy szczupłą, młodą kobietą o owalnej twarzy, ozdobionej bardzo dużymi, wyrazistymi oczami, kształtnym nosem i drobnymi ustami. Nosiła długie włosy, ówczesną modą zaplecione w warkocz i spięte w kok. Mogła wtedy uchodzić za piękność, na pewno (sądząc z portretów) miała bardziej szlachetną urodę od Korduli Stablewskiej, mniej zachwycającą jednak od starszej siostry Nimfy, o której urodzie krążyły legendy po całym Księstwie.

Nic nie wiadomo o późniejszym wizerunku Szanieckiej, dopiero po kilkadziesiąt latów wykonano dość dobrze znane fotografie panny Emilii, już w starszym wieku. Można więc przypuścić, że w pięć lat po wykonaniu rysunku przez Sarneckiego, w 1832 roku, Szaniecka zmieniła się niewiele. Na pewno miała już krótsze włosy, nosiła sukienkę czarną lub inną w ciemnym kolorze (a nie dziewczęcą, z na w pół odkrytymi ramionami, jak na portreciku), wysiłek fizyczny i przebyte choroby też musiały wpłynąć na jej wygląd. Zmian zasadniczych w powierzchowności chyba jednak nie było. Zauważmy, że w 1832 roku Emilia Szaniecka miała 28 lat, a więc na warunki pierwszej połowy XIX wieku była już kobietą w sile wieku, której należał się szacunek, mającą nikle szanse, by zostać obiektem konkurów. Bywały wtedy takie przypadki (np. jej przelozona z powstania Klementyna Hoffmanowa wyszła za mąż w wieku 31 lat), ale zdarzało się to rzadko. Panna Emilia ukierunkowała swe życie na pracę społeczną i chyba już było jej z tym dobrze. Nie łączono panny Emilii z tak modnymi wtedy, sentymentalnymi opowieściami o porzuceniu romantycznego uczucia dla ojczyzny. Jej kontakty z Marcinkowskim nie były pewne i pozostawały w kręgu domysłów, podobno zamierzał się o nią starać (jeszcze przed listopadem 1830 roku) pułkownik Onufry Radoński, a w warszawskim lazarecie wdychał do panny Emilii Józef Godebski, syn poety Cypriana, poległego w 1809 roku pod Raszynem. Są to jednak tylko przypuszczenia i rozwijanie owego wątku wydaje się zbyteczne.

Powrót do tych spraw nastąpił przelotnie w 1849 roku, po ukazaniu się dziełka Maurycego Manna *Sztuka i miłość*, ale jak już wspomniano, wtedy już była to jedynie reminiscencja przeszłości, dość jednoznacznie odebrana przez mieszkańców Wielkiego Księstwa Poznańskiego, a ostro skrytykowana w „Gazecie Polskiej” przez Juliana Klaczkę. Panna Emilia była już wtedy nietykalna i w pełni sobie na ów dowód szacunku zasłużyła.

Wróćmy jednak na chwilę do wizerunku panny Emilii. Opracowanie Straszewicza nie zachwyciło Sczanieckiej. Portrecik Sarneckiego został wysłany do Paryża bez jej wiedzy przez szwagra, Karola Stablewskiego; był też podstawą do wykonania litografii zamieszczonej w wydawnictwie. Drażniły pannę Emilię apologetyczne, nieco egzaltowane akcenty w życiorysie, ponadto była tam informacja podana nieco na wyrost, jakoby Sczaniecka wyznaczoną jej karę więzienia odsiedziała w Nysie. Nie przewidział Stablewski, na prośbę Straszewicza wysyłając informacje biograficzne o szwagierce, że ostatecznie nie będzie tak źle.

Istotnie, popularność panny Emilii musiała wpłynąć na decyzję władz – aktem z 9 lutego 1833 roku została ułaskawiona. Z niezrozumiałych przyczyn jednak decyzję tę uznano za tajną, ujawniono ją dopiero w roku 1834, gdy sejm prowincjonalny wystąpił do króla z petycją o złagodzenie kar wobec byłych uczestników powstania listopadowego, wśród nich także Sczanieckiej. Wiosną 1834 roku wróciła do Pakosławia. Policja pruska zostawiła ją w spokoju, ale odtąd panna Emilia była pod ścisłą obserwacją, a ponadto miała zakaz wyjazdu poza granice Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Po uroczystym powrocie do Pakosławia, urządzonym dziedzicze przez służbę, rozpoczęła się praca, będąca kontynuacją tej, która została przerwana wyjazdem do Królestwa 4 lata wcześniej. Majątek był w nie najlepszym stanie i trzeba było przywrócić jego normalną działalność. Doszły wszakże inne prace, których panna Emilia nie podejmowała przed rokiem 1830. Uruchomiła w Pakosławiu szkołę dla dzieci wiejskich, własnym kosztem zaczęła też stawiać specjalny, przeznaczony na ten cel budynek; miało tam być też mieszkanie dla nauczyciela.

Innym problemem wynikającym z wydarzeń powstania listopadowego było zabezpieczenie przyszłości bezrękiego kaleki, Antoniego Golca, dawnego pacjenta z warszawskiego lazaretu (o losach drugiego



5. Szpitalik założony przez Emilię Szcaniecką w Pakosławiu

inwalidy, Krawczyka, nic nie wiadomo); panna Emilia podjęła się dożywotniej opieki nad nim. Władze pruskie usilnie starały się doprowadzić do wydalenia go poza granice Wielkiego Księstwa Poznańskiego, dochodziło nawet do mało wyszukanych osobistych insynuacji ze strony urzędników pruskich, zdziwionych konsekwencją, z jaką młoda kobieta broniła tego, z pozoru nikomu nie potrzebnego, inwalidy. Ostatecznie jednak Szcaniecka wygrała i Antoni Golec zamieszkał w małym (istniejącym do dziś) budyńeczku szpitala, wystawionego jej kosztem w Pakosławiu.

Konsekwencje zaangażowania w powstaniu ponosili też, co zrozumiale, obydwaj bracia Szcanieckiej, którzy, jak i ona, wrócili w rodzinne strony. Stanisław, kontuzjowany na polu walki, nigdy już nie wrócił do pełni zdrowia. Po krótkotrwałym uwięzieniu zamieszkał w Mościejewie z żoną i córką, musiał też spłacić grzywnę, na którą zamieniono cofniętą ostatecznie decyzję konfiskaty. Porucznik Konstanty Szcaniecki był zdrowy, ale po powrocie do Brodów musiał podporządkować się procedurze karnej za udział w powstaniu: został skazany na 4 lata twierdzy i 20 tys. talarów grzywny. Z Nysy wrócił

latem 1834 roku z obowiązkiem comiesięcznego meldowania się na policji i zakazem opuszczania obszaru Księstwa.

Problemy i zmartwienia rodzinne, konieczność liczenia się z przeszkodami stawianymi przez władze pruskie nie przerwały zakonspirowanej działalności Sczanieckiej. Wyjechać za granicę nie mogła, musiała też brać pod uwagę kontrolę korespondencji. Zatem kontaktowała się z Francją, Dreznem, polskimi środowiskami emigracyjnymi za pośrednictwem Konstancji Łubieńskiej, Klementyny Grabowskiej, Korduli Stablewskiej i Heleny Turnowej, które mogły bez przeszkód jeździć za granicę. Szczególnie ważny dla panny Emilii był kontakt z Klaudyną Potocką, która w stolicy Saksonii utworzyła ośrodek zajmujący się organizowaniem pomocy dla emigrantów znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej. Sama też zlecała przyjaciółce bardziej ryzykowne zadania, jak w 1834 roku, gdy Sczaniecka musiała zająć się bezpieczeństwem dzieci Józefa Zaliwskiego, przywódcy nieudanej wyprawy powstańczej. W tym samym czasie pojawiły się niepokojące informacje o stanie zdrowia brata Stanisława, w Dreźnie zachorowała też Potocka, władze pruskie zaś były konsekwentne i odmówiły Sczanieckiej paszportu na wyjazd do Saksonii lub do Karlsbadu ze Stanisławem. Sankcje wobec niej zachowano wyjątkowo długo, zaliczano bowiem Sczaniecką do grupy osób szczególnie obciążonych w oczach władz pruskich. Chodziło nie tyle o jej zaangażowanie w wydarzeniach z lat 1830-1831 w Królestwie Polskim, ile o „niepoprawność” w ciągu następnych lat pobytu w rodzinnych stronach. Jej nieustanna aktywność na rzecz weteranów powstania listopadowego, utrzymywanie kontaktów ze środowiskami emigracyjnymi, a przede wszystkim brak respektu dla często nietaktownych w działaniu urzędników pruskich sprawiły, że Sczaniecką szanowano, ale w kręgach władzy zaborczej nie darzono nadmierną sympatią.

Jak wspomniano, po upadku powstania listopadowego w Poznaniu zaczął dochodzić do głosu nowy kierunek działalności niepodległościowej, określony po latach mianem „pracy organicznej”. Warto jednak wspomnieć o innej formie, odmiennej, która w sumie, pomimo rywalizacji z organicznikami, ożywiała społeczeństwo polskie w Księstwie, była czynnikiem aktywizującym, ale jednocześnie narażającym na ryzyko. Jednak w takiej postaci, jaką przyjęto w Poznańskim, nie prowadziła do zbrojnego powstania (mówimy tu o planach, nie zaś o wynikach), tylko często uaktywniała ludzi dotychczas obojętnych.

Mowa tu o tzw. aktywnym nurcie działalności niepodległościowej, inspirowanej głównie z zagranicy, z kręgów emigracyjnych.

Emilia Szaniecka była zwolenniczką tej właśnie tendencji, co było jednym z powodów rozejścia się dróg społecznej aktywności jej i Marcinkowskiego. Po powrocie „Doktora Marcina” do Wielkopolski, po ostatecznym uporządkowaniu przezeń stosunków z władzami pruskimi, odpokutowaniu udziału w powstaniu listopadowym itd., a także zaangażowaniu się w działalność organicznikowską każde z przyjaciół poszło własną drogą. Nie było to zerwanie kontaktów, początek konfliktu czy nieporozumień. W dalszym ciągu się spotykali, pomagali sobie wzajemnie, Szaniecka czynnie wspierała niektóre inicjatywy Marcinkowskiego (zwłaszcza spółkę bazarową i Towarzystwo Naukowej Pomocy), ale nie była to współpraca oparta na organizacyjnej wspólnocie interesów – mimo że teoretycznie biorąc i tak cel tych poczynań był wspólny: niepodległość Polski. Dziś, z perspektywy czasu, trzeba stwierdzić, że racja była po obydwu stronach, rzecz polegała tylko na dostosowaniu metody do danej chwili czy epoki.

Zaangażowanie Szanieckiej w konspiracyjne działania, pozwalające utrzymać łączność środowisk emigracyjnych z ziemiami polskimi, było ogromne, choć ona sama nie mogła opuścić Wielkopolski. Z czasem niemal do perfekcji doprowadziła metody kamuflażu; nie pomagały nagle rewizje dokonywane za dnia i w nocy, przesłuchiwanie służby czy kontrola korespondencji. Wypada tu wyrazić podziw i uznanie, jako że w latach trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku Emilia Szaniecka była jedną z głównych organizatorek kolportażu gazet i książek emigracyjnych w Wielkim Księstwie Poznańskim oraz ich przetrzutu dalej, do Królestwa Polskiego. Szczególnie interesujący był kolportaż ogromnie wtedy popularnych *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza. Rozprowadzano je w oryginalnie przemycanym z emigracji i w odpisach; nawet inwalida Antoni Golec z wielką ekspresją recytował na wsi (z pamięci) poszczególne ich fragmenty.

Wkrótce nastąpiło kolejne wydarzenie, które bardzo podniosło prestiż Szanieckiej. W 1833 roku w Paryżu powstało międzynarodowe Towarzystwo Monthyona i Franklina, zajmujące się wyróżnianiem osób szczególnie zasłużonych w pracy humanitarnej. Klaudyna Potocka podjęła usilne starania, by rozważono możliwość wyróżnienia Emilii Szanieckiej. Jako jeden z dowodów zasług samarytańskich

panny Emilii przedstawiono album J. Straszewicza o Polakach i Polkach – uczestnikach powstania lat 1830-1831. Działacze Towarzystwa byli skłonni wyróżnić Potocką, ta jednak się nie zgodziła uważając, że ów akt prestiżowy bardziej przydatny będzie Szanieckiej, działającej w znacznie trudniejszych warunkach, niż jej – i tak doskonale już znanej w kręgach emigracyjnych, mającej właściwie nieograniczone możliwości pracy społecznej. Paryski „Tygodnik Emigracji Polskiej” z 8 lutego 1835 roku tak informował o ostatecznej decyzji władz organizacji: *Towarzystwo Monthyona i Franklina, założone w Paryżu w 1833 r. dla sławienia i oddawania czci ludziom pożytecznym, dobroczyńcom ludzkości wszelkiego stanu i wszystkich krajów, na pierwszym posiedzeniu swoim, odbytym w Paryżu dnia 1 lutego b.r. między innymi osobami przyznało medal złoty panie Emilii Szanieckiej, Polce z Poznańskiego, za jej poświęcenie się w opatrywaniu i pielęgnowaniu w szpitalach warszawskich rannych w wojnie 1831 r. bez różnicy, czy rannym był jej rodak czy nieprzyjaciel.*

Cytująca ów tekst D. Wawrzykowska-Wierciochowa nie zwróciła uwagi na ostatnie zdanie relacji. Dotychczas bowiem nie zainteresowano się owym niezwykłym jak na tamte (i nie tylko tamte) czasy aspektem sprawy. Fakt nierozgraniczenia narodowości rannych i strony walczącej przy udzielaniu pomocy był wówczas zjawiskiem wyjątkowym, niezwykłym, lecz docenianym dopiero po jakimś czasie, gdy emocje zdążyły już wystygnać. Ten styl postępowania Szanieckiej zwrócił na nią szczególną uwagę władz pruskich, a zwłaszcza dowództwa armii, w czasie wydarzeń 1848 roku. Na razie jednak starano się tego „dziwactwa” nie zauważyć. Zwróćmy tylko uwagę, że owa motywacja stawia Towarzystwo Monthyona i Franklina wśród prekursorów powstałego w 1864 roku Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Owego medalu „Dobroczyńca ludzkości” oraz dyplomu panie Emilii wtedy jednak nie wręczono, wciąż była bowiem objęta zakazem opuszczania Wielkiego Księstwa Poznańskiego; emigranci polscy przekazali je dopiero w 1839 roku, gdy mogła już wyjeżdżać za granicę.

W tym czasie gnębiły Szaniecką dwie sprawy, na które nie miała żadnego wpływu: z Drezna dochodziły niepokojące wieści o pogorszeniu stanu zdrowia chorej na serce Klaudyny Potockiej, w Wąsowie zaś dożywała swych dni sędziwa Anastazja Szaniecka. Ostatecznie to

jednak siostra Tytusa Działyńskiego musiała w liście wyrażać współczucie, jako że w marcu 1835 roku pani Anastazja odeszła na zawsze, a przemęczona długim czuwaniem przy umierającej i silnie przeziębiona po pogrzebie panna Emilia na dłuższy czas zaniemogła. Zgodnie z dawnymi ustaleniami Wąsowo przeszło w ręce Konstantego Sczanieckiego.

Na tym jednak nie skończyła się „czarna seria” w otoczeniu Sczanieckiej. W maju 1836 roku zmarł jej brat Stanisław, który już nigdy nie przyszedł do siebie po kontuzji w powstaniu i chorobie. Równocześnie nadeszła wiadomość o krytycznym stanie Potockiej, która od 1835 roku mieszkała w Genewie. Ta informacja była dla Sczanieckiej szczególnie bolesna, gdyż przyjaciółka wzywała ją do siebie, chciała się z nią jeszcze przed śmiercią zobaczyć. Tymczasem władze pruskie były konsekwentne i odmówiły wydania paszportu. Otrzymała dokument po 8 czerwca 1836 roku, gdy Klaudyna Potocka już nie żyła. Czy był to przypadek, ironia losu czy też złośliwość władz – trudno dziś stwierdzić.

Panna Emilia boleśnie przeżyła utratę bliskich jej osób. W ciągu dwóch lat odeszli brat, babka i najbliższa przyjaciółka – dla osoby tak przywiązanej do rodziny, jak Sczaniecka, były to ciosy trudne do spokojnego przetrzymania. Z natury silna fizycznie i odporna psychicznie, nagle zaczęła chorować. Często się przeziębiała, pojawiły się dolegliwości serca, jednak najbardziej przykre były dla niej ataki niedowładu nóg, ze szczególną siłą pojawiające się po wyczerpującym wysiłku lub przeżyciu psychicznym. Dolegliwości te odtąd stały się z jednej strony przyczyną, z drugiej zaś dogodnym pretekstem do częstych wyjazdów z Księstwa „do wód”. Panna Emilia chętnie korzystała z tej możliwości i kiedy już wyrwała się za granicę, nie ograniczała swych wojaży do Karlsbadu, Marienbadu czy Schwalbach.

Początkowo rzeczywiście wymagała kuracji, musiała zająć się swoim zdrowiem; jeszcze w sierpniu 1836 roku miała trudności z wchodzeniem po schodach, nie najlepiej też czuła się psychicznie i unikała spotkań ze znajomymi. Z apatii i pesymistycznych nastrojów pomogła jej się wyrwać zawarta w Karlsbadzie znajomość z francuskim filozofem, historykiem, pisarzem i politykiem, Edgarem Quinetem. Dyskusje i rozmowy z nim, jego żoną i najbliższym otoczeniem oderwały Sczaniecką od niewesołych refleksji. Nie dała się jednak Quinetowi namówić do udziału w podróży dookoła świata; przypuszczalnie wtedy

jeszcze nie czuła się na siłach podjąć taką wyprawę, a poza tym uważała ją za zbędny wydatek. Wróciła jednak do zdrowia. Ciekawym akcentem owej znajomości, kontynuowanej korespondencyjnie przez długie lata, była klasa obydwojga, która pozwalała im doskonale się rozumieć mimo zdecydowanych różnic światopoglądowych, jako że Szczaniecka była głęboko religijna, zaś Quinet – aktywnym antyklerykałem.

Popularność Emilii Szczanieckiej i szacunek, jakim była otoczona przez rodaków w Wielkim Księstwie Poznańskim sprawiły, że o jej przychylności i deklarację współpracy zaczęły zabiegać różne ugrupowania, stronnictwa polityczne, środowiska. Szczególnie starał się o jej poparcie przywódca Hotelu Lambert, książę Adam Jerzy Czartoryski, który w miarę możliwości wszędzie podkreślał znaczenie kobiet dla sprawy narodowej. W podobnym duchu wypowiadał się przeciwstawny mu ideowo Joachim Lelewel. Wiele można by mówić o takiej postawie, ale wydaje się, że oprócz wyrachowania politycznego mogły tu wchodzić w grę inne racje. Czasy romantyzmu sprzyjały egzaltacji, kultowi osób słabych ciałem, lecz silnych duchem, były okresem idealizacji kobiet, wyznaczania im roli „kapłanki domowego ogniska”, dobrego ducha każdej rodziny. W polskich warunkach dochodził do tego model wychowania dzieci, których umysł w początkowych latach życia kształtowany jest głównie przez matkę. Tu chodziło nie tylko o wychowanie zdrowego fizycznie i psychicznie przedstawiciela kolejnego pokolenia. Pojawił się (w wiele lat później nawet ironicznie traktowany bądź wyśmiewany) swoisty model matki-Polki: kobiety bezgranicznie oddanej Bogu, rodzinie i ojczyźnie, rzadko jednak tolerowanej w szerszej działalności politycznej i gospodarczej, zwyczajem i tradycją zastrzeżonej dla mężczyzn. Jeżeli kobieta w tym czasie zdobyła znaczącą pozycję w społeczeństwie, kosztowało ją to o wiele więcej wysiłku niż nieraz mniej zdolnego, ale ustosunkowanego ojca, męża, brata lub syna. Gdy jednak któreś z nich już się udało, często następowało to kosztem szczęścia osobistego i nie zawsze akceptacji otoczenia. Mieliliśmy więc szacunek i popularność Emilii Szczanieckiej – i swoisty ostracyzm stosowany wobec działaczki społecznej Julii Molińskiej-Woykowskiej. Ale nawet i ta aktywność musiała wtedy mieć określone granice, których damie przekraczać nie wypadało. Spotykane niekiedy nazywanie Szczanieckiej sufrażystką jest błędem, a i przez zainteresowaną byłoby określone mianem nadużycia. Mimo

obracania się w męskim towarzystwie i prowadzenia działań społecznych nigdy nie była feministką. W pełni akceptowała utrwalony już model roli kobiety jako matki, wychowawczyni kolejnych pokoleń patriotów i ludzi uczciwych – taki też cel przyświecał różnym komitetom przez nią kierowanym, jednak nie zdarzały się tam hasła emancypacyjne, które w czasach panny Emilii były niestosowane i niesmaczne. Jedno jest pewne: pani Aurora Dudevant (czyli George Sand) nie byłaby przez nią zaakceptowana jako współpracowniczka, tym bardziej jako powiernica myśli czy przyjaciółka.

Wspominaliśmy o organizacji kobiecej, która w Wielkim Księstwie Poznańskim zajmowała się udzielaniem pomocy weteranom powstania listopadowego. Jej odpowiednikiem było utworzone w kwietniu 1834 roku w Paryżu Towarzystwo Pań Polskich, kierowane przez żonę księcia Adama Czartoryskiego. Wkrótce z dawnej warszawskiej grupy samarytańskiej dołączyła tam m.in. Klementyna Hoffmanowa. Jednak mimo usilnych starań do pracy w tej organizacji nie dała się namówić Klaudyna Potocka, a za nią także Szczaniecka. Wydaje się, że chodziło tu o sprawę upolitycznienia organizacji, zyskanie zwolenników dla konserwatywnego programu księcia Adama. Obydwie przyjaciółki nie przepadały za polityką w ogóle, a jeśli już miały zająć w tej sprawie stanowisko, skłaniały się raczej ku nurtowi demokratycznemu. Należy jednak podkreślić, że w ich postawie nie było ani cienia tak modnej już wkrótce ludo- bądź chłopomanii. Nie dążyły do uszczęśliwiania na siłę w przekonaniu o nieograniczonej potędze i mądrości tzw. prostego człowieka. Była w ich działaniach postawa społeczniczek świadomych swej pozycji w strukturze narodu, ale traktujących wszystkich z jednakowym szacunkiem jako bliźnich. Osobom ze swej sfery stawiały znacznie większe wymagania jako ludziom światłym, od których można było oczekiwać znacznie więcej. Nie było to zadanie łatwe ani wdzięczne.

Swego rodzaju przeciwwagą dla Towarzystwa Pań Polskich stało się na emigracji Towarzystwo Ziemianek (tu w znaczeniu: rodaczek), założone przez Teresę Suchorzewską i Benignę Małachowską – „dezerterkę” z organizacji księżny Adamowej. Założenia programowe tego związku były skrajnie demokratyczne, ukierunkowane na szerzenie równości, braterstwa, likwidację przywilejów, ocenę ludzi według czynów, a nie urodzenia. Podstawami tej koncepcji były braterstwo i wolność – rozumiane społecznie i narodowo. Dziś takie deklaracje

mogą być odebrane jako zbiór frazesów, ale w warunkach pierwszej połowy XIX wieku zapowiadały rewolucję – zjawisko nie do przyjęcia w kierowniczych i opiniotwórczych kręgach ówczesnej Europy. Hasła te dopiero musiały przeniknąć do środowisk, których miały dotyczyć. Lapidarnie ujmując, bywały grupy społeczne nie zdające sobie sprawy z tego, że są traktowane niesprawiedliwie. Był to więc program w wielu punktach nowatorski, wymagający żmudnej pracy informacyjnej i propagandowej. Wiadome też było, że w warunkach ziem polskich zajdzie potrzeba działania przy wszechstronnym i aktywnym oporze zarówno władz, jak i zachowawczych, własnych kręgów narodowych.

Program Towarzystwa Ziemianek pokrywał się z treścią tzw. wielkiego manifestu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego z 4 grudnia 1836 roku, gdzie mowa była o odrodzeniu Rzeczypospolitej w granicach przedrozbiorowych wspólnym wysiłkiem ludu i patriotycznych kręgów szlachty. Nie były to hasła, które od razu mogły trafić na podatny grunt w Wielkopolsce. Najbardziej oświecone kręgi wywodziły się z ziemiaństwa, które nie miało powodu popierania idei aż tak bardzo kontrastujących z dotychczasowym modelem życia, wychowania, kierowania ludźmi. Znacznie łatwiej było zrozumieć konserwatywne (choć patriotyczne) poglądy ludzi z kręgów księcia Adama Czartoryskiego, niż radykalną i na owe czasy skrajnie nowatorską retorykę Wiktora Heltmana, Henryka Kamińskiego, Stanisława Worcella czy Ludwika Mierosławskiego.

Szczyńska widziała i rozumiała te nastroje, zatem uczyniła rzecz najrozsądniejszą w ówczesnych warunkach: wypełniała wyznaczoną sobie misję, unikając radykalnej retoryki. Sympatyzowała wyraźnie z ideami TDP i Towarzystwa Ziemianek, ale rozumowała bardzo trzeźwo i logicznie: łatwiej kształtować zapatrywania służby i podwładnych (z racji „podległości służbowej”), ale działać musiała w z natury konserwatywnym środowisku ziemian. Chcąc uzyskać pieniądze na cel charytatywny, trzeba było z nimi żyć w zgodzie. Nie była ortodoksyjna, uważała, że liczy się przede wszystkim człowiek – niezależnie od środowiska, z którego się wywodzi, czy poglądów osobistych. Zatem gromadziła fundusze z przeznaczeniem dla cierpiących niedostatek emigrantów – weteranów powstania listopadowego i przekazywała je zespołowi księżny Adamowej Czartoryskiej. Gdy zaś upewniła się, że Towarzystwo Ziemianek zajmuje się podobną działalnością, zebrane pieniądze częściej przekazywała Suchorzewskiej i Małachows-

kiej. Czas zresztą pokazał, że polityczne emocje zanadto tu zagrały, jako że obydwie organizacje działalność charytatywną prowadziły rzetelnie. Jednak aż do 1838 roku Sczaniecka głównie podtrzymywała kontakty z lewicą emigracyjną.

Panna Emilia w tym czasie, oprócz zbierania funduszy na potrzeby weteranów powstania, kontynuowała kierowanie kolportażem prasy emigracyjnej we wszystkich trzech zaborach. Opis metod tej działalności wystarczyłby dziś na scenariusz filmu sensacyjnego, jako że policja państw zaborczych konsekwentnie tropiła literaturę emigracyjną. W lepszej sytuacji były kobiety, w tym czasie w większości przypadków traktowane z pewną galanterią – zwłaszcza gdy należały do arystokracji. Im znacznie łatwiej było przemycić zakazaną literaturę, choćby w bardzo wtedy luźnej i pełnej zakamarków garderobie, aniżeli mężczyznom, którzy traktowani byli bez sentymentów i nie mieli podobnych możliwości „odzieżowych”; bagaż bowiem kontrolowany był bez względu na płeć i społeczną pozycję właściciela. Sczaniecka niczego (przynajmniej w tym czasie) nie przewoziła za granicę – raczej była centralą systemu kolportażu. Do dziś zachowały się raporty policyjne z tamtych czasów, świadczące o zainteresowaniu władz jej poczynaniami. Niewiele jednak się dowiedziano poza tym, że utrzymywała kontakty handlowe z berlińskim księgarzem Beehrem.

Informacja ta pozornie tylko jest obojętna. Kto jednak miał do czynienia z księgarzami (a zwłaszcza antykwariuszami, bukinistami) w okresie ograniczenia wolności myśli, ten wie, że prawie każdy z nich miał do dyspozycji nie ujawnianą na zewnątrz literaturę zakazaną, przeznaczoną dla najbliższych znajomych lub stałych i pewnych klientów. Nie było i nie ma chyba policji, która by o tej sprawie nie wiedziała, zatem w przypadku wykrycia powiązań księgarza z osobą objętą inwigilacją polityczną, onże bukinista od razu stawał się obiektem zainteresowania organów śledczych. Odtąd zaczynało się nękanie go nieoczekiwanymi rewizjami bez względu na porę dnia i nocy – aż do nieuniknionej prędeż czy później wpadki.

I tu pojawia się zagadnienie dotąd nie poruszone przez autorów, z reguły jedynie zafascynowanych determinacją i zdolnościami konspiracyjnymi panny Emilii: jak możliwe było utrzymywanie tak aktywnej działalności przy niemal kompletnej dezorientacji policji pruskiej? W biografii Sczanieckiej (D. Wawrzykowska-Wierciochowa, H. Łuczakówna) przeważają opisy niesłychanej aktywności panny Emilii,

kontrastującej z niemal bezradnością władz zaborczych, które ową bezsilność rekompensowały sobie brutalnością i złośliwościami czy szykanowaniem.

Wydaje się, że prawda jest znacznie bardziej skomplikowana. Dobrze zorganizowana policja (a taką była policja pruska) niemal zawsze wie o ludziach i poszczególnych organizacjach znacznie więcej, niż się to wydaje konspiratorom przeświadczonym o perfekcji swego działania. Owe realia po wielu latach powodują frustrację uczestników tamtych wydarzeń i dyskomfort psychiczny historyków, gdy światło dzienne ujrzą autentyczne dokumenty policyjne z danego okresu. Tak niedawno stało się z obrazem polskiej konspiracji z lat drugiej wojny światowej w świetle ujawnionych przez Michaela Foedrowitza informacji z akt gestapo z archiwum w Koblencji. Podobnie z dystansem należy podejść do tajnej działalności panny Emilii ponad sto lat wcześniej. Omawianie jej zasług konspiracyjnych jedynie w kategoriach sprytu Szanieckiej i nieudolności policji byłoby dużym uproszczeniem.

O niektórych przyczynach stosunkowo słabej operatywności władz w rozliczaniu panny Emilii z jej działalności niepodległościowej była już mowa. Była kobietą, a wtedy niewiast nie zamykano w więzieniu zbyt skwapliwie, o ile nie dopuściły się tzw. przestępstwa pospolitego. Działała charytatywnie, choć w warunkach powstania zbrojnego – więc też nie pasowała do tradycyjnego wizerunku rebelianta. Udzielała pomocy wszystkim potrzebującym bez względu na narodowość i stronę walczącą – nie była więc szowinistką narodową. Jedynym punktem zaczepienia mogłyby zostać: zbieranie pieniędzy i konkretnych materiałów na cele powstania (to właśnie było podstawą wyroku z 1832 roku), a później utrzymywanie kontaktu ze środowiskiem emigracyjnym i kierowanie kolportażem literatury emigracyjnej. Istniało też ryzyko uczynienia ze Szanieckiej męczenniczki sprawy narodowej, gdyby ta szlachetna w opinii publicznej osoba nagle znalazła się w więzieniu.

Wiele argumentów wskazuje więc na to, że w interesie władz administracyjnych Księstwa bardziej leżało utrudnianie życia Szanieckiej, nękanie drobnymi szykanami, obserwowaniem jej kontaktów, a gdyby to było możliwe, także umiejętnie nimi sterowanie – ale nie prześladowanie. Już wtedy pojawiło się charakterystyczne dla stylu sprawowania władzy w Prusach opieranie się na przepisach prawa:

nawet bezprawie (co paradoksalne) musiało być uzasadnione odpowiednimi paragrafami. W zaborze rosyjskim w miarę upływu czasu ucisk narodowy się nasilał i przepisów prawa nie traktowano z przesadną drobiazgowością, a panna Emilia i jej współpracownicy bardzo szybko poznaliby uroki Syberii. W Wielkim Księstwie Poznańskim, a później w prowincji poznańskiej wszystko musiało być uzasadnione obowiązującym prawem, co z jednej strony świadczyło o dojrzałości struktury państwa, ale z drugiej dawało szerokie pole do działania osobom umiejącym przepisy traktować elastycznie – to zaś z czasem stało się wręcz specjalnością polskich działaczy w zaborze pruskim.

W sierpniu 1837 roku w Poznańskim wybuchła epidemia cholery, która zmobilizowała wszelkie możliwe siły medyczne. Tymczasem wypróbowany praktyk w zwalczaniu tej choroby, Karol Marcinkowski, właśnie rozpoczął odbywanie kary więzienia w twierdzy świdnickiej. Nie trzeba było długo czekać na falę próśb i petycji o tymczasowe zwolnienie go z więzienia. „Doktor Marcin” wkrótce znów pojawił się w Poznaniu i ofiarną pracą przy zwalczaniu epidemii w grudniu 1837 roku wyjednał sobie decyzję zwalniającą go z reszty kary. W tym samym czasie Sezaniecka swój skromny szpitalik w Pakoślawiu przeznaczyła na pomieszczenie dla chorych.

Lata 1838-1846 były okresem szczególnie wyężonej pracy społecznej i organizacyjnej Marcinkowskiego. Los i postępująca choroba sprawiły, że było to osiem ostatnich lat jego życia, które jednak zostawiły trwałe ślad w sylwetce miasta i w schemacie funkcjonowania polskich struktur organizacyjnych Poznania. Ludzie niezbyt mu życzliwi często zwracali potem uwagę, że świadom swego stanu zdrowia (nasilające się objawy gruźlicy płuc) wręcz gorączkowo starał się utrwalić w pamięci potomnych – nawet kosztem opieki nad pacjentami. Jest to z pewnością opinia krzywdząca Marcinkowskiego, który zawsze był oddany pacjentom i z jednakową ofiarnością służył im zarówno przed powstaniem listopadowym, jak w 1837 roku po powrocie ze Świdnicy i później. Nie zawsze i nie wszystko jednak mu się udawało, a szukanie przyczyn porażki często prowadziło do analizowania wpływu zajęć dodatkowych, społecznych na rezultat praktyki lekarskiej. Czas również pokazał, że lata owej wyjątkowej aktywności były związane z koniecznością przeciwstawienia się agresji i małostkowości otoczenia, które nie zawsze rozumiało intencje zaśluzonego społecznika. Wiele w tym było też zwykłej u nas złośliwości

i bezinteresownej zawiści, przy niechęci, jaką budziła apodyktyczność Marcinkowskiego.

Powodzenie kasyna gostyńskiego zachęciło „Doktora Marcina” do utworzenia podobnej instytucji w Poznaniu, centralnej dla całego Księstwa. W czasie zjazdu świętomarcińskiego w 1838 roku przedstawiono koncepcję spółki bazarowej, która miała doprowadzić do wystawienia w stolicy Wielkopolski gmachu, będącego ośrodkiem szkolenia, wymiany doświadczeń gospodarczych, szerzenia kultury narodowej i oświaty. Oprócz wkładów członków spółki źródłem dochodów miały być opłaty za pokoje hotelowe, czynsze dzierżawne z wynajmowanych tylko Polakom sklepów – kramów i z restauracji. Akt założycielski spółki podpisało 26 czerwca 1838 roku 19 osób; zamierzano wznieść gmach na *hotel i sklepy*. Ustalono wartość akcji na 500 talarów każda. Od samego początku inicjatywa i kierownictwo przedsięwzięcia pozostawały w rękach Marcinkowskiego i Macieja Mielżyńskiego, zaś centrala działań była w poznańskim mieszkaniu „Doktora Marcina” przy ul. Podgórznej. Już wkrótce do spółki przystąpiło 68 osób z kapitałem 41 tys. talarów. Karnie zameldowali się do niej dawni „szwadroniści” – koledzy Marcinkowskiego z lat 1830-1831, a teraz działacze organicznikowscy. W sumie „pierwiastkowa lista” udziałowców spółki liczyła 146 osób. Na końcu listy dopisano 21 pań, które, jak przypuszcza A. Skątkowski, zostały do akcji włączone później; były wśród nich także Kordula Stablewska i Emilia Szczaniecka.

Szczegóły budowy Bazaru i burzliwe a trudne początki funkcjonowania gmachu wykraczają poza tematykę naszych rozważań. Dodajmy tylko, że we wrześniu 1839 roku położono kamień węgielny pod budynek Bazaru, zaś 8 grudnia roku 1841 nastąpiło otwarcie hotelu i objęcie go we własną administrację. Inicjatywa bazarowa od samego początku przysporzyła Marcinkowskiemu więcej powodów do zgrozoty i zmartwień, aniżeli satysfakcji z dobrze zrealizowanego przedsięwzięcia. Nielojalny wobec niego okazał się nawet szwagier Antoni Krzyżanowski, który jako projektant i budowniczy gmachu nie przywiązywał wielkiej wagi do rzetelności pracy. Wiele czasu musiało upłynąć, nim poznański Bazar stał się znaczącym ośrodkiem polskiego przemysłu i handlu w Księstwie, a z czasem zaczął konkurować z podobnymi instytucjami niemieckimi. Tej pozycji owa instytucja nie oddała aż do 1918 roku, do chwili odzyskania przez Polskę niepodległości.



6. Widok Bazaru przed rozbudową (przełom XIX i XX wieku)

Rodzina Szczanieckiej związana była z początkami Bazaru także prawem własności ziemi, na której stanął gmach hotelu. Od strony al. Wilhelmskiej (dziś Marcinkowskiego) był tam dwupiętrowy dom mieszkalny, własność Melchiora Korzbok-Łackiego, a później Antoniego Łackiego, szwagra panny Emilii. Budynek ten spełniał funkcję hotelu w razie przyjazdu kogokolwiek z rodziny z majątku do Poznania; sama Szczaniecka wielokrotnie korzystała z tej okazji. Drogą różnych operacji finansowych ów zadłużony budynek stał się własnością spółki bazarowej.

Znacznie ważniejszy dla tego przedsięwzięcia okazał się jednak teren obszernego ogrodu położonego na zapleczu domu Łackich; w owym czasie hodowano tam nawet winorośl. Z chwilą przebicia ul. Nowej (dziś Paderewskiego), łączącej Stary Rynek z pl. Wilhelmskim (Wolności), posesja została okrojona o podwórze. Później na miejscu ogrodu, wzdłuż nowej ulicy stanął gmach Bazaru, jedną ścianą stykający się z domem Łackich – jakby wchłoniętym przez całą budowlę – który w kilkadziesiąt lat później został zburzony. Stało

tu, od strony pl. Wolności, reprezentacyjne skrzydło Bazaru z głównym wejściem do hotelu, zaprojektowane przez Rogera Sławskiego.

Był to najwyraźniej okres pomyślny dla rodziny Łąckich. Zadłużony dom w Poznaniu został sprzedany, w Berlinie przy Friedrichstrasse wynajęto pałacyk przeznaczony na mieszkanie dla pani Nimfy i zabranych tam na edukację dzieci, a w Posadowie rozpoczęto budowę okazałej rezydencji rodowej. Uderzenie spadło nagle: po kilkunastodniowej chorobie 8 sierpnia 1838 roku zmarła we Lwówku Nimfa Łącka. W ogólnym zamieszaniu i rozpaczony na wpół osieroconych, inicjatywę przejęła panna Emilia, która jak przed laty Anastazja Sczaniecka nad nią i rodzeństwem, przejęła teraz (z własnej inicjatywy) opiekę nad sześciorokiem dzieci siostry i postanowiła zastąpić im matkę.

Śmierć ukochanej i w gruncie rzeczy podziwianej siostry nie była jedynym ciosem, jaki spotkał Sczaniecką w 1838 roku. Podczas gdy była we Lwówku, wskutek nieostrożności służby doszło do zapróżnienia ognia w jej pakosławskim pałacu. Dom spłonął niemal doszczętnie, przypadło na zawsze wiele cennych pamiątek i dokumentów, m.in. listy Marcinkowskiego. Dotknięta nieszczęściem Sczaniecka jednak nie straciła głowy. Nie zmieniła zamiaru „edukacyjnego” wyjazdu z dziećmi siostry do Berlina. W zamian za to zobowiązała szwagra do odbudowy pałacyku w Pakosławiu (skoro stawia najstarszemu synowi rezydencję w Posadowie, ta dodatkowa inwestycja nie powinna być dla niego zbyt absorbująca), ale według jej wskazówek. Do dziś zachowały się rachunki i listy w tej sprawie, świadczące o precyzji i dokładności panny Emilii w zagadnieniach organizacyjnych i finansowych; prawie każdy kwit i rachunek nosi jej kontrasygnatę.

Zgodnie z planem całe rodzeństwo Łąckich pod opieką panny Emilii wyruszyło do Berlina; w tym czasie zarządzanie majątkiem w Pakosławiu i pozostałych folwarkach Sczaniecka oddała w ręce zaufanego współpracownika, Karola Brodnickiego. Ponieważ wcześniej w stolicy Prus nie była, jej przewodnikiem po mieście i lokalnych stosunkach został Wojciech Cybulski, student, weteran powstania listopadowego, który wyruszył do Berlina, by kontynuować naukę przerwana udziałem w wojnie polsko-rosyjskiej i odsiadywaniem kary więzienia.

Po ulokowaniu młodzieży w różnych szkołach i zakładach (najstarszy, Władysław, podjął naukę na uniwersytecie), panna Emilia zaczęła się aklimatyzować w nie znanym jej dotąd mieście. Podkreślała w lis-

tach nowoczesność Berlina i rozmach rozbudowy, ale z żalem wracała do wspomnień bardziej przytulnego, zielonego, żyjącego na niej jakimś „luzie” Drezna. W owym czasie bardzo wyraźna była jeszcze różnica między poszczególnymi państwami niemieckimi; nawet różnice językowe były tam znacznie większe niż u nas pomiędzy gwarami dzielnicowymi. Dziś przyzwyczajeni jesteśmy do traktowania wszystkiego, co jest na zachód od Odry, jako niemieckie. Jednak wtedy, w pierwszej połowie ubiegłego wieku, tendencje zjednoczeniowe dopiero się rodziły, a pomiędzy mieszkańcami poszczególnych państw dochodziło niekiedy nawet do poważnych nieporozumień i przejawów wzajemnej niechęci. Nie lubiano zwłaszcza Prusaków za ich ekspansywność, brutalność, bezguście i nie najwyższy poziom intelektualny, podczas gdy np. Saksonia była traktowana jako centrum o wyjątkowej kulturze i dobrym smaku. Rywalizowała z nią w tej opinii Bawaria, granicząca przecież z Austrią, krajem ludzi o wyrafinowanej kulturze. W uproszczeniu powszechna wtedy opinia kazała podnosić ocenę kultury mieszkańców danego państwa niemieckiego w miarę przesuwania się ku południowi. Stereotyp ten runął w 100 lat później, gdy Austriak Hitler w arcykulturalnej Bawarii utworzył centrum ruchu nazistowskiego i z poparciem kręgów berlińskich ruszył na ideologiczny podbój całych Niemiec. Jednak w 1838 roku podziały te były jeszcze bardzo wyraźne i panna Emilia miała podstawy do porównań czy sceptycznych wniosków. Faktem jest, że trafiła już na okres tworzenia się dość silnej Polonii berlińskiej, której zasadniczą grupę stanowili pozbawieni własnej uczelni w Poznaniu polscy studenci z Księstwa, ich rodziny, a także kupcy i rzemieślnicy. Z czasem Berlin, Wrocław, Drezno (i Saksonia w ogóle), a później także Westfalia stały się głównymi ośrodkami polskimi w Niemczech.

Polonia berlińska tego czasu była środowiskiem złożonym głównie z ludzi o dość wysokim poziomie intelektualnym i cenzusie majątkowym. Kto tu przyjechał i osiadł, ten przeważnie albo chciał się uczyć, albo załatwiał swoje sprawy w stolicy państwa – tak zwany przeciętny obywatel nie miał tu czego szukać ani nie odczuwał potrzeby przyjazdu. Ówczesny Berlin nie był salonem Europy, do którego należało przyjechać dla zasady i dobrego tonu – jak np. do Paryża. Przybywano tu w konkretnym celu. Ci jednak, którzy choćby tymczasowo zamieszkali w stolicy Prus, dążyli do prowadzenia życia otwartego, towarzyskiego. Było ich na to stać, a poza tym

podtrzymywano w ten sposób więź narodową i wymieniano doświadczenia. Szczególne miejsce zajmowały salony towarzyskie, do których musiał być wciągnięty niemal każdy Polak w Berlinie, skoro tylko zwiedził miasto, jego parki, muzea i jako tako już się zadowił.

Nie inaczej postępowała i Sczaniecka. Wiedząc, że zostanie tu na dłużej, nie rzuciła się od razu w wir życia towarzyskiego, lecz poznawała miasto i jego ludzi stopniowo, choć systematycznie. Ludzie na tak zwanym poziomie utrzymywali ze sobą kontakty poprzez wzajemne odwiedziny, wyjazdy i „bywanie”. W dobrym tonie było uczestniczyć w ważnych wydarzeniach państwa, środowiska czy rodziny. Byli to ludzie o zupełnie innej mentalności, konstrukcji psychicznej niż Europejczycy ery telewizji, telefonu i energii nuklearnej; mimo utrudnień komunikacyjnych i oddalenia, byli znacznie bliżej siebie niż my dzisiaj, żyli też znacznie wolniej i mniej nerwowo – ale krócej.

Z czasem, w miarę jak dorastały dzieci kolejnych znajomych, panna Emilia coraz częściej spotykała w Berlinie swych rówieśników, którzy jak i ona osiedli na jakiś czas w stolicy Prus we własnych lub wynajętych pałacach bądź (rzadziej) mieszkaniach. Miała wtedy „już” 34 lata, więc coraz bardziej zaczęła się zbliżać do wieku matek przywożących swe dorastające pociechy do Berlina. Ponieważ jednak przyjechała z dziećmi starszej siostry, była od owych matron o kilka lat młodsza, co w owych czasach stanowiło różnicę dość istotną. Widać to było szczególnie wyraźnie, gdy na przyjęciach z udziałem dorastających siostrzenic Sczaniecka występowała w jasnej kolorem, modnej sukni. Zachowane w relacjach opinie, że z powodzeniem konkurować wtedy mogła z nimi, kilkunastoletnimi dziewczętami, jak się wydaje wcale nie były mało wyszukany komplementem. Panna Emilia, gdy chciała, umiała błysnąć towarzysko (przy zachowaniu taktu i powściągliwości), zwrócić na siebie uwagę także jako interesująca kobieta.

Początkowo to Sczaniecka bywała u innych, na przełomie lat 1838 - 1839 sama przyjęć nie organizowała. Odwiedzała dom państwa Ciecierskich przy Unter den Linden, potem w Berlinie pojawili się jej dobrzy znajomi: Tertulianostwo Koczorowscy, Konstancja Łubieńska z dziećmi, Stablewscy, Mielżyńscy, Sułkowscy, Raczyńscy – była to więc w gruncie rzeczy kontynuacja kontaktów z czasu pobytu w Wiel-



7. Pałac Emilii Szanieckiej w Pakosławiu

kim Księstwie Poznańskim. W ten sposób konkretny etap życiowy, konieczność kształcenia dzieci, przygnały tymczasowo nad Szprewę sporą część pokolenia elit Wielkopolan – byłych powstańców listopadowych.

Nie zapomniano rzecz jasna o tych polskich działaczach niepodległościowych, którzy po 1831 roku zostali osadzeni w berlińskich więzieniach Moabit i Hausvogtei. Tu Szaniecka miała do nich znacznie bliżej niż z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, nie byłaby więc sobą, gdyby nie zajęła się organizowaniem pomocy. W maju 1839 roku odebrała z więzienia, potem zaś kurowała swego dalekiego krewnego, Eugeniusza Szanieckiego, który niegdyś został schwytany z fałszywym paszportem.

W połowie 1839 roku Szaniecka razem z podopiecznymi wróciła do Księstwa. Pałac w Pakosławiu był właśnie odbudowywany, więc tymczasowo mieszkała to w Brodach, to we Lwówku. W tym czasie też bardzo była zaangażowana konfliktem na tle małżeństw mieszanych, jaki powstał między arcybiskupem Marcinem Duninem i królem pruskim. Wbrew zgodzie i woli monarchy Dunin wiosną 1838 roku wydał okólnik nakazujący małżeństwom religijnie mieszanym zobowiązanie się do wychowywania potomstwa w duchu katolickim

– a więc w warunkach Księstwa polskim. Mimo nacisków dworu i Flottwella Dunin nie odwołał swoich zarządzeń. Czuł za sobą poparcie Watykanu, poza tym bardzo szybko utworzyło się stronnictwo ziemian polskich, którzy stanęli w jego obronie, gdy arcybiskupowi wytoczono proces.

W całym Wielkim Księstwie Poznańskim rozgorzały emocje, konflikt ze starcia narodowo-religijnego stał się politycznym świadectwem rywalizacji polsko-niemieckiej, w której żadna ze stron nie chciała ustąpić. Król miał po swojej stronie administrację i policję, zaś arcybiskup – polską opinię publiczną Księstwa, która solidarnie poparła duszpasterza. Sam Dunin też szukał poparcia w różnych środowiskach, także w Berlinie, gdzie odwiedzał w tej sprawie Łąckiego i Szczaniecką. Nie było więc wątpliwości, jakie stanowisko zajmie w tej sprawie panna Emilia i jej współpracownicy.

Na razie uważnie obserwowała rozwój wydarzeń. Nie ukrywała też satysfakcji z nieprzemyślanej decyzji władz, gdy 23 lutego 1839 roku Dunin został skazany na 6 miesięcy więzienia, pozbawienie urzędu i pokrycie kosztów sądowych, z równoczesnym orzeczeniem niezdolności do piastowania urzędów publicznych w Prusach. W rzeczywistości jednak chodziło tu bardziej o wstrząśnięcie arcybiskupem i wymuszenie na nim ustępstw. Arcypasterza nie uwięziono, lecz nie pozwolono mu wrócić do Księstwa. Szczaniecka w liście do Benigny Małachowskiej napisała wprost: *Nie uwierzysz, ile to zakłócenie religijne nas cieszy! Rząd pruski nic głupszego dla siebie nie mógł wymyślić, bo tak tym chłopów przeciw sobie oburzył, i co tylko trąci luteranizmem, tego już nienawidzą. Co rząd zyskał przychylności przez darowiznę [tj. rozszerzenie reform uwłaszczeniowych na Wielkopolskę w 1823 roku – dop. M.R.], to teraz to utracił. Lud głośno szemrać zaczyna.*

Aktywność Polonii berlińskiej w staraniach o uwolnienie arcybiskupa Dunina zwróciła na nią uwagę policji. Trzeba przyznać, że władze miały podstawę do takiej ostrożności, gdyż determinacja polskich elit przywódczych pozwalała się spodziewać bardziej konkretnych działań. Jakoż istotnie, powoli zaczęła dojrzewać myśl nakłonienia arcybiskupa do złamania zakazu opuszczania Berlina. Liczono, że w ten sposób duszpasterz zademonstruje swą dezaprobatę dla wyroku i wyrazi poparcie dla środowisk (także niemieckich, dość szerokich), które ubezwłasnowolnienie go uznały za bezprawie i przejaw walki narodowościowej. Z kolei władze rozważały dwie możliwości roz-

strzygnięcia konfliktu: usunięcie Dunina ze stanowiska i likwidację archidiecezji gnieźnieńsko-poznańskiej albo przetrzymanie arcybiskupa przez jakiś czas z dala od ziem polskich (pozwalając mu urzędować na odległość), dopóki sprawa nie przycichnie. Z pierwszej ewentualności szybko zrezygnowano w obawie przed konfliktem z Watykanem i trudne do przewidzenia skutki w samym Księstwie.

Tymczasem środowiska polskie przystąpiły do bardziej zdecydowanego działania. Chodziło o zorganizowanie potajemnego powrotu Dunina do Wielkopolski. Jednym z głównych organizatorów, a później wykonawców planu była Emilia Sczaniecka. Akcja przebiegała zgodnie z zamierzeniami. Po wielu „kamouflażowych” wycieczkach w okolicy Berlina udało się zmylić czujność berlińskiej służby arcybiskupa (będącej na usługach policji), wymienić w powozie Sczaniecką na Dunina i przewieźć arcybiskupa do Poznania. Było to 3 października 1839 roku; w dwa dni później Dunin wrócił do swego pałacu na Ostrowie Tumskim. Żarty jednak się skończyły: 6 października w nocy Marcin Dunin formalnie już został aresztowany i wywieziony do twierdzy w Kołobrzegu, zaś w Wielkim Księstwie Poznańskim Flottwell i Grolman rozpoczęli politykę nacisku na duchowieństwo katolickie, by zmusić je do przejścia uprawnień arcybiskupich pod nieobecność Dunina.

Reakcja ludności polskiej i duchowieństwa była jednoznaczna, nie pozbawiona nawet pewnych elementów fanatyzmu, z hasłami oraz symbolami żaloby narodowej, obrony wiary i języka; pod tymi sztandarami zaczęto również mobilizować niższe warstwy ludności przeciwko władzy. Naczelny prezes prowincji, zaniepokojony rozwojem sytuacji w Księstwie, chcąc uniknąć niemal wojny religijnej, zaczął gromadzić siły wojskowe, sugerując królowi ogłoszenie odezwy z równoczesnym ostrzeżeniem skierowanym do duchowieństwa katolickiego i słowami życzliwości wobec chłopów. Jednak Berlin sugerował złagodzenie kursu argumentując, że Kościół katolicki ma szczególne poparcie klas niższych i dalsza eskalacja nacisku na duchowieństwo mogłaby grozić trudnym do opanowania wybuchem w Wielkim Księstwie Poznańskim. Jednym z argumentów były wydarzenia w Pogorzeli w nocy z 28 na 29 października 1839 roku, gdy chłopci zbrojnie wystąpili w obronie wikarego, który miał być aresztowany, aby łatwiej było na nim wymusić podpisanie przygotowanych już odezw do wiernych – katolików. W sumie sprawa

arcybiskupa Dunina i niewłaściwa reakcja na nią władz Księstwa bardzo zaszkodziły prestiżowi Flottwella zarówno na dworze berlińskim, jak i w prowincji.

W rezultacie same władze pruskie zaczęły szukać rozwiązania powstałej sytuacji i przystąpiły do pertraktacji z uwięzionym arcybiskupem – przy niemal automatycznym usztywnieniu stanowiska polskiego duchowieństwa w archidiecezji. W sierpniu 1840 roku Marcin Dunin został uwolniony i entuzjastycznie witany, wrócił do Poznania, za cenę jedynie złożenia przysięgi poddaństwa i wierności wobec króla. Rozwiązanie to było równocześnie dowodem klęski polityki Eduarda Flottwella, który na stanowisku naczelnego prezesa prowincji pozostał już tylko niecałe pół roku. Inny już wtedy był król, inna polityka, inne czasy. Należy przypuszczać, że po takim załatwieniu sprawy arcybiskupa Dunina pozostawiono w spokoju także osoby zaangażowane w ucieczkę arcybiskupa z Berlina i organizację akcji protestacyjnej w Księstwie – wśród nich Szczaniecką.

Jesienią 1839 roku, a więc w najgorętszym okresie walki o uwolnienie Marcina Dunina, panna Emilia musiała kontynuować spełnianie obowiązków opiekuńczych wobec dzieci siostry i wróciła do stolicy Prus. Powoli też zaczęły się krystalizować przyszłe związki Szczanieckich i Łąckich z innymi rodami ziemiańskimi Księstwa: Weronika Łącka była zainteresowana osobą Bronisława Dąbrowskiego, syna generała Jana Henryka, wodza Legionów, zaś jej siostra Emilia – Ignacym Bnińskim. Władysław ożenił się później z Antoniną Skórzewską, Kazimiera wyszła za Tertuliana Stablewskiego – zatem doszło tu do związków dzieci siostry Szczanieckiej z rodzinami, które były filarami ówczesnego ziemianstwa wielkopolskiego. Znowu pojawili się Skórzewscy i Stablewscy, a więc koło się jakby zamknęło.

Życie panny Emilii odtąd już toczyło się w Berlinie innymi torami niż dotychczas. Musiała dołączyć do grona tych ziemian, którzy prowadzili własne salony. Nauka to nie wszystko, dorastająca młodzież musiała wejść w towarzystwo, dać się poznać na zewnątrz. Tak jak kiedyś Anastazja Szczaniecka w Dreźnie wprowadzała w życie Nimfę i Emilię, tak teraz jej wnuczka czyniła to samo wobec dzieci zmarłej siostry. To właśnie wtedy panna Emilia dała się poznać także jako osoba umiejąca brylować w salonie, imponować wdziękiem, powierzchownością i urodą dojrzałej kobiety – ale jeszcze nie matrony. Nie budziła już sercowych namiętności, ale stała się obiektem sym-

Przeżyciu obrachowane) Emilia Szaniecka

8. Autograf Emilii Szanieckiej

patii, uznania i szacunku. Jak się wydaje, był to okres jej ostatniego triumfu jako nie tylko patriotki i działaczki, ale także jako kobiety. Z dystansem należy odebrać opinie D. Wawrzykowskiej-Wierciochowej, jakoby panna Emilia zmieniła swój image niechętnie i pod naciskiem siostrzenic. Po prostu w warunkach salonów ówczesnego Berlina, gdy nie było potrzeby akcentowania żaloby po kimś z najbliższej rodziny, obnoszenie się z czernią mogło być odebrane jako dziwactwo, a z czasem też stworzyłoby dystans wobec siostrzenic – tego zaś Szaniecka najmniej by sobie życzyła, nie po to przecież była w Berlinie. Dla niej samej było to sympatyczne wspomnienie czasów drezdeńskich, z wdziękiem i elegancją też połączyła refleksje osobiste z obowiązkami towarzyskimi. Już wkrótce poprzez mariaż z Emilią Łącką w otoczeniu Szanieckiej pojawił się Ignacy Bniński z Samo-strzela, jeden z jej najbliższych współpracowników w przyszłej pracy patriotycznej i narodowej.

Wiosną 1840 roku Emilia Szaniecka wróciła do Pakosławia, by uporządkować sprawy majątku, a przy okazji podleczyć dolegliwości nóg, które znów się pojawiły. Nowy pałac był już gotowy, ale zmarł Karol Brodnicki, dotychczasowy plenipotent panny Emilii. Jego miejsce zajął Jan Feliks Wize, który przez prawie 30 następnych lat był jej prawą ręką w zarządzaniu majątkiem. Sama Szaniecka przekonała się, że jest to *człowiek wielkich administracyjnych zdolności i czystego jak lza charakteru*, była pewna, że w *najcięższych chwilach nie dopuści do uronienia ani pędzi ziemi ojczystej i wyprowadzi zagrożoną pozycje z niebezpieczeństwa*.

Mając zarząd majątku oddany w pewne ręce, opiekę nad dziećmi w Berlinie powierzoną doświadczonemu profesorowi Benaremu, panna Emilia mogła się spokojnie zająć urzędowaniem swej pakosławskiej siedziby i odtwarzać kontakty z emigracją. Gdy w Berlinie matkowała dzieciom siostry, Wielkopolska zaczęła być obiektem aktywnej penetracji emisariuszy związanych z Młodą Polską i Towarzystwem Demokratycznym Polskim. W czasie kolejnych krótkich pobytów w domu

Szaniecka nie była w stanie orientować się na bieżąco w sytuacji, a Berlin z oczywistych względów był dość starannie omijany przez emisariuszy, emigrantów nielegalnie przekradających się na ziemie polskie. Teraz nadeszła pora nadrobienia zaległości.

Wnioski z tych analiz nie zachwyciły panny Emilii. Napływające różnymi drogami opracowania, dokumenty, odezwy świadczyły o skłóceniu polskich środowisk emigracyjnych i dużym zacietrzewieniu w walce o wpływy, o częstych konfliktach osobistych między konkretnymi działaczami, które przenoszone były na teren walk politycznych między poszczególnymi ugrupowaniami. Poza tym był to okres narastania rywalizacji między środowiskami działaczy konserwatywnych i zwolenników ruchów demokratycznych, po latach nie zawsze słusznie utożsamianych z ruchem rewolucyjnym. Na owe czasy jednak hasło równości ludzi i emancypacji klas niższych miało cechy rewolucyjne, odstraszające ludzi o tradycyjnych przekonaniach. Każda ze stron miała swój odłam radykalny, stawiający problem skrajnie; przyznać trzeba, że w ofensywie byli wtedy czołowi działacze Gromad Ludu Polskiego i Towarzystwa Demokratycznego Polskiego.

Szaniecka, choć sympatią czuła się związana z kręgami demokratycznymi, przeciwna była nurtom skrajnym, wolność ludu traktującym utopijnie, bez uwzględnienia specyfiki środowiska, zaboru, mentalności poszczególnych grup, cechującym się swoistym „chciejstwem”, przewagą idei nad możliwościami i realiami. Działalność tych ludzi, niewątpliwie będąca motorem przemian, stawała się destrukcyjna i zabójcza w momencie realizacji, jeśli idee próbowano wprowadzić na siłę w czyn, bez modyfikacji czy choćby urealnienia. Nieuwzględnianie tej prawdy w godzinie próby stawało się początkiem porażki konspiracyjnej, klęski na polu bitwy i katastrofy moralno-prestiżowej ideologów, zdziwionych rezultatami swej szczytnej przecież działalności. W skrajnym, rewolucyjnym nurcie ówczesnego ruchu demokratycznego występował wyraźny przerost idei nad możliwościami, zapалу nad poszanowaniem fachowości.

Skrajności te były wyrazem typowego zjawiska występującego w każdym środowisku emigracyjnym po poniesionej klęsce. W wirze rozgoryczenia, rozżalenia odbywa się szukanie winowajców powstałej sytuacji – najczęściej okazują się nimi ci, którzy znajdowali się u władzy w okresie wojny. Z reguły odsądzani są od czci i wiary, do głosu dochodzą besserwisserzy i ci, którzy przedstawiają program skrajnie

odmienny od reprezentowanego przez poprzedników. Tak w realiach Wielkiej Emigracji wytynęli skrajni demokraci.

Panna Emilia miała w swych ocenach wyraźną przewagę nad zapaleńcami z emigracji: była wciąż na ziemiach polskich, obserwowała społeczeństwo na bieżąco, podczas gdy dla niejednego działacza emigracyjnego czas się zatrzymał w roku 1831. Drażniły ją agresywne ulotki i odezwy, przeinaczanie myśli i programów. Zdała sobie sprawę z utopijności szczegółowych zamierzeń emigracyjnych „rewolucjonistów”, z drugiej zaś strony zgadzała się z ogólnymi założeniami ich programu. Była też bardzo zdegustowana pretensjami przedstawicieli jednego z ugrupowań (m.in. samego Lelewela) o wysyłanie wsparcia pieniężnego ich politycznym adwersarzom.

W lipcu 1840 roku Emilia Sczaniecka, zdrowotnie bardzo osłabiona przeżyciami poprzednich dwóch lat, udała się na kurację do Włoch. Czas był najwyższy zadbać o siebie, jako że niedowład nóg tym razem przykuł ją do łóżka na prawie 6 miesięcy. Zwiedziła północne Włochy, po drodze zobaczyła w Genewie grób Klaudyny Potockiej. Ale już w początkach grudnia w liście do Benigny Małachowskiej zaczęła wspominać o konieczności powrotu do Księstwa. Po zwycięstwie odniesionym w boju o uwolnienie arcybiskupa Dunina polską społeczność Poznańskiego ogarnęło szaleństwo kosztownych zabaw, które praktyczna z natury panna Emilia odbierała z niesmakiem i niezadowolaniem. Bale odbywały się nawet w pałacu arcybiskupim, wystawnie bawiły się też stateczne dotąd salony Działyńskich, Mielżyńskich, Raczyńskich, Łuszczewskich, Jarochońskich, Mateckich, Moraczewskich, Thielów i Libeltów.

Sczaniecka w tym czasie była już w Berlinie, osobiście nadzorując dalszą edukację podopiecznych. Bardzo pomogła też Wojciechowi Cybulskiemu, który po doskonałym ukończeniu studiów objął katedrę języków literatur słowiańskich na uniwersytecie berlińskim. To w pałacyku przy Friedrichstrasse odbył się uroczysty wieczór pożegnalny Cybulskiego, który wyruszał w podróż naukową m.in. do Pragi, Zagrzebia i Belgradu.

Przez całą zimę lat 1840-1841 Sczaniecka przebywała w Berlinie. Utworzyła w swym domu coś w rodzaju salonu dla młodzieży polskiej studiującej w stolicy Prus. Wkrótce pojawiły się też kolejne panie z Księstwa, razem z żądnymi wiedzy pociechami. Przyjechały wśród nich: dawna koleżanka ze wspólnych prac Helena Turnowa

ze szwagierką Aleksandryną, burzliwymi przejściami związaną z Pawłem Edmundem Strzeleckim – powstańcem i podróżnikiem. Wiąż tych trzech pań utrwałała się na kilka następnych lat, a niewygasły sentyment pani Aleksandryny do Strzeleckiego sprawił, że często mówiono o nim, aż wreszcie sama Szaniecka zaczęła się interesować losami badacza antypodów.

Teraz obowiązki towarzyskie wobec młodzieży wzięła na siebie pani Turnowa, zaś Szaniecka zajęła się kontaktami z przedstawicielami jej pokolenia i środowiska, którzy coraz częściej zaczęli z Księstwa przybywać do Berlina. Pałacyk przy Fiedrichstrasse stał się jakby punktem kontaktowym wysłanników emigracji zdążających na ziemię polskie i wracających na Zachód; ich jeszcze niedawne obawy skończyły się z chwilą zmiany na tronie pruskim. Odwiedzali też pannę Emilię Seweryn Mielżyński i Edward Raczyński, który podczas pobytu w Berlinie zwykle zatrzymywał się w pałacu swego brata Atanazego – kolekcjonera dzieł sztuki, pruskiego dyplomaty, niechętnie przyznającego się do swej polskości. Jako ciekawostkę dodajmy, że w pół wieku później na miejscu pałacu Raczyńskich w Berlinie stanął gmach parlamentu Rzeszy – Reichstagu.

Mimo swoistego podziału obowiązków z Heleną Turnową, Szaniecka nadal bardzo chętnie pełniła powinności pani domu wobec polskiej młodzieży studiującej w Berlinie. Wydaje się jednak, że granica wieku i atmosfera wielkiego szacunku otaczająca pannę Emilię przekreślały możliwości rozluźnienia, swobody. Mimo zachęt ze strony gospodyni, studenci swoje zażarte dysputy w różnych kwestiach woleli toczyć w zaciszu wynajętych pokojów niż w salonie Szanieckiej. Wizyta przy Friedrichstrasse podbudowywała ich psychicznie, integrowała narodowo, ale zawsze miała charakter mniej lub bardziej uroczysty. Był to czas, gdy gośćmi panny Emilii bywali Marceli Motty, Hipolit Cegielski, Jan Rymarkiewicz, Leon Szuman, Ignacy Bniński. Również Władysław Łącki, ku niezadowoleniu ciotki, wprowadził szanował opiekunkę i był do niej ogromnie przywiązany, ale swoje myśli i poglądy przetrzymywał na stancjach kolegów. Tej bariery skrępowania Szanieckiej przełamać się nie udało, nie osiągnęła partnerstwa z młodzieżą, stała dla niej za wysoko. Podobnie zresztą było w innych polskich salonach ówczesnego Berlina, prowadzonych m.in. przez Melanię Stablewską, Karolinę Mycielską czy Konstancję Łubieńską.

W miarę upływu czasu Szczanieckiej udało się jednak wciągnąć bywającą u niej młodzież do samokształcenia. Zaczęła organizować spotkania poświęcone historii i literaturze polskiej, z wykorzystaniem podręcznej, dość obszernej biblioteki, która w 1841 roku formalnie stała się własnością nowo utworzonego Stowarzyszenia Biblioteki Studentów Polskich. Organizacja ta działała legalnie i otwarcie, wiadomo jednak, że kierująca nią Szczaniecka i jej najbliższy w tej pracy pomocnik Michał Słomczewski, mieli stały wzajemny kontakt z TDP i nie tylko literatura oficjalna była tematem analiz na zebraniach studenckich.

Z tego okresu datuje się też sprawa stosunku Emilii Szczanieckiej do osoby i teorii Andrzeja Towiańskiego. Ów założyciel sekty mistyczno-religijnej wiele zamieszania spowodował w polskim środowisku emigracyjnym. Przełom lat trzydziestych i czterdziestych był szczytowym okresem działalności tego teoretyka, który w kręgach swej sekty Koło Sprawy Bożej szerzył hasło rychłej odbudowy Polski drogą mesjanizmu. Doskonalenie mistyczne miało doprowadzić do chryścianizacji stosunków politycznych, a to z kolei – do uporządkowania Europy według zasad sprawiedliwości, z likwidacją skutków przemocy. Owa idea, skądinąd sympatyczna, propagująca zgodę i braterstwo, paraliżowała wszelką wolę aktywnego działania. Była utopijna, lecz przy tym szkodliwa, gdyż na pewien czas wyłączyła wielu operatywnych dotąd aktywistów politycznych i narodowych. Było to swoiste „zaczadzenie” umysłów, wytchnienie dla ludzi udręczonych klęskami, emigracją i codziennymi problemami bytowymi – jednak prowadzące donikąd. Nic więc dziwnego, że po okresie graniczącej ze snobizmem ogromnej popularności Towiańskiego wśród czołówki intelektualnej Wielkiej Emigracji (przez pewien czas Kołem Sprawy Bożej kierował Adam Mickiewicz), nastąpiło oprzytomnienie i stopniowe odejście od ideologii Mistrza Andrzeja. Jednak w ciągu kilku kolejnych lat trzeba się było wykazać wyjątkowo silną osobowością, by nie ulec sugestiom i naciskom zwolenników Towiańskiego.

Nie uniknęła ich też Szczaniecka. Była osobą zbyt wiele znaczącą w Wielkim Księstwie Poznańskim, by nie starano się jej pozyskać dla modnej idei. Co jednak było dobre w kręgach emigracyjnych, z dala od kraju, to nie znalazło spodziewanego oddźwięku na ziemiach polskich. Znamienne, że Towiański miał szczególnie wielu zwolenników w kręgach intelektualistów, ludzi pióra i kultury, natomiast

niewielu uległo mu dawnym żołnierzy powstania listopadowego i organiczników. Ludzie ci zbyt mocno stąpali po ziemi, by łatwo mogli się poddać mistycyzmowi. Rzecz była nie w małej sile ich wiary, lecz w umiejętności łączenia w życiu religii z efektami konkretnej, rzetelnej pracy, sama modlitwa i pierwiastek duchowy im nie wystarczały.

Emilia Szaniecka nie uległa namowom Towiańskiego, nie wstąpiła do Koła Sprawy Bożej. Przeciwnie, miała o tej organizacji opinię nie najlepszą, którą wyraziła w liście pisanym w listopadzie 1841 roku do Benigny Małachowskiej: *Pan Plichta był u mnie w Berlinie, zgodą się o panu Towiańskim i ja mu wprost powiedziałam, że nie szukałam z Towiańskim znajomości, gdy tu był, bo byłam źle o nim uprzedzoną przez jedną młodą Polkę, która mi powiadała, że jest przez niego przyjętą do związku. Zasadą tego związku jest, żeby wszystko, co tylko każdy człowiek wie, powiedział tak o sobie, jak i o drugich. Żeby starał się być w towarzystwach i, żeby wróciwszy do Towiańskiego albo osobiście, albo listownie wszystko mu wynurzył. Od owej Polki zażądał, żeby każdy list mu zakomunikowała, nawet od kochanka, i do tego przez przysięgę była zmuszoną. Widziałam niektóre modlitwy towiańczyków i wszystko to bardzo mi nie odpowiadało. Zapytał mnie wtedy pan Plichta, czy może to powtórzyć w Paryżu i ja nie miałam nic przeciwko temu. Ale żebym to ja była tą osobą przyjętą przez Towiańskiego, to nieprawda! I pewno tego pan Plichta nie mógł powiedzieć. Sądzę, że skoro każda rzecz, która przechodzi z ust do ust, jest zdefigurowaną, więc i ta wiadomość uległa podobnemu losowi.*

Jak widać (pomijając już oburzenie Szanieckiej na samo posądzenie o przynależność do sekty Towiańskiego) chodziło tu nie tyle o mistycyzm i brak realizmu całej organizacji, ile o trudną do przyjęcia zasadę absolutnej otwartości wszystkich wzajemnie, co może i dobre było z punktu widzenia interesów sekty, ale nie do przyjęcia, a wręcz niebezpieczne w normalnie funkcjonującym towarzystwie. Znamienne jednak, że panna Emilia nie uprzedziła się do znanych jej towiańczyków, zwłaszcza Mickiewicza, i nadal propagowała w Księstwie ich dzieła.

Był to również okres aktywizacji intelektualnego nurtu organicznikowskiego, co było o tyle łatwe, że w Księstwie działało wiele osób reprezentujących różne dziedziny życia i specjalności, które umiały przekazywać efekty swych prac i przemyśleń w trakcie wystąpień publicznych. Byli wśród nich filozofowie August Cieszkowski i Karol

Libelt, historyk Jędrzej Moraczewski, lekarze Karol Marcinkowski i Teofil Matecki. Rozpoczęto zatem cykl wykładów publicznych w Sali Malinowej pałacu Działyńskich w Poznaniu. Najbardziej reprezentacyjna sala była jednak w Bazarze; odbywały się tam wykłady, odczyty, spotkania i uroczyste koncerty. Ogółowi mieszkańców udostępniano także salę teatru niemieckiego przy obecnym pl. Wolności; ważną rolę w towarzyskim życiu ówczesnego Poznania odgrywały też sale Hotelu Saskiego przy ul. Wrocławskiej i w Ziemstwie Kredytowym.

Odczyty i prelekcje miały być namiastką wykładów uniwersyteckich, władze pruskie bowiem konsekwentnie odrzucały petycje (zarówno polskie jak i niemieckie) o zgodę na otwarcie wyższej uczelni w Poznaniu. Nie chodziło tu wyłącznie o zachowanie monopolu uczelni niemieckich. Przecistawiając się założeniu uniwersytetu w Wielkopolsce, zmuszano miejscową młodzież polską do wyjazdu do Niemiec po naukę. Tak wykształceni młodzi Polacy, jeżeli się nawet nie zgermanizowali, byli absolwentami niemieckich uczelni, co miało duże znaczenie propagandowe. Z drugiej zaś strony, jeżeli dziś prześledzimy akademickie losy czołowych naukowców rodem z Wielkopolski w ciągu całego okresu zaborów, możemy łatwo zauważyć, że niewielu z nich zakończyło edukację na jednej tylko uczelni. Co bardziej obrotni i lepiej sytuowani materialnie kontynuowali naukę na uniwersytetach francuskich i angielskich. Podobnie zresztą było w obydwu pozostałych zaborach, mimo funkcjonowania uniwersytetów w Warszawie i Krakowie – ten pierwszy zresztą i tak był zamykany i ponownie otwierany zależnie od rozwoju wydarzeń politycznych w Królestwie Polskim.

Emilia Szaniecka nie była szowinistką, daleka też pozostała od traktowania ludzi w zależności od ich pochodzenia. Już w czasie powstania listopadowego przecież była znana z udzielania pomocy rannym niezależnie od ich nacji. Często jeździła za granicę, spotykała się z ludźmi różnej narodowości i o przeciwstawnych przekonaniach, nigdy jednak nie był to powód do uprzedzania się, a tym bardziej walki. Bardziej istotne były dla niej zapatrywania polityczne osób, z którymi współpracowała. Tak doszło do współdziałania Szanieckiej z Emmą Siegmund – entuzjastką ruchów demokratycznych, sympatyzującą z działaniami panny Emilii od 1832 roku, doskonale też знаła Georga Herwegha, poetę i rewolucjonistę, oraz pisarza Ottona Spaziera.

W 1842 roku Szaniecka wróciła do Wielkopolski, by wziąć udział w przygotowaniach do ślubu siostrzenicy, Weroniki Łąckiej, z Bronisławem Dąbrowskim. Jak się wydaje, nie była zbyt zachwycona tym mariażem. Syn wodza Legionów najwyraźniej nie udźwignął brzemienia chwały generała Jana Henryka. Podobnie jak w synu wybitnego wirtuoza widzimy najczęściej „następcę tronu”, kontynuatora ojcowej chwały, tak i młody Dąbrowski od wczesnego dzieciństwa był szykowany na wodza narodu. Tymczasem Bronisław, choć starannie wykształcony, obyty i elegancki, nie palił się zbyt do angażowania w polskie sprawy narodowe – jakkolwiek pamięć ojca wciąż przykładnie i chyba szczerze. Nie był pustym bawidamkiem i lwem salonowym czy utracjuszem, ale raził przeciętnością, przynajmniej na tle tego, czego po nim oczekiwano. Duch narodowy odezwał się w nim dopiero w kilka lat po ślubie z Weroniką Łącką (przypuszczalnie pod wpływem kontaktów z Ludwikiem Mierosławskim), jednak na razie jego wyjątkowość wynikała bardziej z chwały ojca niż zalet czy zasług osobistych. W sumie należy sądzić, że Szaniecka w przygotowaniach do wesela uczestniczyła z obowiązku i bez entuzjazmu, choć była zbyt dobrze wychowana, by okazać to całemu otoczeniu.

Znacznie bardziej przykra dla niej uroczystość odbyła się w czerwcu 1842 roku, gdy przybył do Poznania król Fryderyk Wilhelm IV. Na demonstracyjny protest przeciwko swemu udziałowi w podobnych uroczystościach mogła sobie pozwolić jako kilkunastoletnia dziewczynka. Teraz jednak musiała uczestniczyć w powitaniu monarchy i w prezentacji miejscowego ziemiaństwa. Mimo życzliwego zainteresowania okazanego jej przez króla, nie wykroczyła poza zdawkowe przejawy szacunku poddanej wobec monarchy, podczas gdy inni, zauroczeni liberalnymi decyzjami Fryderyka, prześcigali się w okazywaniu radości z powodu jego wizyty w Poznaniu. Czas pokazał, że nieufność Szanieckiej była w pełni uzasadniona, ale na razie demonstracje byłyby zbędne i nie na miejscu. Nie było potrzeby akcentowania różnicy zdań czy stanowisk dla samej tylko satysfakcji. Sama zresztą panna Emilia miała świadomość fałszu, jaki by się wówczas ujawnił z jej strony. Towarzyski obowiązek wypełniła więc bez nadgorliwości, wiedziała i czyniła swoje, nie przerywając kontaktu z emigracją – zwłaszcza Wiktorem Heltmanem (współautorem manifestu TDP) za pośrednictwem Michała Słomczewskiego.

Tymczasem w Wielkim Księstwie Poznańskim zaczęły powstawać tajne organizacje programowo związane z Towarzystwem Demokratycznym Polskim. Po 1840 roku powstał Związek Narodu Polskiego, kierowany przez Karola Libelta. Do organizacji tej stopniowo dołączyli niektórzy ziemianie, rzemieślnicy i oficjaliści dworscy – w sumie przedstawiciele środowiska, na które ideologia TDP oddziaływała ze szczególną siłą. Z czasem do ZNP zaczęli dołączać uciekinierzy z rozbitych aresztowaniami organizacji funkcjonujących w Królestwie Polskim, a wkrótce powstał radykalny odłam Związku Narodu Polskiego: Związek Pracujących (Plebejuszy), na którego czele stanął Walenty Stefański.

Powstały w ten sposób dwa zasadnicze nurty konspiracji wielkopolskiej tego okresu: liberalny, którego głównymi działaczami byli Libelt i Jędrzej Moraczewski, oraz ekstremalny programem i w działaniu, ze Stefańskim na czele. Pierwszy kierunek był umiarkowany, jego przedstawiciele konspirowali, ale jednocześnie w pełni uczestniczyli w działaniach organicznikowskich, popierali Marcinkowskiego, współkierowali Towarzystwem Naukowej Pomocy dla Młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Z kolei Stefański konsekwentnie i za wszelką cenę dążył do wybuchu powstania zbrojnego, z możliwie szerokim udziałem ludu. Był zapaleńcem, nie liczącym się z realiami i kosztami, każdy głos rozsądku okazywał się dlań oznaką zdrady. W rezultacie dochodziło do rozdźwięków, nieporozumień, wzajemnego szkodzenia sobie.

W owym tygłu Szczaniecka długo nie mogła znaleźć miejsca dla siebie. W każdym z tych programów znajdowała punkty odpowiadające jej przekonaniom, niektóre poglądy budziły jednak mniej entuzjazmu. Niedawno poznała Bibianę Moraczewską, siostrę historyka Jędrzeja, i serdecznie się z nią zaprzyjaźniła. Dzięki niej znalazła się bliżej umiarkowanego nurtu Związku Narodu Polskiego. Jak wiadomo, sprzyjała też Marcinkowskiemu i jego inicjatywom organicznikowskim, zaś Stefańskiego podziwiała za upór i determinację. Wybór więc był bardzo trudny.

Na razie całym sercem zaangażowała się w działalność Koła Towarzyskiego, które założył Marcinkowski w 1843 roku. Chodziło o zbliżenie środowiska ziemiańskiego z mieszczańskim, aby na polu towarzyskim doprowadzić do przynajmniej częściowej integracji tych dwu, jeszcze przed kilkudziesięciu laty zantagonizowanych, klas



9. Karol Stablewski, mąż siostry Emilii Szanieckiej, Korduli

społecznych. Organizowano prelekcje, zebrania, wreszcie bale – imprezy, których Marcinkowski nie cierpiał, ale uczestniczył w nich dla dobrej sprawy. Jednak nie udało się wyrobić nawyku ograniczenia blichtru, większej skromności. Umiar stosowany na balach Koła Towarzyskiego rekompensowano sobie w dwójnasób podczas innych

imprez; co innego było dla zasady, przyzwoitości, dobrego tonu, co innego zaś – dla siebie.

W maju 1843 roku zmarł szwagier Sczanieckiej, Karol Stablewski. Widać więc, że śmierć w ciągu kilku lat wyrwała z jej otoczenia kilka najbliższych osób, z którymi silnie była związana i uczuciowo, i wykonywaną pracą społeczną. Dziś biografowie panny Emilii często podkreślają przedwczesność zgonu Weroniki Sczanieckiej, Nimfy Łackiej, Karola Stablewskiego. Zwróćmy jednak uwagę na realia epoki i na poziom ówczesnej wiedzy medycznej. Wtedy, w pierwszej połowie XIX wieku, nagłe zgony zdarzały się znacznie częściej niż dziś, a ludzie umierali z powodu chorób, które dla obecnej medycyny nie stanowią najmniejszego problemu. Szczególnie obfite żniwo zbierały gruźlica, epidemie tyfusu i cholery, a osłabionemu organizmowi ostateczny cios zadawało zapalenie płuc. Wprawdzie schorzenia układu krążenia i nowotwory nie były tak dotkliwe, jak obecnie, ale było wiele innych chorób, które powodowały drastyczne obniżenie średniej długości życia. W rezultacie przed 150 laty osoba 50-letnia była darzona szacunkiem, jaki dziś otacza kogoś starszego o lat 20-30. W tej sytuacji długowieczność np. Dezyderego Chłapowskiego i Emilii Sczanieckiej była zjawiskiem niezwykle rzadkim, a śmierć ich najbliższych między 35 a 50 rokiem życia przy ówczesnym stanie medycyny i higieny – niczym nadzwyczajnym, niezależnie oczywiście od tragedii zgonu i dramatu najbliższych.

Przeciążenie pracą domową, organizacyjną, obowiązkami rodzinnymi, wreszcie przeżycia osobiste sprawiły, że powracający falami niedowład nóg tym razem unieruchomił Sczaniecką na dłużej. Nie było wówczas klinik specjalistycznych podobnych dzisiejszym, na ziemiach polskich brakowało lekarzy zajmujących się konkretnymi schorzeniami. Kogo było na to stać, jechał więc za granicę przeważnie do znanych wtedy miejscowości uzdrowiskowych. Dolegliwości panny Emilii najpewniej miały podłoże reumatyczne i neurologiczne – zatem w grę wchodziły jedynie kąpieliska w Akwizgranie i Ostendzie. Tam też, do Belgii, udała się Sczaniecka razem z Konstancją Łubińską.

Po drodze, przejeżdżając przez Brukselę, odwiedziła Joachima Lelewela, który mieszkał tam niemal w nędzy, ale otoczony wielkim szacunkiem rodaków i poważaniem Belgów. Nie wiadomo, jaka była treść rozmowy z panną Emilią, w każdym razie Sczaniecka i wtedy,



10. Joachim Lelewel (1786-1861)

i później kontynuowała informowanie uczonego historyka o sytuacji na ziemiach polskich. Dotychczas czyniła to listownie, za pośrednictwem przygodnych kurierów, teraz wreszcie spotkała się z Lelewelą osobiście, po raz pierwszy od 1831 roku. Zasłużony działacz bardzo

sobie cenil kontakt ze Szczaniecką i wielokrotnie w swej korespondencji podkreślał znaczenie informacji przekazywanych przez nią środowiskom emigracyjnym.

Intensywna kuracja w Ostendzie zaczęła przynosić rezultaty; już po miesiącu, we wrześniu 1843 roku, panna Emilia postanowiła zajrzeć do Londynu, by tam zorientować się w realiach polskich środowisk emigracyjnych. Dotychczas знаła je z informacji uzyskiwanych korespondencyjnie, z relacji kurierów, emisariuszy i osób czasowo przebywających w Anglii, wreszcie z druków tamtejszych. Przy okazji zabrała korespondencję od Lelewela.

Przybyła do Londynu w końcu września 1843 roku w towarzystwie Konstancji Łubieńskiej, Marii Bolewskiej (nauczycielki, zwolenniczki metod pracy panny Emilii) oraz Edmunda Czapskiego. Przedtem jednak wszyscy musieli odbyć trudną podróż z Ostendy do Dover i przejść bardzo uciążliwą dla Szczanieckiej chorobę morską... W stolicy Anglii podróżników przejął Stanisław Worcell, zaprzysięgły demokrata, przywódca Gromady Grudziąż; on też odebrał korespondencję od Lelewela. Wkrótce dołączył do nich Wiktor Heltman, dotychczas znany Szczanieckiej tylko z wymiany listów. Z wielkim zainteresowaniem panna Emilia zwiedziła nie znane jej dotąd miasto, przyjrzała się Anglikom, ale najbardziej przydatne było dla niej spotkanie ze środowiskiem polskich emigrantów. Ludzie ci najczęściej znajdowali się w bardzo trudnej sytuacji materialnej, mieszkali też w najuboższych dzielnicach Londynu, często utrzymując się z doraźnej pracy. W lepszej sytuacji byli ludzie wykształceni, którzy zarabiali na życie udzielaniem lekcji języków obcych (zwłaszcza francuskiego), ale los uboższych uchodźców był nie do pozazdroszczenia. Arystokratów, którzy jak książę Adam Jerzy Czartoryski nie mieli kłopotów materialnych, było niewiele. Większość ziemian, w kraju nieźle sytuowanych, tu ledwo wiązała koniec z końcem. Biedował mieszczanin Lelewel, w wytartym surducie chodził hrabia Worcell – łączyły ich patriotyzm i duma narodowa.

Emilia Szczaniecka powitana została w Londynie bardzo serdecznie. Wielu tułaczy doskonale ją pamiętało ze szpitali warszawskich sprzed 12 lat. Była dla nich łącznikiem nie tylko z wytęsknionym krajem, ale też wspomnieniem tamtych dni grozy i chwały. Najtrudniejsze były dla niej chwile, gdy przemawiała do zebranych emigrantów. Nie umiała i nie lubiła występować publicznie, teraz jednak

musiała się przelamać, by nie zawieść dawnych przyjaciół, znajomych i towarzyszy broni. Znając styl listów panny Emili można się spodziewać, że były to wystąpienia tradycyjne, bogoojczyźniane, dość przeciętne na tle oratorskich popisów choćby Mierosławskiego czy Worcella – jednak w zupełności wystarczyły do spełnienia swej misji serdecznej i propagandowej.

Pobyć Szanieckiej w Londynie miał charakter „roboty”: ustalono szczegóły kontaktów z krajem, zasady przekazywania informacji, materiałów itd. Był to właśnie czas przygotowań do konkretnych działań niepodległościowych na ziemiach polskich (o czym jeszcze powiemy dokładniej) i każda osoba przybywająca z kraju była cennym informatorem o sytuacji wśród rodaków. Jeszcze ważniejsi dla przedsięwzięć emigracyjnych działacze byli Polacy tylko czasowo przebywający za granicą. Nie musieli się ukrywać, mieli legalne dokumenty, więc można było ich wykorzystać jako łączników i kurierów.

Nic więc dziwnego, że gdy w początkach października 1843 roku Szaniecka ze swymi współtowarzyszami podróży wracała na kontynent, zabrała ze sobą zarówno materiały potrzebne jej w domu, w Wielkim Księstwie Poznańskim, jak i korespondencję londyńczyków dla działaczy mieszkających we Francji.

Londyn był na ogół ośrodkiem politycznie jednokierunkowym, najwięcej do powiedzenia mieli tu działacze TDP i Gromad Ludu Polskiego. Emigracja francuska, konkretniej zaś paryska, była bardziej zróżnicowana programowo, choć materialnie wiodło się jej nie najlepiej – podobnie jak emigrantom „angielskim”. Jesienią 1843 roku nasi uchodźcy we Francji podzieleni byli między dwa różne kierunki polityczne: konserwatywny, związany z Hotelem (czyli Pałacem) Lambert księcia Adama Czartoryskiego, oraz demokratyczno-liberalny, ideowo bliski Towarzystwu Demokratycznemu Polskiemu, którego Centralizacja zresztą funkcjonowała w Wersalu. Szaniecka, choć klasowo związana była z konserwatystami, przekonania, jak wiemy, miała na wskroś demokratyczne i w paryskim tyglu emigracyjnym konsekwentnie trzymała się raz ustalonej drogi, nie rozgraniczając, nie wartościując, ale zachowując własne zdanie.

Wkrótce Paryż stał się jakby miejscem zjazdu rodziny Szanieckich. W hotelu przy rue St. Jacques 87 zamieszkali (poza panną Emilią) Konstanty Szaniecki z żoną i córką, rodzeństwo Emilia i Władysław Łąccy, Ignacy Bniński, Tertulianostwo Koczorowscy, a później także

Hieronimostwo Gorzeńscy i Konstancja Łubieńska. Wkrótce ożywił to i zgrane towarzystwo uległo podziałowi na zwolenników oraz zagorzałych antagonistów Andrzeja Towiańskiego. Emilia Sczaniecka konsekwentnie odcięła się od wszelkich kontaktów z jego ideami. Skorzystała za to z okazji odwiedzin u starych znajomych z 1831 roku: Klementyny Hoffmanowej (już wtedy ciężko chorej) i Benigny Małachowskiej.

Pobyt w Paryżu Sczaniecka wykorzystała bardzo wszechstronnie. Była w Czytelnicy Polskiej i Bibliotece Polskiej, spotkała się z działaczami Towarzystwa Dobroczyńności Dam Polskich, często bywała w teatrze. Jej salon też zaczął regularnie odwiedzać człowiek, który już wkrótce odegrał ogromną rolę w polskim ruchu niepodległościowym: Ludwik Mierosławski. Sczaniecka była oczarowana demokratycznymi wizjami tego zapaleńca, jako że w pełni akceptowała jego poglądy na niepodległość Polski oraz gotowość do czynu zbrojnego. Wprawdzie niezupełnie się zgadzała z jego opinią o formie władzy i organizacji niepodległego już kraju, lecz konsekwentnie pomagała Mierosławskiemu także wtedy, gdy rozpoczął swą działalność na ziemiach polskich jako wódz planowanego powstania narodowego.

W czasie pobytu Sczanieckiej w Paryżu, owym salonie ówczesnego świata, w jej otoczeniu znalazła się cała śmietanka ówczesnej Polonii francuskiej: Walenty Zwierkowski, Klementyna Hoffmanowa, Leon Zienkiewicz, księgarz i wydawca Eustachy Januszkiewicz, Aleksander Jelowicki, generałowie: Maciej Rybiński, Kazimierz Małachowski, Józef Dwernicki, Tadeusz Suchorzewski. U Januszkiewicza spotkała poetów Juliusza Słowackiego i Bohdana Zaleskiego. Bywała na recitalach Fryderyka Chopina i zachwycała się jego twórczością, lecz nic nie wiadomo o ich wzajemnych kontaktach towarzyskich. Na pewno spotykała się z leciwą już księżną Marią Wirtemberską.

Jednak najczęściej Sczaniecka przebywała w otoczeniu ludzi, którzy mogli z nią podyskutować na temat form dalszej działalności niepodległościowej, a poglądami, jak ona, skłaniali się ku programowi Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Tu znalazła wspólny język z Leonardem Chodźką – historykiem, kolekcjonerem i wydawcą. W salonie Olimpi i Leonarda Chodźków pannę Emilię otoczyła atmosfera bardzo rzadka w polskich środowiskach ówczesnej emigracji. Nie było tam obowiązkowego cierpiętnictwa, nostalgii czy nędzy. Gospodarz, szczerzy Polak i patriota, potraktował Francję jak drugą



11. Ludwik Mierosławski (1814-1878)

ojczyznę, a dzięki wrodzonej inteligencji i obrotności wkrótce zyskał wysoką pozycję w bankowości francuskiej, doszedł do stanowisk i majątku. Mógł więc swe narodowe posłannictwo traktować naturalnie, bez pierwiastków męczeństwa. W jego domu dla ojczyzny się działało,

pracowało, lecz cierpieć nie było potrzeby. Owa naturalność pozwalala Sczanieckiej odetchnąć od nieustającej wzniosłości i równocześnie dawała możliwość operowania konkretami. Przez salon Chodźków przewijali się czołowi działacze TDP, niezależnie od ich szczegółowych poglądów – a o to zaś Sczanieckiej najbardziej chodziło.

Działacze głównych stronnictw polskiej emigracji przyciągała, a równocześnie dezorientowała programowa apolityczność panny Emilii. Nie dawała się wciągać w różne rozgrywki personalne czy konflikty polityczne. Wszyscy chcieli ją przyciągnąć, a później wykorzystać popularność Sczanieckiej w Poznańskim do realizacji własnych celów. W dalszym ciągu liczył na nią też książę Adam Czartoryski, powstańczymi planami fascynował Mierosławski, zachęcał do dalszej pracy Lelewel. Panna Emilia ustawiła się pośrodku tych tendencji, zadeklarowała współdziałanie, pomoc i poparcie wszystkim, choć konsekwentnie najbliższy był jej program TDP. Nie było wtedy środowiska polskiego w Paryżu, którego by nie odwiedziła. Szczególną uwagę zwróciła na szkołę polską w Batignolles, która odtąd regularnie otrzymywała od niej książki i fundusze. Sprawa była dla niej szczególnie ważna, jako że nie zanosilo się (na razie przynajmniej) na rychłe odrodzenie Polski i zaniedbanie wykształcenia młodzieży w języku i duchu narodowym z czasem doprowadzić mogło do nieodwracalnych skutków w świadomości kolejnych pokoleń polskich emigrantów. Nie miała też nic przeciwko dobroczynnym balom i koncertom, które gorszyły co bardziej „ortodoksyjne” kręgi emigracji, ale dawały znaczne kwoty na rzecz naszych instytucji i środowisk pozostających na obczyźnie. Mimo sympatii do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego nie przekreśliła kontaktów z Czartoryskim, zwłaszcza gdy się zorientowała, że w inicjatywach Hotelu Lambert (m.in. w Towarzystwie Dobroczynności Dam Polskich, Instytucie Wychowania Panien itd.) uczestniczą nie tylko arystokraci i ludzie o poglądach konserwatywnych. W czasie pobytu w Paryżu zorientowała się, że mimo różnicy programów i zawziętości walki politycznej ustalenie zdecydowanej linii podziału i jednoznaczna klasyfikacja ludzi nie zawsze były możliwe. Dopóki cel był wspólny, konflikt powinien zejść na plan dalszy. Jednego tylko nie zaakceptowała nigdy: ideologii Towiańskiego. Doszło nawet do rozdzwieków na tym tle między nią a tymi koleżankami, które uległy mistycyzmowi – w dużej mierze

pod wpływem uduchowionych występów Mickiewicza w College de France. Tak właśnie odsunęła się od Sczanieckiej Maria Bolewska.

Przy okazji pobytu w Paryżu Emilia Sczaniecka odnowiła też kontakty z dawnymi znajomymi: Edgarem Quinetem, potomkami markiza La Fayette'a (sam generał już wtedy nie żył), z Emmą i Georgiem Herweghami. W sumie były to bardzo aktywne, pracowite dla niej tygodnie, które przyniosły wiele nowych znajomości, doświadczeń i materiału do przemyśleń.

W grudniu 1843 roku nadeszła pora powrotu do Księstwa. Jednak Sczaniecka z Łubieńską nie pojechały od razu do domu, lecz zajrzały najpierw do Akwizgranu, a potem do Brukseli. Tam panna Emilia spotkała się ponownie z Lelewelem i przekazała mu korespondencję paryskich działaczy TDP, głównie od Walentego Zwierkowskiego, wzięła też udział w uroczystym obiedzie wydanym na cześć gości z kraju przez generała Jana Skrzyneckiego, byłego wodza naczelnego Wojsk Polskich w 1831 roku, obecnie zaś w służbie belgijskiej. Przyjęła też zaproszenie Wincentego Tyszkiewicza do odwiedzenia go w Namur; i tam była okazja do wspomnień, gdyż z tej okazji w domu „czerwonego hrabiego” pojawili się dość licznie dawni żołnierze z powstania (służący teraz w armii belgijskiej) – niektórzy z nich doskonale pamiętali Sczaniecką z lazaretów warszawskich.

W końcu stycznia 1844 roku panna Emilia wróciła do Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Materiały otrzymane za granicą przewoziła jednak Konstancja Łubieńska, znacznie mniej skompromitowana politycznie w oczach policji pruskiej; w rezultacie podczas skrupulatnej rewizji bagażu na granicy niczego podejrzanego u Sczanieckiej nie znaleziono.

Kilkumiesięczny pobyt w polskich środowiskach emigracyjnych dał panie Emilii wiele do myślenia. Spotkała dawnych kolegów i przyjaciół, przede wszystkim zaś przywódców naszej emigracji oraz działaczy znanych jej dotychczas tylko z korespondencji. Przekonała się o swej popularności między nimi, ale zachowała niezależność sądu, mimo prób przyciągnięcia jej przez różne kręgi emigracyjne; nie dała się też zwieść towiańczykom. Ogólne wnioski jednak nie zawsze były dla niej przyjemnie. Przede wszystkim ogromnie raziło ją skłócenie i wzajemna zawziętość towarzyszy wychodźczej niedoli z przeciwstawnych ugrupowań politycznych. W liście kiedyś określiła to lapidarnie:

Z jednej strony najwyższa nędza – z drugiej – partie i niezgody. Nie brakowało patriotycznych uniesień – i egoizmu; przykładów ofiarności, poświęcenia – i zwyczajnej podłości. Okazało się, że polskie środowisko emigracyjne dalekie było od ideału i wiele zależało od tego, z kim się utrzymywało bliższe kontakty. Szczaniecką wyjazd ów nauczył dystansu, ostrożności, przede wszystkim zaś skłonił do samodzielności sądów i oceny jeszcze większej niż dotychczas.

Karol Marcinkowski doświadczenie to uzyskał znacznie wcześniej, podczas pobytu na emigracji w najgorętszym okresie kilku pierwszych lat po upadku powstania listopadowego – w rezultacie, wyraźnie zdegustowany zachowaniem rodaków na emigracji, wewnątrz umocnił się w decyzji zmiany metody działania w kraju. Szczaniecka trafiła na kolejny etap rozwoju stosunków emigracyjnych, z ustalonymi już podziałami politycznymi, walką frakcyjną itd. Był to okres nie tylko rozliczeń, ale też poszukiwania metody dalszej walki o niepodległość, krystalizowania się nowych idei politycznych, które Szczaniecka w zasadzie przyjęła. Kierunki ekstremalne z obydwu podstawowych nurtów emigracyjnych odrzuciła od razu. Dystans i niezależność sądu to cechy panny Emilii, które utrwaliły się jeszcze bardziej; cechy i dziś rzadkie u naszych działaczy, a już wyjątkowe wówczas, w czasach niewoli.

Rozdział IV

PRÓBY POWSTAŃCZE I WIOSNA LUDÓW 1848 ROKU

Mówiliśmy już o dwu zasadniczych nurtach polskiej konspiracji niepodległościowej w Wielkim Księstwie Poznańskim po roku 1833, o działalności emisariuszy i drogach przenoszenia druków emigracyjnych. Należy dodać, że znacznym utrudnieniem tej działalności była umowa kartelowa zawarta między Prusami i Rosją 15 marca 1834 roku. Na tej podstawie z Księstwa wydalono wielu uchodźców z terytorium Królestwa Polskiego, przystąpiono też do energicznego ścigania agitatorów niepodległościowych i zakazanych wydawnictw. A pojawili się wtedy w Poznańskim emisariusze — ludzie wysokiej klasy, jak Leon Zalewski, Michał Chodźko, Napoleon Niedźwiedzki. Po wstąpieniu na tron Fryderyka Wilhelma IV i złagodzeniu kursu wobec ludności polskiej kontakty z emigracją stały się coraz częstsze, co jednak nie znaczy, że policja pruska była bierna i nie zorientowana w rozwoju sytuacji; jej aktywność i efektywność działania były jednak uzależnione od tendencji politycznych przeważających w danej chwili w Berlinie.

Załączkiem zupełnie nowego kierunku działalności niepodległościowej stał się kierowany przez Karola Libelta Związek Narodu Polskiego, niekiedy zwany Komitetem Poznańskim. W miarę upływu czasu coraz bardziej widoczna była koncepcja powstania ogólnonarodowego, obejmującego wszystkie trzy zabory — odmiennie od tendencji dotychczasowych, gdy czyny zbrojne swym zasięgiem nie wykraczały poza jeden lub dwa zabory. Liberalizacja polityki władz pruskich i względna autonomia Krakowskiego tworzyły korzystne warunki do

ulokowania właśnie tam centrali przyszłej akcji niepodległościowej. Na Królestwo Polskie bowiem, spacyfikowane po upadku powstania listopadowego i stłumieniu w zasadzie wszelkich ruchów narodowych, liczyć nie było można.

Komitet Poznański stopniowo zaczął sobie organizacyjnie podporządkowywać ocalałe jeszcze w Królestwie struktury niepodległościowe, miał też kontakty ze spiskowcami galicyjskimi. Działania te wymagały dużych umiejętności konspiracyjnych i negocjacyjnych – szczególnie ważnych dla pogodzenia różnych nurtów polskiej działalności niepodległościowej. W tym niełatwym trudzie nie było miejsca dla Walentego Stefańskiego, jego „Plebejuszy” i „Wiarusów” (czyli organizacji wbrew nazwie zrzeszającej głównie polską młodzież gimnazjalną). Stefański, podobnie jak większość jego kolegów z przeciwstawnej mu organizacji też weteran powstania listopadowego, nastawił się na organizowanie masowego powstania z udziałem ludu. W połączeniu z brakiem doświadczenia w konspiracji, jak już wspomniano, w imię szczytnych haseł mimowolnie czynił sprawie więcej szkody niż przynosił korzyści. Znalazł w tym działaniu poparcie w osobie „czerwonego kasztelanica”, Edwarda Dembowskiego, który krążył po wszystkich trzech zaborach, usilnie agitując za wybuchem powstania ludowego.

Wreszcie pod koniec 1843 roku w Komitecie Poznańskim doszło do rozłamu i decyzji z perspektywy czasu zadziwiającej, by nie rzec nieodpowiedzialnej: drogą stworzenia faktów dokonanych radykalowie postanowili wymusić na „kunktatorach” rozpoczęcie powstania zbrojnego. Stefański, w porozumieniu z działającym na emigracji Karolem Bogumirem Stolzmanem i Stanisławem Worcellem, zaplanował wybuch powstania już na koniec stycznia 1844 roku.

Pomysł istotnie był niezbyt realny. Pod pozorem polowania zorganizowanego w lasach powidzkich miało dojść do koncentracji około 300 polskich ziemian i oficjalistów dworskich, którzy pod wodzą Adolfa Malczewskiego wkroczyliby zbrojnie do Królestwa Polskiego, dając hasło do powstania; równocześnie miało dojść do zrewoltowania polskich landwerzystów w Poznaniu i Toruniu. Działanie to, nie uzgodnione z innymi polskimi ugrupowaniami niepodległościowymi, nie miało żadnych szans powodzenia, był to (nawet jak na warunki owej epoki) pomysł szaleńczy, przedwczesny, opracowany z nonszalancką ludźmi mających niewielkie pojęcie o istocie walki zbrojnej. Nic więc

dziwnego, że władze pruskie potraktowały ten plan pobłażliwie, zawczasu aresztując bardziej aktywnych działaczy konspiracyjnych, przybyłych w Poznańskie z obszaru Królestwa. Z kolei konserwatywni działacze Komitetu Poznańskiego nie kryli swej irytacji z powodu przedwczesnych, a nie zawsze odpowiedzialnych poczynań Stefańskiego. Pogląd ten zresztą znalazł potwierdzenie w 1845 roku, gdy Walenty Stefański, opierając się na członkach Związku Plebejuszy i Związku Wiarusów, ponownie zamierzał doprowadzić do wybuchu powstania, tym razem zaczynając od zdobycia cytadeli poznańskiej. I ten pomysł okazał się nierealny.

Wreszcie jesienią 1844 roku powstała Centralizacja Poznańska, która przeszła do bardziej konkretnych przygotowań powstańczych, zsynchronizowanych z koncepcjami Centralizacji wersalskiej TPD. Gdy więc mówimy o konserwatywno-liberalnym nurcie wielkopolskiej konspiracji tego czasu, mamy na myśli nie konserwatyzm typu poglądów Adama Jerzego Czartoryskiego, Dezyderego Chłapowskiego czy Edwarda Raczyńskiego, lecz działalność krytycznie nastawioną do poczynań i planów ludzi pokroju Stefańskiego. W przyszłości zresztą się okazało, jak w godzinach próby ludzie ci umieli jednak ze sobą współpracować.

Nowa Centralizacja miała już zasięg ogólnopolski; wkrótce też przystąpiono do przygotowań powstańczych na zupełnie inną skalę niż dotychczas. Około 1844 roku w kręgach Centralizacji TDP zaczęła krystalizować się koncepcja powstania zbrojnego, które korzystając ze sprzyjającej koniunktury w polityce międzynarodowej (rozwój ruchów liberalnych, demokratycznych i narastająca niechęć wobec dominacji Rosji w Świętym Przymierzu), miało objąć wszystkie trzy zabory i doprowadzić do odrodzenia Polski w granicach z 1772 roku.

Ze względu na osłabienie ruchu niepodległościowego w Królestwie Polskim inicjatywa polityczna i militarna miała wyjść z dwu pozostałych zaborów, z siedzibą władz politycznych w Krakowie i naczelnego dowództwa wojsk powstańczych w Wielkopolsce. Miało to być powstanie ogólnonarodowe, ludowe, demokratyczne w charakterze. Niestety, do wybuchu zaplanowanego na luty 1846 roku nie doszło. W wyniku niepojętej niefrasobliwości konspiratorów, a wreszcie zdrady, na kilka dni przed planowanym początkiem działań doszło do wielkich aresztowań w Wielkopolsce, które sparaliżowały możliwość skutecznej akcji. Do walki ruszyła jedynie słabo zorientowana w roz-

miarach poznańskiej katastrofy Galicja, lecz po kilku dniach nastąpiło rozproszenie władz i oddziałów powstańczych po części rękami podburzonych do działania przez administrację austriacką chłopów polskich (była to tak zwana rabacja galicyjska). Dziś niekiedy owe wydarzenia są izolowane z planów ogólnopolskich i określane mianem powstania krakowskiego. Dla władz austriackich stały się one doskonałym pretekstem do likwidacji Rzeczypospolitej Krakowskiej.

Ostatnim akcentem nieudanych planów powstańczych z 1846 roku był proces moabicki, w którym sądzono — nie wszystkich zresztą — przywódców polskiego ruchu niepodległościowego. Nie najlepiej spisał się wówczas sam Mierosławski, a skutki jego zeznań bardzo dały się we znaki także Emilii Sczanieckiej.

Już w dwa lata później sytuacja się zmieniła. Przez Europę rozpoczął marsz wielki ruch burżuazyjno-demokratyczny, później określony mianem Wiosny Ludów. Dla Wielkopolski szczególnie istotny był wybuch rewolucji w Paryżu, a potem, 18 marca 1848 roku, początek walk ulicznych w Berlinie. W dwa dni później w Poznaniu powstał polski Komitet Narodowy, wkrótce do Wielkopolski wrócili też więźniowie Moabitu z Mierosławskim na czele.

Rozpoczęła się bardzo interesująca gra między liberalnym rządem, reakcyjnie nastawionym królem i dowództwem armii, rewolucjonistami niemieckimi i polskimi działaczami niepodległościowymi. Wiele wskazywało na to, że dość nieoczekiwanie pojawiła się szansa, jeśli nie odzyskania przez ziemie zaboru pruskiego niepodległości, to przynajmniej autonomii, a także sformowania korpusu polskiego wojska, który u boku oddziałów pruskich mógł uczestniczyć w wojnie z Rosją. Pod tymi hasłami zaczęto mówić o tak zwanej reorganizacji Wielkiego Księstwa Poznańskiego i przystąpiono do gromadzenia przyszłych żołnierzy polskich.

Wystarczyły jednak dwa tygodnie, by nastroje z braterskich przekształciły się w zacieklą rywalizację i wrogość między stronami polską i niemiecką. W wyniku zmian politycznych w Berlinie już nie było mowy o wojnie z Rosją i jednym z najważniejszych zadań nowego rządu stała się możliwie łagodna pacyfikacja Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Do Poznania przybył życzliwy nam generał Wilhelm von Willisen z dwuznaczną misją: miał doprowadzić do stopniowego rozwiązania polskich obozów wojskowych bez użycia siły, równocześnie łudząc Polaków nadziejami autonomii. W dniu 11 kwietnia 1848

roku zawarto w Jarosławcu konwencję, na mocy której zwolniono część zgromadzonych żołnierzy do domów; ostatecznie jednak doszło do konfrontacji zbrojnej. Naczelnym inspektorem obozów Ludwik Mierostawski został zmuszony do podjęcia walki z Prusakami nie o zwycięstwo, bo było to nieosiągalne, lecz o honor. Po zniszczeniu polskiego obozu w Książu przez oddziały pułkownika Heinricha von Brandta, w krótkim czasie doszło do zwycięskich dla Mierostawskiego bitew pod Miłostawiem i Sokolowem koło Wrześni; dzielnie poczynali też sobie partyzanci Jakuba Krauthofera-Krotowskiego i Włodzimierza Wilczyńskiego. O zwycięstwie jednak nie było już mowy, cały ruch zakończył się rozproszeniem polskich oddziałów.

Konsekwencje niepowodzenia wydarzeń wielkopolskiej Wiosny Ludów jednak nie były nazbyt uciążliwe, pomimo początkowych sankcji i gróźb władz administracyjnych. Oczywiście o autonomii już nie wspomniano, w niektórych domach polskich zapanowała żaloba po krewnych, którzy polegli w walce, lecz już latem i jesienią 1848 roku życie w Księstwie w gruncie rzeczy toczyło się normalnym trybem. Władze berlińskie wiele uczyniły dla zbagatelizowania całej sprawy, co sprawiło, że wydarzenia te stały się ważne tylko dla strony polskiej. Właściwa wojna domowa rozpoczęła się później, w Badenii, a wielkopolska Wiosna Ludów była dopiero przygrywką do rozprawy z całym ruchem w ogóle.

Okres liberalizacji trwał w Prusach jeszcze przez dwa kolejne lata. W marcu 1849 roku rozpoczęło funkcjonowanie stałe Koło Polskie w parlamencie pruskim, które z czasem stało się głównym terenem walki o prawa ludności polskiej w zaborze pruskim. Jeszcze w czerwcu 1848 roku powstała Liga Polska – organizacja, której głównym zadaniem było *działanie wszelkimi legalnymi środkami ku dźwignaniu narodowości i w ogóle sprawy polskiej*. Organem Ligi została „Gazeta Polska”, regularnie wydawana od marca 1848 roku przez Walentego Stefańskiego, Marcelego Mottego i Hipolita Cegielskiego. Liga Polska i prasa wydawana przez jej głównych działaczy były wtedy głównym ośrodkiem zrzeszającym ograniczników wielkopolskich, o bardzo szerokim programie działania. Wśród jej aktywistów byli niemal wszyscy czołowi przywódcy elity intelektualnej Wielkiego Księstwa Poznańskiego, niezależnie od przekonań – np. w Poznaniu zgodnie współpracowali w jej strukturach dr Teofil Matecki i Walenty Stefański. Oczywiście nie było już mowy o działalności niepodległościowej, a tym

bardziej o powstaniu zbrojnym. Nastawiono się na pracę narodową środkami pokojowymi, tworząc jakby swoiste państwo w państwie, co zaniepokoiło administrację pruską do tego stopnia — nawet mimo różnego stopnia aktywności poszczególnych ogniw organizacji — że już w kwietniu 1850 roku nakazała ona rozwiązanie Ligi.

Od tego momentu działalność polska, pozbawiona wiodącej organizacji, rozwijała się w poszczególnych związkach, kołach i stowarzyszeniach specjalistycznych. Większość z nich istniała tylko przez krótki czas, niektóre działały dłużej, jednak niezależnie od czasu funkcjonowania wszystkie odegrały znaczną rolę w umacnianiu polskości. Był to również czas rozpoczęcia budowy podstaw systemu kapitalistycznego w Księstwie. Najwyraźniejszym przejawem tego procesu było powodzenie i stopniowa rozbudowa fabryki wyrobów z żelaza, założonej w 1846 roku przez usuniętego z pracy pedagoga i lingwistę, Hipolita Cegielskiego. Z działaniami organizacyjnymi łączyło się zakładanie związków i stowarzyszeń o charakterze szkoleniowym i służących wymianie doświadczeń, jak Towarzystwo Przemysłowe, kasyna czy stowarzyszenia o charakterze kulturalnym.

W 1850 roku w Prusach rozpoczęła się „era Manteuffla”, zwana tak od nazwiska nowego premiera. Znacznie ograniczono swobodę prasy opozycyjnej, na polskie pisma wydawane w Wielkim Księstwie Poznańskim nałożono ciężary finansowe nie do udźwignięcia przez edytorów. Właśnie wtedy uniemożliwiono funkcjonowanie Ligi Polskiej, „Gazeta Polska” zaś zakończyła swe istnienie. Po dość umiarkowanych rządach naczelnego prezesa prowincji Gustava von Bonina, w 1851 roku przyszła era Eugena von Puttkamera, który postawił przed sobą zadanie stworzenia warunków do scalenia Księstwa z pozostałymi ziemiami Królestwa Pruskiego.

Po powrocie z wojaży Emilia Sczaniecka najpierw musiała doprowadzić do końca sprawy zapoczątkowane za granicą: poinformować o wrażeniach, przekazać listy, przesyłki itd. Kursowała wtedy między Pakosławiem, Brodami i Posadowem, często zatrzymywała się też w poznańskim mieszkaniu siostry Korduli Stablewskiej, przy ul. Berlińskiej (dziś 27 Grudnia). W pobliżu, pod numerem 32, mieszkało rodzeństwo Bibianna i Jędrzej Moraczewscy, a nieco dalej — Aniela i Edward Dembowscy. Gorączkowa atmosfera panująca w Księstwie wywarła na Sczanieckiej silne wrażenie. W styczniu 1844 roku tak ją scharakteryzowała w liście do Benigny Małachowskiej:

Wszystko tu wrze, jesteśmy jakby na wulkanie, wszyscy głośno mówią o rewolucji [tzn. o powstaniu — dop. M.R.], wszyscy tego pragną, ciągle z Polski [tzn. Królestwa] umykają, armaty i ostre ładunki porozdzielane, więzienia w pogotowiu, dużo aresztowań; wszystko to jednak nie zstrasza, a przeciwnie — bardziej zapala.

Kiedy spojrzymy na tę relację z dystansem i naszym dzisiejszym zasobem wiedzy o tamtych czasach, łatwo stwierdzimy, że owa sytuacja nie najlepiej świadczyła o polskich konspiratorach. Przypomnijmy: jest to dopiero koniec stycznia 1844 roku, wydarzenia roku 1845 z wystąpieniem Stefańskiego i fatalnie zrealizowany plan powstania trójzaborowego (1846) miały dopiero nastąpić. Zamiast połączyć wysiłki, zjednoczyć się w działaniu, maksymalnie utajnić swe plany i uderzyć raz, a skutecznie, działano niemal otwarcie, wypalano energię szeregowych aktywistów w przedwczesnym demonstrowaniu dążeń powstańczych. Trudno mieć pretensję do policji pruskiej w Księstwie i jej szefa, Juliusa von Minutolego, że korzystała z okazji, jak się tylko dało po to, by tym skuteczniej w latach 1845 i 1846 jednym zdecydowanym ruchem zniweczyć polskie plany powstańcze.

Wątpliwości ogarniały też Sczaniecką, która w tym samym cytowanym liście postawiła pytanie: *Któż jednak wie, czy to już jest chwila właściwa?* Wkrótce zresztą sama odczuła na sobie rezultat zainteresowania policji. Władze pruskie bowiem orientowały się w kontaktach panny Emilii podczas jej pobytu we Francji, Anglii i Belgii, doskonale też zdawały sobie sprawę z jej roli łącznika z polskimi działaczami niepodległościowymi w Księstwie. Roztoczono więc nad nią troskliwą „opiekę”, starając się (bezsukcesywnie zresztą) przechwycić jej korespondencję oraz listy i przesyłki przekazywane z Zachodu za jej pośrednictwem. W Pakosławiu przeprowadzono kolejną rewizję, która jednak, jak poprzednie, nie przyniosła dowodów obciążających właścicielkę majątku. Dużą solidarność wobec jej poczynań okazała służba pałacowa i robotnicy folwarczni, lecz owe niepokojące wydarzenia wzmogły czujność Sczanieckiej. W raporcie z całej akcji, wysłanym do Berlina, Minutoli podkreślił ogromną aktywność panny Emilii w działalności niepodległościowej.

Osobę o słabszej konstrukcji psychicznej takie doświadczenia skłoniłyby do zawieszenia działalności, odsunięcia się w cień. Jednak Emilia Sczaniecka, osoba z natury niezbyt skłonna do lęku, jedynie zmodyfikowała swe działanie, ukrywając kontakty konspiracyjne za

parawanem ożywionego życia towarzyskiego, zwłaszcza w salonie Moraczewskich, gdzie spotykali się czołowi ówczesnie działacze polscy w Księstwie, wśród nich Ryszard Berwiński, Karol Libelt, Edward Dembowski, Andrzej Niegolewski, Lucjan Siemieński, Henryk Kamiński.

Wkrótce pojawił się nowy, kobiecy nurt konspiracji niepodległościowej w Wielkim Księstwie Poznańskim. Dotychczas panie – przeważnie przyjaciółki Szanieckiej z pobytu za granicą, ze wspólnych działań jeszcze w 1831 roku czy bieżących spotkań towarzyskich – najczęściej zajmowały się kolportowaniem zakazanej literatury i pośredniczyły w przekazywaniu nielegalnej korespondencji. Jednak i one uległy powszechnym nastrojom i zaczęły się rozglądać za bardziej aktywnymi formami zaangażowania, do czego skłoniła je także lektura „Wytycznych dla kobiet” z pracy Karola Bogumira Stolzmiana *Partyzantka czyli wojna dla ludów powstających najwłaściwsza*. Książka ta, która dopiero co się ukazała, z czasem obok prac Henryka Kamińskiego i Ludwika Mierosławskiego stała się jednym z podstawowych podręczników ówczesnych konspiratorów wielkopolskich. D. Wawrzykowska-Wierciochowa, autorka najobszerniejszej (i chyba dotąd najciekawszej) biografii Emilii Szanieckiej, wręcz jest zdania, że opracowanie Stolzmiana było swoistym podręcznikiem, podstawą do prac organizacyjnych związanych z przygotowaniem kobiet wielkopolskich do udziału w przyszłym powstaniu. Argumentem przemawiającym za tą opinią jest jakoby niemożność zmobilizowania w krótkim czasie wiosną 1848 roku do działania około 200 przypadkowo zebranych kobiet.

Wydaje się jednak, że opinia ta jest przedwczesna. Właśnie doświadczenia marca i kwietnia 1848 roku pozwalają stwierdzić, że aktywność, zaangażowanie w działalność niepodległościową wcale nie musiały być wynikiem prowadzonego wcześniej potajemnego, ale intensywnego szkolenia. Po prostu model wychowania dziewcząt i chłopców w tym okresie dawał zasób podstawowych informacji, a także umiejętności potrzebnych im w codziennym życiu. Chłopiec (przynajmniej z kręgów ziemiańskich) z reguły umiał posługiwać się bronią i jeździć konno, zanim jeszcze został powołany do służby wojskowej. Szkolenie konspiracyjne mogło dotyczyć jedynie celów działania, struktur organizacyjnych oraz tzw. kształtowania świadomości. Kobiety w każdym ówczesnym czynie zbrojnym zajmowały się najczęściej

tym, czego uczono je od dzieciństwa w domu, m.in. opatrywania ran, skaleczeń, leczenia banalnych dolegliwości. Gdy więc zaszła potrzeba przygotowań do czynu zbrojnego, kobiety zajmowały się przede wszystkim skubaniem szarpi, szykowaniem środków opatrunkowych, ale nie wszystkie czuły się na siłach podjąć pracę w lazarecie. Zajęcia w szpitalu polowym w 1831 i 1848 roku były podobne i nie każda kobieta mogła im podolać. Nastroje panujące wtedy w Wielkim Księstwie Poznańskim wcale nie wymagały dodatkowych szkoleń przyszłych samarytanek, które na ogół i tak dobrze wiedziałyby co robić – pozostawało tylko rzucić hasło do działania oraz ustalić miejsce pracy. Znajomość szczegółów organizacyjnych wystarczała kilku – kilkunastu osobom wtajemniczonym, a i ten problem z powodzeniem rozwiązywały nie zwracające na siebie uwagi spotkania towarzyskie.

Innym argumentem przemawiającym za podobną wersją rozważań są odległości w ówczesnym Poznaniu (znacznie mniejsze niż dziś) oraz nierównomierność intensywności wydarzeń na obszarze Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Nawet zakładając ofiarność ogółu Polek, inaczej zaabsorbowane były osoby mieszkające np. w Międzyrzeczu lub Pniewach, inaczej zaś te, które działały w Poznaniu, Miłosławiu, Wrześni czy Gnieźnie. Zatem na tezę o rozgałęzionej żeńskiej konspiracji niepodległościowej w Księstwie w latach 1844-1848 należy patrzeć z dużą ostrożnością. Po prostu nie było wówczas potrzeby rozwijania aż takiej działalności wśród kobiet. Istniała raczej silna centrala niż rozgałęziona sieć, którą i tak w razie potrzeby można było rozwinąć bez żadnych dodatkowych przygotowań. Natomiast w często podkreślanej przez literaturę przedmiotu akcji uświadamiania, kolportażu nielegalnych wydawnictw itd. uczestniczyło w gruncie rzeczy kilkanaście kobiet; w poszczególnych działaniach wciąż powtarzają się te same nazwiska, wymienione już zresztą przez D. Wawrzykowską-Wierciochową: Emilia Sczaniecka, Bibiana Moraczewska, Aniela Dembowska, Sybilla Rzewuska, Zofia z Kamińskich Mielecka, Paulina Zbyszewska, Narcyza Żmichowska, Tekla Dobrzyńska, Maria Bolewska, Tekla Kwilecka, Konstancja Jarochowska „i inne”. W żadnym więc przypadku nie był to masowy patriotyczny ruch kobiecy. Zresztą i tak przy okazji rocznicowych wspomnień o poszczególnych powstaniach wytwarza się znacznie przesadzone wrażenie, jakoby cały naród był zaangażowany w walkę o niepodległość. Aktywność i na-

głoszenie jeszcze nie świadczą o masowości; dość dodać, że np. w powstaniu styczniowym uczestniczyło nie więcej niż zaledwie kilka procent polskiej ludności Królestwa. Dopiero wynik i osiągnięcia owej grupy najaktywniejszych na tle masy biernych i tak zwanych spokojnych obywateli pozwala na realną ocenę wysiłku żołnierzy i konspiratorów. I na ich wyjątkowość.

Spotkania towarzyskie, w których Sczaniecka uczestniczyła, oczywiście dotyczyły nie tylko spraw związanych z konspirowaniem i przyszłą walką o niepodległość. Główną ich część stanowiły zajęcia kulturalne, a także plotkowanie na różne tematy. Wyraźnie widać, że panna Emilia w tym czasie powoli zaczęła nabierać moralizatorskich cech matrony, dla której nie były obojętne, nawet rodzinne, poczynania innych. Sama nigdy za męża nie wyszła, lecz była gorliwą zwolenniczką trwałości i sakramentalnego charakteru małżeństwa. Nie znajdowały w jej oczach uznania konkubinat czy separacja, niechętnie patrzyła na nie usankcjonowany kościelnie związek Julii i Antoniego Woykowskich, potępiała też postępek Zofii Kamińskiej, która opuściła męża (Edmunda Mielęckiego) dla emisariusza Feliksa Węgierskiego. W tym czasie była też świadkiem nieprzyjemnej, oszczerczej sprawy związanej z charakterem wzajemnych kontaktów między Narcyzą Żmichowską i niejakim Adolfem Doliwą, który bezskutecznie starał się o rękę szwagierki siostrzenicy Sczanieckiej. Przyznać trzeba, że panna Emilia, choć daleka od zawziętości w działaniu, w sprawach rodzinno-towarzyskich była zdecydowana i konsekwentna, może nawet skrajna w ocenach. Bardzo też je przeżywała, wygłaszając często opinie skrajnie pesymistycznie. Faktem jest, że ową epokę cechował w Wielkopolsce raczej schematyzm myślowy i brak tolerancji dla osób żyjących inaczej niż inni z ich środowiska; panna Emilia nie należała tu do wyjątków.

Emilia Sczaniecka była dość sceptycznie nastawiona do agitacji „emancypacyjnej” wśród ludu, tak istotnej w programie parysko-londyńskich demokratów. Sama, jak wspomniano, nie miała z tym problemów, interesowała się życiem swych podwładnych, nie wahała się przed udzielaniem pomocy potrzebującym w wiejskiej chacie i w przypalacowych czworakach. Jako żarliwa chrześcijanka troszczyła się o bliźnich niezależnie od ich funkcji i stanu, pozwalała się nawet tytułować panią lub panną Emilią. Jednak pomysł wywołania powstania ludowego w niektórych szczegółach budził w niej mieszane

uczucia, jeszcze bardziej spotęgowane doświadczeniami galicyjskimi z lutego 1846 roku. Pozwalała jednak zatrzymywać się u siebie emisariuszom, którzy mieli działać w środowisku wiejskim.

Wreszcie we wrześniu 1844 roku przybył do Księstwa sam Wiktor Heltman, by sprawdzić stan przygotowań do czynu zbrojnego; zamieszkał w Pakosławiu u Szanieckiej, bywał też u Łackich w Posadowie. Ogółem przez pałac pakosławski przewinęło się około 20-30 wysłanników z zagranicy; ten gość był jednak wyjątkowy. Współdziałali z nim Ignacy Bniński, Władysław Łacki i Bronisław Dąbrowski, który wreszcie zdecydował się dołączyć do ruchu spiskowego; każdy z nich zajął się organizowaniem ziemian z innej części Księstwa. Wkrótce spadł na Szaniecką także inny obowiązek: opieka nad chorą żoną i dziećmi Edwarda Dembowskiego, który na żądanie policji pruskiej musiał opuścić Księstwo. Zadanie to, którego panna Emilia nie mogła nie przyjąć, bardzo ją absorbowało i odrywało od pracy niepodległościowej.

Rok 1845 zaczął się nie najlepiej. Dużo było kłopotów z Anielą Dembowską i jej dziećmi, z inwalidami w pakosławskim szpitaliku, z przygotowaniami do wesela siostrzenicy, Emilii Łackiej. Ciężkim ciosem dla narodowych środowisk Księstwa była samobójcza śmierć Edwarda Raczyńskiego, zaś Karol Marcinkowski, choć wciąż inicjujący kolejne przedsięwzięcia, stopniowo dogasał — w dodatku był zaciekle atakowany przez środowisko zwolenników powstania i przekonany o bezsensie trudu całego życia.

W początkach lutego 1845 roku w pałacu posadowskim odbyło się huczne wesele po zaślubinach Emilii Łackiej z Ignacym Bnińskim, połączone z naradą czołowych konspiratorów wielkopolskich. Emilia Szaniecka zastępowała matkę panny młodej. W marcu pojawił się w Wielkopolsce Ludwik Mierosławski. Już wkrótce jednak doszło w Księstwie do fali aresztowań wśród członków Związku Plebejuszy i Związku Wiarusów (był wśród nich i siostrzeniec Szanieckiej, Stanisław Stablewski), co znacznie utrudniało pracę działaczy związanych z Mierosławskim i Heltmanem. Sama panna Emilia została objęta nasiloną inwigilacją policji, której uwadze nie uszła towarzyska aktywność i ożywiona korespondencja z zagranicą, częściowo przekazywana okazyjnie, z pominięciem poczty.

W tym czasie, późną jesienią 1845 roku, w najlepsze trwały przygotowania do zaplanowanego na przedwiośnie roku następnego po-

wstania ogólnokrajowego. Mierosławski odbył narady w Poznaniu i Krakowie, a następnie ustalił termin wybuchu na noc z 21 na 22 lutego 1846 roku; ostateczna odprawa przyszłych dowódców z jego udziałem odbyła się w Poznaniu, w mieszkaniu Cypriana Jarochońskiego przy ul. Fryderykowskiej (23 Lutego). Adiutantem wodza został siostrzeniec Szczanieckiej, Władysław Łącki.

Jak wiemy, do wybuchu powstania jednak nie doszło na skutek wielkiej fali aresztowań wśród przywódców. Panna Emilia, choć obserwowana i (w pełni słusznie) podejrzewana o współudział w spisku, starała się zorganizować pomoc dla uwięzionych, także poprzez odpowiednie przygotowanie służby i chłopów – ludzi, którzy na pewno będą przesłuchiwać przez policję.

Zaskakujący cios nadszedł z najmniej oczekiwanej strony. Osadzony w więzieniu Ludwik Mierosławski uległ argumentom urzędnika policyjnego i by doprowadzić do złagodzenia kary zeznał, że spisek miał być skierowany nie przeciw Prusom, lecz Rosji, a poza tym zaczął odsłaniać szczegóły planu powstańczego. Ujawnił struktury, kontakty, nazwiska, nie oszczędził też panny Emilii. W rezultacie do Pakosławia zjechała komisja śledcza, która miała zebrać dowody obciążające Szczaniecką. Tymczasem chłopci i służba nawet za cenę krzywoprzysięstwa osłonili dziedziczkę; wszyscy indagowani zgodnie przeczyli wizytom jakichkolwiek obcych osób w pakosławskim pałacyku. Dla urzędników policyjnych nie był to wcale dowód niewinności Szczanieckiej, przecież z innych źródeł doskonale wiedzieli o jej kontaktach. Natomiast przekonali się o sile narodowej solidarności, jaką udało się panie Emilii zaszczepić podwładnym, służbie i robotnikom folwarcznym. Kolejny już raz uratował ją formalizm i daleko posunięty legalizm administracji pruskiej.

Sama jednak była w trudnej sytuacji. Wielu z jej krewnych znalazło się w więzieniu, nigdy też nie było wiadomo, który z nich się załame w śledztwie i złoży dodatkowe, obciążające zeznanie. Od czasu wyjaśnień Mierosławskiego i niepowodzenia indagacji w Pakosławiu obserwowano ją już niemal jawnie, a korespondencja była kontrolowana. Zabroniono jej też opuszczać obszar Wielkiego Księstwa Poznańskiego, ale i tak w marcu 1846 roku wyrwała się na krótko do Berlina i do Słońska, gdzie zorganizowała pomoc dla uwięzionych – zawoziła tam pieniądze i odzież, a nawet, jak pisała w liście do Wiktora Heltmana z 10 listopada 1847 roku, próbowała przekupywać dozorców. Należy przypuszczać, że policja wiedziała o tej eskapadzie, ale nie

interweniowała zauważywszy jedynie charytatywny charakter owej pomocy. Do działalności tej doszła również konieczność podtrzymania na duchu żon i dzieci więźniów. Jednak każdorazowa oficjalna prośba o wyrażenie zgody na wyjazd do Berlina spotykała się z odmową.

Wkrótce środowisko poznańskich działaczy doznało kolejnych strat: w więzieniu popełnił samobójstwo litograf i artysta Wiktor Kurnatowski, a 7 listopada 1846 roku w Dąbrówce Ludomskiej koło Obornik zakończył życie Karol Marcinkowski. Podobno Szczaniecka jeszcze zdążyła się z nim zobaczyć, ale nie zachowały się żadne ślady treści ich rozmowy. Śmierć długoletniego przyjaciela była dla niej bolesnym ciosem, rozumieli się przecież doskonale, choć działali różnymi metodami. Czy była to dla panny Emilii także strata osobista – chyba już nigdy nie ustalimy. Nie jest to zresztą szczególnie istotne. Manifestacyjny pogrzeb „Doktora Marcina”, z udziałem Korduli Stablewskiej, Emilii Szczanieckiej i większości krewnych, którzy akurat nie przebywali w więzieniu, zamykał ważną epokę w dziejach wielkopolskiego ruchu organicznikowskiego. Takiego społecznika, jak Marcinkowski, nie było przed nim i długo po nim (porównywalny był jedynie ksiądz Piotr Wawrzyniak, który w listopadzie 1846 roku liczył sobie zaledwie niecałe dwa lata), odszedł zaś w czasie wyjątkowo trudnym dla tej właśnie koncepcji działania.

Wkrótce Poznań miał następny powód do patriotycznej manifestacji połączonej z żałobą. W styczniu 1847 roku pod Rogoźnem po krótkiej walce został schwytyany emisariusz Antoni Babiński (Bogusławski). Skazany na śmierć, został publicznie rozstrzelany 1 lutego na pl. Działowym. Jednak ponure widowisko, zamiast zastraszyć polską ludność Poznania, wywołało skutek odwrotny: miejsce egzekucji pokryte zostało kwiatami, a w kilka dni później w pobliskim kościele św. Wojciecha odbyło się uroczyste nabożeństwo żałobne za duszę skazańca, zorganizowane przez Szczanieką i jej najbliższe współpracowniczki. Kilka kobiet uczestniczących w manifestacji później uwięziono.

Zachowanie Mierosławskiego w czasie śledztwa jeszcze przez cały rok dręczyło Wielkopolan, zdezorientowanych jego dość pokrętnymi wyjaśnieniami motywów postępowania. Ciekawe, że Szczaniecka, choć sama na sobie doświadczyła skutków owej relacji, nie potępiała niedoszłego wodza. W grudniu 1847 roku tak pisała o tym do Wiktora Heltmana: *Nie chcę sobie przyznawać prawa sądenia, co było lepiej*

zrobić — lecz niech wolno Panu to skreślić. Nam się zdawało możebne, że się nie wyda, kto on [Mierostawski] jest, że przez to łatwiej będzie wypuszczony i cała rzecz nie będzie odkryta. Omyliliśmy się. Dzisiaj droga, jaką obrał Ludwik, uważa się za dobrą, ale nie wiem, czy będzie korzystna [dla przyszłości]. Dziś tak obudziliście oko policji i rządów na Was, że wszędzie będziecie mieć przeszkody, o czym tylko pomyślicie. Dzisiaj emigrant, wysłaniec Centralizacji, jest dla nich najokropniejszym zjawiskiem do tego stopnia, że nie ma miesiąca, żeby do władz niższych nie przychodziły rozkazy, aby wszędzie szukali i ścigali nieznanomych.

Tutaj pojawił się kolejny już raz wątek Konstancja Łubieńska — Adam Mickiewicz. Wieszcz, wciąż jeszcze ogarnięty ideami Towiańskiego, za pośrednictwem dawnej przyjaciółki przekazał uwięzionym memoriał zalecający przyznanie się do winy. Zrozpaczona Łubieńska (jej syn był wśród aresztowanych) spełniła swą misję, ale treść listu Mickiewicza wywołała oburzenie i skutek odwrotny do zamierzonego. Nie wiadano, że wielki poeta miał już za sobą, z czasów wileńskich jeszcze, podobne doświadczenia; spisał się wtedy nie najlepiej.

Zatrzymajmy się na chwilę nad innym listem Szanieckiej (również cytowanym przez D. Wawrzykowską-Wierciochową), z 16 kwietnia 1847 roku. Jest to podanie o wydanie paszportu na wyjazd do Berlina, skierowane wprost do naczelnego prezesa prowincji, Moritza von Beurmanna. Styl, sposób zredagowania oraz przedstawienia sprawy doskonale charakteryzują mentalność i odwagę panny Emilii — taką już była aż do końca swego długiego życia: *Nie do Naczelnego Prezesa, ale do Pana, jako człowieka, zwracam się dzisiaj, ponieważ otrzymałam Jego odpowiedź w tych dniach, ale pozwałam sobie zwrócić się do Pana, Panie Beurmann, jako do człowieka. Choć nie mam zaszczytu znać Go osobiście, wiem jednak, że nie odmówi Pan nikomu odpowiedzi na prośbę, więc może i mnie Pan nie odmówi. A to po raz trzeci już odmówiono mi zezwolenia na wyjazd do Berlina, a nigdy nie powiedziano mi, czym zasłużyłam sobie na tę karę [...] Jeśli kocham mój kraj więcej, niż swe własne życie, nigdy nie robiłam z tego tajemnicy i jestem przekonana, że żadne szlachetne serce nie może mi tego poczytać za zbrodnię. W roku 1831 pojechałam do Polski bez paszportu, aby pielęgnować swych cierpiących braci i wtedy zostałam ukarana przez króla (dziś już nieżyjącego). Ostatnio dokonano znów u mnie rewizji, przetrząśnięto zresztą mój dom wiele razy, ale nic wtedy nie znaleziono. Nawet się nie uskarżałam na to, ponieważ uważałam, że w chwili gdy wszyscy moi cierpią, nie ma*

się prawa myśleć o sobie [...] Chciałabym wyjechać do Berlina, aby zasięgnąć porady u lekarzy, ponieważ wciąż zdrowie mi nie dopisuje. Gdybym miała zaszczyt znać Go osobiście, przekonałby się Pan o tym naocznie. Nie zaprzeczam temu, że będę usiłowała uzyskać w tym czasie pozwolenie na widzenie się z moim bratem. Wyznaję, że mało mam nadziei, aby mi się to udało, ponieważ wciąż jestem źle widziana. Urodziłam się widocznie tylko po to, aby cierpieć. Może Pan, nie jako prezes naczelny, ale jako człowiek, zrozumie moją sytuację i zezwoli na wydanie mi paszportu. Proszę o wybaczenie mojej śmiałości i przyjęcie słów głębokiego szacunku.

Ostatecznie, po przedstawieniu formalnych załączników, pozwolono jej wyjechać do Ems i Schwalbach, ale w Berlinie wolno jej było się zatrzymać tylko 24 godziny. Tu Sczaniecka pozwoliła sobie na zachowanie dość zaskakujące. Po spotkaniu z bratem i siostrzeńcem podobno wyjechała z miasta, lecz zawróciła z pierwszej stacji, zmieniła odzież, sposób uczesania i... zamieszkała w Berlinie, najpierw na Unter den Linden u państwa Koźmianów, a potem u Konstancji Łubieńskiej przy Bährenstrasse. Biografowie nie komentują tego wydarzenia, w podtekście można się nawet doszukać uznania dla sprytu panny Emilii. Sprawa jednak nie wydaje się taka prosta. Osoba podobnie jak ona skompromitowana politycznie i starannie obserwowana, zaczęła nagle wodzić za nos policjantów pruskich — i to w aż tak niewyszukany sposób... Przeświadczenie o skuteczności owego kamuflażu brzmi mało prawdopodobnie. Tak jak w interesie organów śledczych było dostarczenie listu Mickiewicza do uwięzionych, tak i rzekoma bezkarność panny Emilii w Berlinie przypuszczalnie miała na celu ujawnienie jej kontaktów. Trudno uwierzyć, by nie śledzono Sczanieckiej, nie przekazywano informacji o środowiskach, w których bywała, by agenci jednej z najlepszych policji w Europie, znający niemal każdy krok inwigilowanej w Księstwie, stracili nagle trop w stolicy państwa tylko dlatego, że podejrzana zmieniła suknię, fryzurę i zamieszkała u znajomych. Sympatia dla bohaterki opisu nie powinna przesłaniać logiki i znajomości życia, przede wszystkim zaś — wymowy raportów policyjnych, które podążały za Sczaniecką przez cały okres jej aktywnego życia.

Po wielkim procesie spiskowców (w czasie którego Mierosławski wygłosił własną mowę obrończą, nieco rehabilitującą go za nie najlepsze zachowanie podczas przesłuchań) zapadły surowe wyroki. Ośmiu

pod sądnych skazano na karę śmierci, 24 na dożywotnie więzienie, dwóch na karę 25 lat twierdzy. Dalsze kary były również ciężkie, ale 116 pod sądnych uwolniono od kary, zaś 18 uniewinniono. Dla osoby patrzącej z boku, z zewnątrz, decyzja sądu może się wydać drakońska. Interesujące, że skazano nie zawsze tych, którzy szczególnie się zasłużyli w pracy konspiracyjnej, a część z nich (m.in. Stefańskiego) pozostawiono na wolności. Nie spieszo się też z wykonaniem wyroków. Wiele więc wskazywało raczej na chęć zastraszenia polskich mieszkańców Wielkiego Księstwa Poznańskiego i wykazania m.in. Rosji, że postanowienia Świętego Przymierza traktowane są przez Prusy poważnie. Żaden z wyroków śmierci nie został wykonany, a już w kilka miesięcy później sytuacja w państwie zmieniła się całkowicie.

Kłopoty rodzinne, zdrowotne, aktywność związana ze spiskiem powstańczym, a potem opieką nad rodzinami uwięzionych i samymi aresztantami nie osłabiły działań panny Emilii w dotychczasowych kierunkach. Sprowadziła do siebie do Pakosławia kilka sierot po rabacji galicyjskiej, kolportowała książeczki Julii Molińskiej-Woykowskiej dla dzieci (jak zwykle i tu oddzielała ocenę danej osoby od jej działalności i zasług), kontynuowała też życie towarzyskie — ze zrozumiałych względów nie związane już z działalnością konspiracyjną.

Wtedy właśnie, w karnawale 1847 roku, doszło do wydarzenia, które interesująco charakteryzowało społeczne poglądy Emilii Sczanieckiej. Walenty Stefański i Ryszard Berwiński zorganizowali w sali Bazaru bal polski z udziałem wszystkich klas i warstw społecznych. Chodziło o zadośćuczynienie zasadom demokracji, zbratanie stanów, podkreślenie jedności społeczeństwa. Przybyła i Sczaniecka z licznym gronem najbliższej rodziny. Uczestnicy zabawy nie przewidzieli jednak, że w przyplwywie demokratycznego zapалу organizatorzy — niko go o tym nie informując — zaproszą chłopów z Wildy, Winiar i okolicznych wsi. Rozochoceni przybysze wkrótce wzięli sałę we władanie, roztrącając innych uczestników balu. Wkrótce większość gości opuściła gościnne progi Bazaru, pozostali tylko niecodzienni przybysze. Marceli Motty, również uczestnik zabawy, w swych *Przechadzkach po mieście* stwierdził krótko: *Popłoch powstał powszechny między naszymi paniami; najdłużej wytrwała jeszcze panna Emilia Sczaniecka, która z siostrzenicami na bal przybyła; ale wreszcie i najśmielsi stracili odwagę i wynieśli się do domu.*

Mamy tu przykład jednej z charakterystycznych postaw Sczanieckiej, która nigdy nie zapominała o swym statusie społecznym i starała się zachować umiar we wszystkich. Nawet demokracja musi mieć swoje granice. W społeczeństwie każda grupa społeczna ma do wykonania określone zadanie i próba naruszenia tego ładu prędzej czy później doprowadzi do chaosu, co z kolei zaszkodzi krajowi. Wątpliwe, by Sczaniecka, choć kobieta o demokratycznych przekonaniach, zaakceptowała np. mariaż którejś z siostrzenic z wildeckim gospodarzem. Uczyła szacunku dla wszystkich ludzi, niezależnie od ich statusu społecznego, lecz nie akceptowała aż takich związków. Miała głębokie przekonanie o posłannictwie ziemiaństwa, które nie może się zamykać we własnym kręgu, lecz powinno zatroszczyć się o poziom świadomości warstw niższych, stać się przewodnikiem po istocie polskości. Wydaje się, że ów na swój sposób szlachetny dystans praktykowany przez Sczaniecką zjednał panie Emilii więcej sympatyków i dowodów szacunku, niż demokracja „na siłę” lansowana przez Stefańskiego.

Rankiem 20 marca 1848 roku dotarła do Poznania wiadomość o wybuchu rewolucji w Berlinie. Polscy działacze niepodległościowi, korzystając z dezorientacji i zamieszania wśród urzędników i oficerów pruskich, od razu przystąpili do tworzenia Komitetu Narodowego. Na zebraniu w Bazarze zgromadzili się niemal wszyscy aktywiści narodowi, którym rok wcześniej udało się uniknąć aresztowania lub wyroku w procesie moabickim; m.in. przybyli: Cyprian Jarochoowski, Jędrzej Moraczewski, Gustaw Potworowski, Maciej Mielżyński, Ryszard Berwiński i Jan Palacz. Ukonstytuowany Komitet przeniósł się później do pałacu Mielżyńskich przy ul. Wronieckiej.

Sczaniecka była w tym czasie w mieszkaniu siostry, Korduli Stablewskiej, przy ul. Berlińskiej. Jeszcze tego samego dnia u Bibianny Moraczewskiej odbyło się zebranie kobiet, które już wcześniej kontaktowały się m.in. ze Sczaniecką. Sprawa była istotna, jako że wybuch wojny był nieunikniony. W tym okresie jeszcze sądzono, że przeciwnikiem będzie Rosja, zaś u boku wojsk pruskich ruszy na wschód korpus polski złożony z obywateli Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Zatem będą ranni, ktoś nimi będzie musiał się zająć – a więc konieczne jest przypomnienie doświadczeń z 1831 roku.

Wydaje się, że już wtedy Sczaniecka zorientowała się w potrzebie zorganizowania szybkiego szkolenia samarytanek. Podstawową wiedzę na temat udzielania pierwszej pomocy, jak wspomniano, większość

pań wyniosła już z domu rodzinnego; chodziło tylko o ukierunkowanie umiejętności na postępowanie z żołnierzem rannym na polu walki. Oczywiście nie wchodziła w grę fachowa interwencja chirurgiczna, bo tej dokonać mógł tylko lekarz, lecz wstępna pomoc, a później opieka w lazarecie nad rekonwalescentem. Zważmy, że od powstania listopadowego minęło już 17 lat i niewiele było kobiet w Wielkopolsce, które miały za sobą doświadczenia z warszawskich szpitali 1831 roku, jeszcze mniej pań czuło się na siłach kontynuować tę pracę teraz. W rzeczywistości więc Sczaniecka miała do czynienia z dziewczętami i młodymi damami, które o ranach wojennych wiedziały tyle co ona, gdy w styczniu 1831 roku wyjeżdżała do Królestwa Polskiego. Te problemy stanęły jednak przed Sczaniecką w kilka dni później.

Rankiem 21 marca do mieszkania Sczanieckiej i Stablewskiej dotarła wiadomość, że władze administracyjne zezwoliły na wywieszenie z ratusza polskiej chorągwi narodowej. Przedsiębiorcze siostry natychmiast zakupiły odpowiednią ilość białego i czerwonego kaszmiru, a następnie uszyły wielką chorągiew. Jako drzewca użyto dyszla od powozu Korduli Stablewskiej, a wkrótce ul. Berlińską ruszył ku Staremu Rynkowi gęstniejący wciąż pochód, na którego czele szedł stangret pani Korduli, niosący ową zaimprovizowaną chorągiew; były tam oczywiście także obydwie bohaterki tego wydarzenia. Zawieszenie znaku narodowego na loggii drugiego piętra ratusza zapoczątkowało spontaniczną manifestację narodową na Rynku.

Nie jest wykluczone, że panna Emilia 22 marca uczestniczyła także w uroczystym powitaniu więźniów polskich uwolnionych z Moabitu. Ale najbardziej absorbowala ją praca organizacyjna. Szybkość działania była imponująca, lecz należy brać pod uwagę ówczesne realia, o czym już wspominaliśmy. Główne aktywistki ruchu samarytańskiego w Księstwie mieszkały w tym czasie w Poznaniu lub najbliższej okolicy, więc ich szybkie zebranie i podział pracy nie wymagały długiego czasu.

Faktem jest, że podobnie jak wyjątkowo szybkie było tempo organizowania władz i systemu tworzenia polskiego wojska w Księstwie, tak samo wysoką sprawność w działaniu wykazały kobiety. Nie ulega wątpliwości, że pomysłodawcą, a później kierownikiem tej pracy była Emilia Sczaniecka, choć z nie do końca wyjaśnionych przyczyn starała się fakt ów ukryć, pozostawała w cieniu.

W trakcie działalności organizacyjnej wykorzystwała doświadczenia z lat 1830-1831 i przyznać trzeba, że przystąpiła do pracy szybko, z rozmachem i jasną wizją ustalonego celu. W rezultacie niemal równocześnie z tworzeniem sieci polskich komitetów narodowych w poszczególnych powiatach i miasteczkach zaczęły powstawać filie nowo utworzonego 24 marca 1848 roku Komitetu Opieki nad Rannymi. Owej strukturze warto przyrzeć się bliżej, gdyż nawet z dzisiejszego punktu widzenia nie można jej nic zarzucić. Ponadto uzyskane doświadczenia panna Emilia wykorzystwała również w kilkanaście lat później, podczas powstania styczniowego. Zatem, by w dalszych rozważaniach do szczegółów tych nie wracać, przeanalizujemy je przy okazji prezentowania okresu Wiosny Ludów.

Powołanie w Poznaniu Komitetu Opieki nad Rannymi Sczaniecka połączyła z równoczesnym wydaniem odezwy do kobiet wielkopolskich oraz okólnika – instrukcji organizacyjnej. Tegoż dnia powołano sześciuosobową Dyрекcję Opieki nad Rannymi, bez określania funkcji czy hierarchii. W skład tego gremium weszły osoby z różnych środowisk: Konstancja Jarochowska, Albertyna Kolska, Wiktoria Konarska, Albertyna Powelska, Kordula Stablewska i Tekla Kwilecka; siódma z pań, Maria Bolewska, była sekretarzem. Wbrew opinii D. Wawrzykowskiej-Wierciochowej Sczaniecka nie należała do Dyrekcji, jedynie zarezerwowała dla siebie przewodniczenie komitetowi w powiecie bukowskim. Spójrzmy bliżej na treść obydwu dokumentów, ogłoszonych 24 marca 1848 roku.

W dość zawile napisanej odezwie są już akcenty organizacyjne: *Polki! Zabłysła pożądana chwila naszego wybawienia – lecz jest ona istotnie dopiero zaraniem wielkiego dzieła, które żeby ukończyć zupełnie, potrzebuje jeszcze wielkich trudów, wielkich poświęceń, a szczególnie połączonych usiłowań w każdym, by też i najdrobniejszym zawodzie.* – *Chociażbyśmy obmyślali złożenie się najpomyślniejszych okoliczności dla sprawy naszej, widzimy jasno, że krew płynąć musi. Polki! Naszym jest więc obowiązkiem przysposobić i obmyślić wszystko, co potrzebnem jest do niesienia pomocy i ulgi braciom naszym, którzy krew przelewać będą, aby, gdy nadejdzie chwila cierpień ich, już wszystko gotowem było i drobne starania nie odrywały nas od zupełnego oddania się służeniu im.* – *Z tych powodów zawiązała się z kobiet „Opieka dla rannych”, której urządzenie niżej wymieniamy. W wezwaniu osób do składek tejże Opieki brało się wzgląd na to, by wybrać osoby te, które, mając mniej obowiąz-*

ków na sobie, mogą się z zupełnem oddaniem poświęcić nowym powinnościom — porządek tego wymaga; lecz Siostry! Wszystkie zarówno otwarte macie pole do działania i wszystkie z równą gorliwością pospieszycie zapewne do złożenia na oltarzu Ojczyzny i cierpiącej ludzkości, co która posiada. Pieniądze, bielizna, rzeczy do ubrania dla chorych potrzebne, wszelka ręczna praca, — albo też starania z prawdziwą wykonane miłością — jednako są drogiemi skarżami dla cierpiących braci. — Poznań dnia 24 marca 1848. Jarochowska, A. Kolska, Konarska, Powelska, Stablewska Kordula, Kwilecka Tekla. Sekr. Maria Bolewska.

Znacznie bardziej zwarta w formie i treści jest Instrukcja dla sióstr Komitetu Opieki Rannych na powiatach:

Tak się liczy na współczucie zamianowanych obywaterek, że się ich nie zapytano poprzednio czyli przyjmą, czy nie, na siebie obowiązki nałożone.

W każdym powiecie Siostry komitetowe mają podobne działania, jak Dyrekcja w Poznaniu. Winne naprzód zgromadzić się do dostatecznego naradzenia, a później wystarczającym będzie dwa razy na miesiąc. Na pierwszym posiedzeniu winne podzielić między siebie okolice powiatu. — Zająć się naprzód wybraniem opiekunek na każde miasteczko jedną, dwie lub trzy, stosownie do wielkości tegoż — a gdyby uznały potrzebem dla miejscowych przyczyn, mogą i na powiaty dobrać także kilka opiekunek. Opiekunki powiatowe mają zdawać sprawę z wszystkiego siostronom komitetu miejscowego. Siostry komitetowe zaś winny donosić o czynnościach swych i zasobach do Dyrekcji w Poznaniu dwa razy na miesiąc — 1 i 15. każdego miesiąca.

Wszystkie uzbierane zasoby mają być złożone u sióstr komitetowych, a w razie potrzeby Dyrekcja zawiadomi je, gdzie ich użyć potrzeba. Jeśliby gdzie daleko od Poznania toczono bój — wtenczas gorliwsze i wolniejsze od obowiązków siostry zgłoszą się do Dyrekcji, z chęcią udania się na miejsce cierpienia — i natychmiast zostają zaopatrzone we wszystko i wysłane tamże.

Posiedzenie Dyrekcji odbywa się co srodę po kolei u jednej z sześciu sióstr Dyrekcji. Biuro i kassa są na ulicy Berlińskiej No. 32 [tzn. u Bibianny i Jędrzeja Moraczewskich — dop. M.R.]. Wszystkie odezwy i zgłaszania z prowincji tam skierowane być mają — do kasjerki Bibianny Moraczewskiej lub do sekretarki Marii Bolewskiej.

Komitety w powiatach:

Powiat babimostski: Gajewska z Wolsztyna, Platerowa z Wróniaw, Mielżyńska Franciszka w Chobienicach, Tułodziecka w Dąbrowie.

Instrukcja

dla Sióstr Komitetu Opieki rannych na powiatach

Tak się liczy na współzacznie zamianowanych obywaterek, że się ich nie zapytano poprzednio czyli przyjmą, lub nie, na siebie obowiązki nałożone.

W każdym powiecie Siostry komitetowe mają podobne działania, jak Dyrekcja w Poznaniu. Winne naprzód zgromadzić się do dostatecznego naradzenia, a później wystarczającym będzie dwa razy na miesiąc. Na pierwszym posiedzeniu winno podzielić między siebie okolice powiatu. — Zając się naprzód wybraniem opiekunek na każde miasteczko jedną, dwie, lub trzy, stosownie do wielkości tegoż, — a gdyby uznoby potrzebne dla miejscowych przyczyn, mogą i na powiaty dobrać także kilka opiekunek. Opiekunki powiatowe mają zdawać sprawę z wszystkiego Siostron komitetu miejscowego. Siostry komitetowe zaś winny donosić o czynnościach swych i zasobach do Dyrekcji w Poznaniu dwa razy na miesiąc — i i 15. każdego miesiąca.

Wszystkie zbierane zasoby mają być złożone u Sióstr Komitetowych, a w razie potrzeby, Dyrekcja zawiadomi je, gdzie ich użyć potrzeba. Jeżeliby gdzie daleko od Poznania toczono bój, — wtenczas gorliwsze i wolniejsze od obowiązków siostry, zgłoszą się do Dyrekcji, z chęcią udania się na miejsce cierpienia — i natychmiast zostają zaopatrzone we wszystko i wysłane tamże.

Posiedzenie Dyrekcji odbywa się co środę po kolei u jednej z sześciu Sióstr Dyrekcji.

Biuro i kassa są na ulicy Berlińskiej No. 32.

Wszystkie odezwy i zgłaszania z prowincji, tam adressowane być mają — do kassierki Bi-bienny Moraczewskiej, lub do Sekretarki Marji Bolowskiej.

Komitety w powiatach.

Powiat *Bahimostki*.

Gajewska z Walsztyna.
Platerowa z Wrocław.
Mielżyńska Franciszka
w Chubienicach.
Toludziecka w Dąbrowie.

— *Bukowski*.

Emilija Szczaniecka z Pa-
kosławia

Matecka w Lwówku.

Żółtowska Adamowa z Ur-
banowa.

Powiat *Kościński*.

Kwilecka Walerowa z Ko-
bylnik.

Biegańska z Cykówka.

Szoldrska Józefowa z Po-
powa.

12. Pierwsza strona „Instrukcji dla sióstr Komitetu Opieki nad Rannymi”

Powiat bukowski: Emilia Szczaniecka z Pakosławia, Matecka w Lwówku, Żółtowska Adamowa z Urbanowa.

Powiat kościński: Kwilecka Walerowa z Kobylnik, Biegańska z Cykówka, Szoldrska Józefowa z Popowa.

Lektura tych dokumentów pozwala wnioskować, że podstawowe szczegóły dotyczące struktury Komitetu i podział pracy między konkretne osoby zostały ustalone już wcześniej, może nawet w latach 1845- 1846. Takie są też sugestie niemal wszystkich biografów Szczanie-

ckiej. Podobno panna Emilia już wtedy zakupiła większą liczbę egzemplarzy *Przewodnika pielęgnowania chorych* autorstwa C.E. Gedickego, w opracowaniu i aktualizacji dr. Ludwika Gąsiorowskiego. Jakoby już wtedy prowadzono niemal masowe szkolenie sanitarne na co dzień.

Wydaje się jednak, że owe dość entuzjastyczne opinie należy znacznie stonować. Podstawowy zasób wiedzy na temat udzielania pierwszej pomocy i tak niemal każda gospodyni wyniosła z domu rodzinnego, o czym już wspominaliśmy. Natomiast rana otrzymana w czasie walki jest tak specyficzna, wymaga takiej opieki, że organizowanie odrębnych szkoleń w tym zakresie nie mogłoby ująć uwadze policji. Emilia Szaniecka, jako doświadczona pielęgniarka rannych żołnierzy, była w pełni świadoma tej prawdy i jak się wydaje, o ile rzeczywiście prowadziła szkolenia ukierunkowane na opatrywanie rannych w boju, to dla zamkniętej, zaufanej grupy – owej „kadry”, która po dwóch latach stała na czele powiatowych komitetów opieki nad rannymi. Czy rzeczywiście pań tych było aż 200, jak można niekiedy przeczytać, to rzecz do dyskusji. Tyle mogło ich być łącznie, zaangażowanych bez dodatkowego przeszkolenia. Zespół kierowniczy zapewne liczył najwyżej kilkadziesiąt osób, które istotnie mogły być przez Szaniecką potajemnie przeszkolone już wcześniej, bez zwracania na siebie uwagi policji.

Faktem jest, że akcja organizacyjna rozwinęła się wspaniale. Centralą Dyrekcji Opieki nad Rannymi stało się mieszkanie Korduli Stablewskiej w Poznaniu przy ul. Berlińskiej; tam też gromadzone były dary przeznaczone na organizowanie lazaretów. Równocześnie prowadzono przyspieszone szkolenie (już jawne, konspiracja nie była potrzebna), w którym korzystano z konsultacji i fachowych porad miejscowych lekarzy, m.in. Teofila Mateckiego, Floriana Cunowa i Brawackiego. W mieszkaniach innych działaczek zaś przystąpiono do organizowania magazynów środków opatrunkowych i medykamentów; służyły one później jako bazy zaopatrujące szpitale terenowe.

Emilia Szaniecka ze swymi współpracowniczkami o kilka dni wyprzedziła Wydział Wojenny Komitetu Narodowego, który wreszcie zlecił Teofilowi Mateckiemu zorganizowanie służby medycznej tworzonego wojska polskiego. Zasłużony lekarz nie zaczynał więc „od zera”, miał już do dyspozycji sprawną i dobrze zorganizowaną ekipę pielęgniarek; lekarzy i felczerów mobilizował sam. W rezultacie bardzo wcześniej był gotowy do obsługi medycznej korpusu polskiego planowanego na wojnę z Rosją.



13. Doktor Teofil Matecki u schyłku życia

Panna Emilia doskonale była świadoma swej roli w zbliżającym się konflikcie. Prawdopodobnie zdawała sobie sprawę z realiów czasu i miejsca, z tego, że tylko ona byłaby w stanie w razie potrzeby działać

szybko i efektywnie. Kierowanie Dyрекcją z Poznania ograniczyłyby jej możliwości pracy do czynności administracyjnych, które z powodzeniem wykonywać mogła nawet osoba, która nigdy nie zetknęła się z rannymi. Szczaniecka więc bardziej była potrzebna w terenie, zwłaszcza tam, gdzie prawdopodobieństwo walki zbrojnej było najbliższe.

W pracy ściśle współdziałała z doktorem Mateckim, zaś jako swoistą bazę wybrała sobie obóz polski we Wrześni. Utworzono tam duży lazaret na 90 łózek, z możliwością powiększenia ich liczby. Panna Emilia w tym czasie zajęła się najbardziej uciążliwą stroną organizacji szpitala: podlegała jej bowiem nie tylko sanitarna opieka nad przyszłymi rannymi, ale także finanse i zaopatrzenie całej placówki. Na razie pacjentami byli tylko „bieżący” chorzy, ale już wkrótce doszło do trzech kolejnych bitew (Książ, Miłosław, Sokołowo), stoczonych niemal dzień po dniu. Dla Emilii Szczanieckiej powtórzyły się realia z lutego 1831 roku...

Tempo wydarzeń uniemożliwiało równomierne angażowanie całości zorganizowanej w Księstwie polskiej służby medycznej. Udzielaniem pomocy zająć się musieli wszyscy będący w pobliżu. A że odległość między poszczególnymi polami bitewnymi nie przekraczała kilkudziesięciu kilometrów, najwięcej pracy miały te same zespoły lekarzy i opiekunek samarytańskich.

Praca przy rannych wiosną 1848 roku swym charakterem niewiele odbiegała od realiów powstania listopadowego (jedynie zamiast mrozu były deszcze i chłody) i dla Szczanieckiej nie była nowością, choć teraz, w wieku 44 lat, przy nie najlepszej formie zdrowotnej, nie mogła być już tak sprawna, jak w roku 1831. Brak sił wyrównywała doświadczeniem. Ale na polu walki potrzebna była każda para rąk do pracy – i to najcięższej, najmniej skomplikowanej, chyba też najtrudniejszej. I Szczaniecka się nie oszczędzała.

Do pierwszej próby sił doszło już 29 kwietnia, po zdobyciu Książa przez oddziały pruskie. Rozdrażnieni parogodzinny skutecznym oporem, upojeni sukcesem zwycięzcy zaczęli mordować jeńców oraz mieszkańców miasteczka, przystąpili do podpalania domostw i rabunku. Pozbawiono życia wszystkich rannych z lazaretu urządzanego w miejscowej aptece. Łącznie zginęło około 300 osób, 350 było rannych; do dziś dwa wysokie kopce – mogiły pod miasteczkiem świadczą o barbarzyństwie zwycięzców.

Ledwie umilkły strzały w Książu, na pobojowisku pojawili się lekarze i sanitariusze z sąsiednich obozów i miejscowości — wśród nich Szczaniecka, Bolewska, lekarze Matecki, Gąsiorowski, ze Środy zaś doktor Maciej Kapuściński. Ponad 150 rannych przewieziono do lazaretów w Śremie i Lubomierzu, gdzie włączyły się do pracy miejscowe członkinie Komitetu Opieki nad Rannymi. Zaczęła się ciężka, trwająca dzień i noc walka o życie rannych. Emilia Szczaniecka działała dokładnie tak samo, jak przed 17 laty, nie stosując wobec siebie żadnych ulg ani zwolnień. Kierowała niemal całym lazaretem, równocześnie pracując przy rannych. Jak wiemy z listu znanego rysownika i litografa Kajetana Wincentego Kielisińskiego, w lazarecie śremskim jeszcze 17 maja 1848 roku leżało około 100 rannych, którzy choć poranieni i bezsilni, zachowali ducha i nie mogli się dość nachwalić opieki sprawowanej nad nimi przez personel medyczny. Łącznie z Książa przywieziono do Śremu 135 rannych, zmarło 26 (wśród nich dowódca obrony miasteczka, pułkownik Florian Dąbrowski).

Już następnego dnia po walkach o Książ doszło do bitwy pod Miłosławiem. Szczaniecka i Bolewska (wtedy jeszcze działające w Śremie) natychmiast dołączyły do lekarzy Kapuścińskiego i Pokornego, i na dwóch bryczkach okrężną drogą ruszyły pod Miłosław. Tam natychmiast zorganizowano lazaret w pałacu, miejscu jeszcze niedawnej krwawej walki. Z czasem szpital rozrósł się znacznie, przejął także rannych z Książa, z braku miejsca w śremskim lazarecie umieszczonych dotąd w prywatnych mieszkaniach. Lazaret miłosławski organizowała Szczaniecka wspólnie z hrabiną Sewerynową Mielżyńską, żoną właściciela majątku. Kierownictwo tego szpitala przejęła nauczycielka Maria Bolewska, niegdyś towarzysząca podróży panny Emilii do Brukseli i Paryża, która zdążyła się już otrząsnąć z fascynacji ideami Towiańskiego i energicznie włączyła się do prac Dyrekcji Opieki nad Rannymi. W lazarecie miłosławskim ulokowano także znalezionych na pobojowisku rannych oficerów pruskich, których otoczono taką samą opieką, jak poszkodowanych Polaków. Postawa ta bardzo się później przydała Szczanieckiej w kontaktach z administracją i dowództwem przeciwnika.

Następną trudną próbą dla miłosławskiego lazaretu stała się wiadomość o bitwie pod Sokołowem koło Wrześni, stoczonej 2 maja 1848 roku. Było tam rannych około 300 żołnierzy polskich, którym trzeba było udzielić pomocy na pobojowisku, a później przewieźć do lazaretu.



14. Szpital w jednym z dworów wielkopolskich w 1848 roku

Udali się tam natychmiast lekarze Matecki i Kapuściński oraz Emilia Sczaniecka z zespołem pomocnic. Stamtąd jednak bliżej było do Wrześni niż do Miłosławia i po uporządkowaniu pola walki panna Emilia zaczęła kursować między obydwoma miejscowościami, nadzorując funkcjonujące tam lazarety. Ponieważ nastąpiło osłabienie składu i liczebności personelu medycznego obsługującego szpital miłosławski, władze pruskie tymczasowo pozwoliły pracować tam dwu lekarzom z emigracji, Jezierskiemu i Smoleńskiemu, ale już w czerwcu nakazano im wyjazd z Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Odtąd szpitale polskie znalazły się w trudnej sytuacji, gdyż wystąpił dotkliwy brak lekarzy, a ci, którzy mogli się zajmować rannymi z wszystkich trzech bitew i lokalnych potyczek, byli przeciążeni.

Szpital we Wrześni jednak nie mógł pomieścić wszystkich rannych spod Sokołowa. Część z nich umieszczono w lazaretach w Trzemesznie i Środzie, dokąd przywożono też rannych żołnierzy pruskich. W rezultacie wystarczyło pracy dla niemal wszystkich znaczących ówczynie pań w Księstwie. Autorytet i zaangażowanie Sczanieckiej sprawiały, że

niezręcznie byłoby unikać współpracy w działalności samarytańskiej – niekoniecznie zresztą od razu przy łóżku rannego. Do pomocy zaczęły się zgłaszać panie, które wcześniej stały z boku i do inicjatyw panny Emilii podchodziły sceptycznie. Niektóre, znalazłszy się w sytuacji, z którą wcześniej nie miały do czynienia, lub zetknąwszy się z trudnym przypadkiem medycznym, zwracały się do Szczanieckiej z prośbą o pomoc, instruktaż, wyjaśnienie.

A bywały przypadki bardzo trudne, wymagające interwencji chirurgicznej. Zawziętość walki powodowała przewagę ran klutych i ciętych tułowia i głowy – a więc szczególnie groźnych, wymagających starannej opieki. Zdarzało się, że pomoc przychodziła zbyt późno, gdyż ranni, w obawie przed zemstą Prusaków, ukrywali się przez kilka dni, unikając kontaktu z ludźmi w ogóle. Trzeba więc było nie tylko radzić sobie z opieką nad rannym, opatrywaniem ran, karmieniem, higieną itd., ale gdy zaszła potrzeba, pielęgniarka musiała okazać się dobrym psychologiem.

Trzeba przyznać, że Szczaniecka radziła sobie bardzo dobrze, a poza tym musiała myśleć także o przyszłości chorych powierzonych jej opiece. Walka zakończyła się niepowodzeniem strony polskiej, zatem należało zastanowić się nad tym, co będzie dalej. Przede wszystkim panna Emilia nie ukrywała prac wykonywanych w poszczególnych szpitalach. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na choćby najmniejszy błąd, a brak przezorności sprowadziłby sankcje zarówno na nią, jak podległy personel i poszczególnych rannych. W dniu 9 maja 1848 roku wyżsi dowódcy pruscy w Księstwie, generałowie: Wilhelm von Willisen, Christian von Steinäcker, Friedrich A. von Colomb, Alexander Hirschfeld i A. Blumen dokonali jakby inspekcji lazaretu we Wrześni. Szczaniecka umożliwiła im dostęp do wszelkich informacji, nie utrudniała kontaktu z rannymi. Leżący tam kapral strzelców miłosławskich Wojciech Kamiński po latach na łamach „Dziennika Poznańskiego” wspominał, że leczeni we Wrześni pruscy żołnierze nie chcieli być przeniesieni do swoich, niemieckich szpitali; jednak uczyniono tak, mimo ich protestów.

Praca nie skończyła się dla Szczanieckiej z chwilą zakończenia walk, lazarety przecież istniały nadal, a ranni wymagali opieki. Zatem panna Emilia wciąż krążyła między Trzemeszmem, Wrześnią, Środą, Miłosławiem, Nowym Miastem, Lubomierzem i Śremem, nadzorując ich pracę, udzielając porad itd. Był to drugi etap działalności samarytańs-

kiej, podobny do tego, który wystąpił przed kilkunastu laty w Warszawie pomiędzy bitwami pod Grochowem i Ostrołką (od lutego do maja 1831 roku). Teraz jednak doszła sprawa, która wtedy pojawiła się znacznie później: konieczność zapewnienia bezpieczeństwa rekonwalescentom, uchronienia ich przed zemstą zwycięzców po wyjściu ze szpitala. W dalszym ciągu też, mimo zakończonej już walki, trzeba było starać się o bieliznę osobistą i pościelową, o pieniądze na wyżywienie chorych itd. Po prostu praca trwała dalej, choć priorytety działania były już nieco inne.

Rekonwalescenci, którzy przypuszczalnie od razu po wyjściu ze szpitala byliby aresztowani przez policję, zawczasu byli przez Szczaniecką i jej współpracowniczki zaopatrywani w odzież i pieniądze, a później kierowani za granicę. Dotyczyło to zwłaszcza emigrantów, którzy dość licznie (głównie z Francji) przybyli do Wielkiego Księstwa Poznańskiego; władze pruskie ściagały ich ze szczególną konsekwencją. I tak wielu z nich dość wcześnie znalazło się w więzieniach.

U schyłku lata 1848 roku dalsze utrzymywanie lazaretów terenowych nie było już konieczne. Lżej ranni już je opuścili, ci zaś, którzy wymagali dłuższego leczenia i fachowej opieki, musieli być przeniesieni do ośrodka zatrudniającego najbardziej doświadczonych lekarzy — do Poznania. Już wcześniej w pałacu Działyńskich przy Starym Rynku funkcjonował szpital, do którego skierowano rannych wymagających szczególnej, długotrwałej troski. Z czasem więc wszystkich pozostałych jeszcze chorych z lazaretów terenowych tam właśnie przeniesiono. Mieli tu rzetelną, fachową opiekę, ale też trudniej było ich później ekspediować poza miasto, bez zwracania szczególnej uwagi policji pruskiej.

Z tego okresu pochodzi bardzo interesujący dokument: regulamin szpitala w pałacu Działyńskich, opracowany przez Emilię Szczaniecką, Marię Bolewską i Sabinę Mlicką: — *Wszelkie klótnie, pasowanie się, obelgi względem kogokolwiek, picie wódki itp. niemoralne prowadzenie się, zakazane jest najsurowiej. W ogóle jeden z drugim niech szanują obrońców spraw ojczystych, rozsądniejszy niechaj ustępuje i będzie przykładem dla drugich, a słaby niechaj szuka przykładu w rozsądnie prowadzącym się. Pamiętajcie, że grzeczność zniewala do grzeczności.*

Tekst ten wyraźnie zdradza rękę Szczanieckiej — osoby doskonale znającej specyfikę środowiska rannych w boju żołnierzy, a przy tym podchodzącej doń miękko, po kobiecemu. Nie przestała być

moralistką, przy równoczesnym działaniu zdradzającym nietypowe dla kobiety zdecydowanie i energię. Dawno już minęły czasy, gdy płakała nad każdym umierającym rannym, za co, jak wspomniano, została w 1831 roku twardo i jak się okazało skutecznie zbesztana przez posługacza szpitalnego. Nie przestała być jednak też wychowawczynią, choć jak się wydaje, mogła sobie na takie punkty regulaminu pozwolić dopiero w okresie po zakończeniu walk i stabilizacji położenia w Księstwie, gdy od jej decyzji dosłownie i w przenośni zależały dalsze losy rannych umieszczonych w pałacu Działyńskich. Wyleczenie ich nie kończyło samarytańskiej działalności panny Emilii. Opiekowała się ozdrowieńcami nadal, w razie pozbawienia środków do życia troszczyła się o dalszy byt żołnierza, w Pakosławiu założyła przytułek dla kalekich weteranów polskich z 1848 roku (podobny utworzyła Konstancja Jarochowska w Sokolnikach pod Szamotułami). Konsekwencje swej postawy patriotycznej w okresie Wiosny Ludów zarówno ci ludzie, jak i ich dobroczyńcy odczuwali jeszcze przez wiele lat.

Z chwilą ostatecznej likwidacji lazaretu poznańskiego trzeba było pomyśleć o własnej przyszłości. Panna Emilia cieszyła się szczerym szacunkiem niemal wszystkich rodaków w Księstwie, a i Prusacy niewiele mieli jej do zarzucenia, gdyż poznali stosunek Szczanieckiej do narodowości żołnierzy przebywających w lazaretach. Widzieli w niej przeciwnika, lecz szanowali za wyznawane przez nią zasady i postępowanie w praktyce. Natomiast innym problemem był pokaźny dług hipoteczny na kwotę 25 tys. talarów (poza pożyczkami wekslowymi). Pieniądze te były przeznaczone na potrzeby lazaretów i poszkodowanych żołnierzy polskich — teraz trzeba było pomyśleć o spłacie długów i wyrównaniu strat, głównie drogą daleko posuniętych oszczędności. Niewywiązanie się z tych zobowiązań mogło doprowadzić do licytacji przynajmniej części majątku, co przy zubożeniu polskich potentatów finansowych w rezultacie wydarzeń 1848 roku oznaczało powiększenie niemieckiego stanu posiadania ziemi w Wielkim Księstwie Poznańskim. Już wkrótce okazało się, że obawy te nie były bezpodstawne. Dużą przykrością było dla Szczanieckiej także ukazanie się w 1849 roku dramatu *Manna Sztuka i miłość* — utworu tyle panegirycznego, co nietaktownego. Ale nie było czasu na analizę niepowodzeń i rozpamiętywanie przykrości. Panna Emilia wciąż była ludziom potrzebna, doskonale też zdawała sobie z tego sprawę. Jedy-

nym przyjemnym i wzruszającym wydarzeniem tego czasu był powrót z zesłania Jakuba Szredera, którego dzieci przed kilkunastu laty Sczaniecka wzięła na wychowanie.

Wiosna Ludów się zakończyła, opadło napięcie związane z wykonywaną pracą — odezwały się dolegliwości zdrowotne (zwłaszcza z nogami), tak częste u panny Emilii po każdym większym wysiłku nerwowym i fizycznym. Wiadomo, że znów wyjeżdżała za granicę, ale niewiele się zachowało szczegółów na ten temat. Z korespondencji można jedynie wywnioskować, że widziała się z Lelewelem i zaangażowała w propagowanie prenumeraty socjalizującego pisma „Praca”, redagowanego przez Wiktora Heltmana. Inicjatywa jednak zakończyła się niepowodzeniem, jako że po niedawnych nieudanych wydarzeniach 1848 roku trudno było w opiniotwórczych środowiskach Wielkiego Księstwa Poznańskiego znaleźć aktywnych zwolenników dalszej walki, w dodatku zawierającej akcenty społeczne. Demokratyczne poglądy Heltmana w pełni odpowiadały Sczanieckiej, ale w tym właśnie czasie, gdy Liga Polska dopiero powstawała, a później została rozwiązana, w warunkach zaostrego kursu wobec ludności polskiej podobne idee nie były rozumiane i przyjmowane najchętniej.

Jednak mimo wielkich trudności, ograniczenia swobody działania, nacisków Rosji zmierzających do wymuszenia na innych państwach europejskich zaostżenia kursu wobec emigrantów polskich po 1850 roku, do Wielkopolski znów zaczęli przybywać wysłannicy obydwu głównych kierunków politycznych z zagranicy. Znowu, jak niegdyś, znajdowali schronienie i oparcie u panny Emilii w Pakosławiu. Mniej ich wprawdzie było w latach poprzedzających Wiosnę Ludów, ale się pojawiali. Bardzo liczył na jej pomoc i poparcie Stanisław Worcell, równolegle wysyłał swych przedstawicieli książe Adam Czartoryski. Wspierała Sczaniecka Towarzystwo Wychowania Narodowego Dzieci Wychodźców Polskich, w 1851 roku wysłała do polskiej szkoły w Batingolles wydawnictwa подарowane przez Walentego Stefańskiego, Napoleona Kamińskiego i Jana Konstantego Żupańskiego. W tym samym czasie wspomogła finansowo Włodzimierza Krzyżanowskiego, niefortunnego spiskowca z 1846 roku, późniejszego inżyniera i generała armii Stanów Zjednoczonych. Potem, już z drugiej półkuli, on z kolei przesyłał do Wielkopolski pieniądze na różne cele patriotyczne i charytatywne, do końca życia zachował też Sczaniecką we wdzięcznej pamięci.

Rozdział V

W PRZEDDZIEN I W TRAKCIE POWSTANIA STYCZNIOWEGO

W 1851 roku naczelnym prezesem Wielkiego Księstwa Poznańskiego został Eugen von Puttkamer — urzędnik zdecydowanie nastawiony na stłumienie polskiego ruchu narodowego i doprowadzenie do wchłonięcia Księstwa przez państwo pruskie. O jakiegokolwiek „reorganizacji” nie było już mowy, teraz warunki dyktowała już tylko jedna strona, zdecydowana doprowadzić sprawę do końca. Program działania był bardzo szeroki, przede wszystkim zamierzono doprowadzić do stopniowego zgermanizowania systemu kształcenia nauczycieli i szkolnictwa w ogóle, a także starano się stopniowo polskie instytucje gospodarcze albo zneutralizować, albo też doprowadzić do ich likwidacji.

Jeszcze bardziej konsekwentny w tym działaniu był następca Puttkamera na stanowisku naczelnego prezesa prowincji, Gustav Karl von Bonin — ten sam, który w latach 1850-1851 prowadził jeszcze dość umiarkowaną politykę w Księstwie. Tym razem poczynania germanizacyjne skierowano na ograniczenie polskiego stanu posiadania ziemi, ułatwienie napływu Niemców do Wielkiego Księstwa Poznańskiego (od 1849 roku już prowincji poznańskiej) i rozszerzania wpływów kościoła ewangelickiego. Zatem walka przeniosła się na forum parlamentu, gdzie bardzo aktywne Koło Polskie różnymi sposobami starało się reprezentować stanowisko polskiej ludności Księstwa; a byli tam czynni tacy wybitni przedstawiciele establishmentu, jak: August Cieszkowski, Dezydery Chłapowski, Maciej Mielżyński, a przede

wszystkim przedstawiciel młodszego, następnego już pokolenia, Władysław Niegolewski.

Było o co walczyć. Połowa lat pięćdziesiątych XIX wieku była okresem wyjątkowo trudnym dla ziemian wielkopolskich. Epidemie, dżyżyna, klęski żywiołowe nałożyły się na wyczerpanie gospodarki wysiłkiem organizacyjnym i materiałowym 1848 roku. Sytuacja ta sprzyjała licytacom i przechodzeniu polskich majątków w ręce niemieckie. Z kolei elementy gospodarki kapitalistycznej były w Księstwie zbyt słabe, aby mogły stać się skuteczną konkurencją dla instytucji niemieckich. Wyjątkiem była fabryka wyrobów żelaznych założona i kierowana przez Hipolita Cegielskiego, szybko rozwijana od 1846 roku, ale instytucji takich powinno być więcej, aby się można było skutecznie przeciwstawić ekspansji przemysłu niemieckiego.

Ziemiańscy Polacy próbowali ratować sytuację przez tworzenie własnych organizacji. W 1861 roku powstało Centralne Towarzystwo Gospodarcze kierowane przez Adolfa Łączyńskiego i Jana Działyńskiego, podtrzymywano działalność Towarzystwa Naukowej Pomocy dla Młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego i Towarzystwa Przemysłowego. Pruskie władze konsekwentnie odmawiały zgody na otwarcie w Poznaniu szkoły wyższej, zatem w 1857 roku z inicjatywy Kazimierza Szulca, ks. Franciszka Malinowskiego, Tytusa Działyńskiego, Augusta Cieszkowskiego, Władysława Niegolewskiego i Rogera Raczyńskiego powstało Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Organizacja ta, dziś dość elitarna i zamknięta, w latach zaboru pruskiego skupiała czołówkę polskich działaczy narodowych w Księstwie, niekiedy zawodowo zajmujących się badaniami naukowymi. Ich oddziaływanie na opinię publiczną poprzez odczyty, prelekcje, wystawy, publikowanie materiałów, finansowe wspieranie ludzi myśli odegrało ważną rolę w podtrzymywaniu i kształtowaniu świadomości narodowej polskich mieszkańców Księstwa. Szczególnie silną pozycję zajęli w Towarzystwie przedstawiciele nauk humanistycznych i lekarze, a utworzona tam obszerna, cenna biblioteka wkrótce stała się instytucją samą w sobie. A więc mimo utrudnień, przeszkód, nasilenia kursu germanizacyjnego wola zachowania samodzielności myśli i oporu przetrwała.

W kilka lat po zakończeniu Wiosny Ludów w Wielkopolsce znów zaczęły się uzewnętrzać nastroje patriotyczne, dotychczas przytłumione koniecznością ratowania tego z narodowej tożsamości, co jeszcze

było do uratowania po klęsce złudzeń 1848 roku. Pierwszym widocznym przejawem owej aktywności była uroczystość odsłonięcia w 1859 roku w Poznaniu (pierwszego zresztą na ziemiach polskich w ogóle) pomnika Adama Mickiewicza, dłuta Władysława Oleszczyńskiego.

Później pojawiły się w zaborze pruskim nastroje przeniesione z Królestwa Polskiego. Zgodnie z polską prawidłowością doszło do głosu pokolenie, które powstania listopadowego nie pamiętało wcale, zaś wydarzeń Wiosny Ludów nie mogło jeszcze ogarnąć ze względu na wczesny wiek dziecięcy. Działacze, inicjatorzy manifestacji patriotycznych z lat 1861-1863 klęski nie zaznali, a więc się nie bali, nie byli obciążeni przez odium lęku o konsekwencje.

Wydaje się, że w Wielkim Księstwie Poznańskim demonstracje patriotyczne były bardziej „konkretne” w formie i hasłach, zawierały mniej akcentów mistycznych, niż ideologia inicjatorów żałoby narodowej i manifestacji w Królestwie Polskim. Faktem jest, że w Wielkopolsce nikt nie strzelał do manifestantów i nie było powodu do podkreślania żałoby. Atmosfera ta jednak tu docierała i odgrywała znaczną rolę w kształtowaniu postaw; pieśń *Boże coś Polskę* i chorał Ujejskiego *Z dymem pożarów* coraz częściej można było usłyszeć podczas różnych uroczystości narodowych także w Poznańskim. W zaborze pruskim uaktywnili się wnukowie „szwadronistów” i synowie żołnierzy spod Książa i Miłosławia, zaczęły się mnożyć spiski wśród młodzieży gimnazjalnej.

Wybuch powstania styczniowego niemal od razu postawił Wielkopolskę w nowym, nie znanym dotąd położeniu. Ziemie zaboru pruskiego stały się pomostem łączącym Zachód z walczącym Królestwem. To tędy wiodły główne szlaki przerzutu ludzi, broni i pieniędzy, a także szlaki kurierskie. Można przyjąć, że choć na obszarze Wielkopolski (tym, który znajdował się w granicach państwa pruskiego) nie toczono większych bitew i potyczek, teren ów był integralną częścią walczącego państwa podziemnego – w znacznie większym stopniu niż w latach 1830-1831. Instytucją kierowniczą i koordynującą te działania były kolejne komitety; przedostatnim i najaktywniejszym kierował Jan Działyński, właściciel Kórnika, syn Tytusa, dawnego żołnierza jazdy poznańskiej z powstania listopadowego.

Przez Wielkopolskę przedostawali się do Królestwa zarówno Polacy z emigracji, jak i ochotnicy cudzoziemscy, nie brakowało też powstańców z regionu; łącznie było ich kilka tysięcy. W annałach po-

wstania styczniowego utrwaliły się nazwiska Edmunda Taczanowskiego, Edmunda Calliera, Kazimierza Mielęckiego, Leona Younga de Blankenheima, Emila Fauchaux, Mariana Langiewicza, Józefa Oxińskiego, Franciszka Kopernickiego. Wielkopolanie walczyli m.in. pod Brdowem, Mieczownicą, Ignacewem, Pyzdrami, Kruszyną, Olszakiem i Ślesinem. Tragiczny był los licznej grupy uczniów gimnazjum w Trzemesznie, zdziesiątkowanych w bitwie pod Dobroszowem.

Oczywiście władze pruskie nie były bierne wobec tego, co działo się w Poznaniu. Już 8 lutego 1863 roku została zawarta umowa prusko-rosyjska, zwana konwencją Alvenslebena, określająca zasady współpracy podczas zwalczania polskiego ruchu niepodległościowego. Aresztowaniami rozbito komitet Działyńskiego, a w lipcu 1864 roku doszło do tzw. drugiego procesu moabickiego. Tym razem sądzono ponad 100 Poznańczyków, którzy uczestniczyli w walce i zostali schwytani podczas rekonwalescencji lub chwilowego pobytu w Księstwie, bądź też zdemaskowani w czasie udzielania pomocy walczącemu Królestwu. Wyroki były (relatywnie biorąc) mniej surowe niż w 1847 roku, ale też i nie wyglądało na to, by okoliczności polityczne miały zmniejszyć wymiar i skrócić wykonanie kary. Dodatkowym ciosem dla przyszłości młodzieży polskiej zaangażowanej w powstaniu było uniemożliwienie dalszej nauki uczniom i studentom, słynne zaś gimnazjum trzemeszeńskie zostało zamknięte.

Po upadku powstania styczniowego życie w Wielkim Księstwie Poznańskim wróciło do stanu sprzed 1863 roku. Konwencja Alvenslebena zapoczątkowała okres zbliżenia politycznego między Prusami i Rosją, tak bardzo potrzebnego kanclerzowi Bismarckowi w realizacji planu zjednoczenia Niemiec. Mając zabezpieczoną granicę wschodnią państwa, można było już pomyśleć o poczynieniu odpowiednich kroków wobec Danii, Austrii i Francji – co też i niebawem nastąpiło. Po zwycięskiej wojnie z Danią (1864) i Austrią (1866) utworzony został Związek Północnoniemiecki, w skład którego weszły także Wielkie Księstwo Poznańskie i Pomorze Gdańskie. Na niewiele zdały się protesty posłów z Koła Polskiego.

W tej sytuacji w Poznaniu pojawiły się oznaki bardziej zorganizowanego oporu wobec jednoznacznie już germanizacyjnej polityki rządu, a zwłaszcza Bismarcka, który otwarcie zaczął występować przeciw niewdzięcznym Polakom. W dalszym ciągu składano wnioski dotyczące szkolnictwa, uniwersytetu w Poznaniu, rozszerzenia dostępu

Polaków do urzędów – bezskutecznie. Sytuację zaogniła w tym czasie również postawa arcybiskupa Mieczysława Ledóchowskiego, który konsekwentnie wspierał rząd w programie „wyciszenia” działaczy narodowych w Księstwie; czasy jego heroizmu w okresie kulturkampfu miały dopiero nadejść. Kolejny naczelny prezes prowincji, Karl von Horn, uważnie obserwował rozwój wydarzeń, a polityka Bismarcka miała w nim lojalnego, rzetelnego realizatora.

Polskie środowiska gospodarcze starały się jednak zachować odrębność i swobodę działania. Powołano Towarzystwo Moralnych Interesów, w 1866 roku w Dolsku powstało pierwsze kółko rolnicze, zaczęto tworzyć spółki oszczędnościowo-kredytowe; z czasem instytucje te podjęły ze sobą ścisłą współpracę, tworząc zręby przyszłej siły gospodarczej polskich środowisk w Poznaniu, z taką maestrią już wkrótce kierowanej przez Augustyna Szamarzewskiego i Piotra Wawrzyniaka.

Swoje organizacje tworzyli też przemysłowcy – jak wówczas zwano rzemieślników, jako że dzisiejsze znaczenie tego pojęcia można było nadal odnosić wtedy jedynie do Hipolita Cegielskiego, a od 1868 roku do jego syna i następcy – Stefana. Wcześniej zaczęła się ukazywać prasa o ściśle sprecyzowanym nie tylko zakresie merytorycznym, ale i kierunku ideowym. Znamienne, że nurt tradycyjny, dość konserwatywny, zyskał w Poznańskim przewagę nad poglądami liberalnymi bądź demokratycznymi. Umocniło swą pozycję Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, ale ruch kulturalny w dużej mierze zależał od aktywności osób przybywających w Poznańskie z zewnątrz, z innego zaboru bądź z zagranicy. Jednak podejmowano starania w tym kierunku, zwłaszcza dążono do budowy stałego polskiego teatru w Poznaniu, czego – na razie przynajmniej – nie udawało się zrealizować.

Po upadku Wiosny Ludów Emilia Sczaniecka najczęściej przebywała w Pakosławiu, Posadowie i Poznaniu. Własnego mieszkania tam nie wynajmowała, zatrzymywała się u siostry. W każdym z tych miejsc spotykała się z wysłannikami emigracji, w dalszym ciągu była w kontakcie z coraz bardziej starzejącymi się działaczami TDP. W pracy tej miała godnego siebie przeciwnika: ówczesnym dyrektorem policji w Poznaniu był Edmund Baerensprung, znacznie mniej subtelny i bardziej brutalny w działaniach od Minutolego. Już w czerwcu 1852 roku nastąpiły kolejne aresztowania, wyegzekwowano również wydalenie poza granice Księstwa Marii Bolewskiej; pretekstem było jej zaan-



15. Wnętrze pokoju Emilii Szanieckiej

gażowanie w manifestacyjną mszę żałobną za duszę rozstrzelanego w lutym 1847 roku Antoniego Babińskiego. W lipcu tegoż roku Szaniecka czynnie pomogła w udanej ucieczce z więzienia Ludwika Bulewskiego, jednego z działaczy niepodległościowych. Wręcz sensacyjne szczegóły tej akcji momentami do złudzenia przypominały okoliczności niegdysiejszej ucieczki arcybiskupa Marcina Dunina z Berlina do Poznania. Jeszcze w tym samym 1852 roku panna Emilia kwotą 5 tys. franków wspomogła szkołę polską w Batignolles, zagrożoną eksmisją z zajmowanego dotychczas budynku.

Następne lata upływały w miarę spokojnie, ale już wkrótce zaszła potrzeba kolejnych oszczędności związanych z kryzysem żywnościowym w Księstwie. Klęski żywiołowe doprowadziły do wielkiego niedoboru płodów rolnych i fali głodu. W rezultacie w latach 1853-1855 Szaniecka zawiesiła wszelkie swoje wyjazdy zagraniczne (choć z racji



16. Pałac Szanieckich w Wąsowie

kolejnych kłopotów z chodzeniem kuracja bardzo by się jej przydała) i zajęła się ratowaniem gospodarki w majątku.

Był to czas równie ciężki dla polskich ziemian, jak pomyślny dla administracji pruskiej. Mniej zaradni i przezorni właściciele ziemscy, chcąc podtrzymać podupadającą gospodarkę, zaciągali ryzykowne kredyty, których później nie byli w stanie spłacić. Owa pułapka zadłużeniowa spowodowała przejście licznych majątków polskich w ręce niemieckie. W tym właśnie czasie los taki spotkał też jedno z rodowych gniazd Szanieckich – Wąsowo. Konstanty Szaniecki nie poradził sobie z trudnościami gospodarczymi i w rezultacie utracił majątek, do którego panna Emilia była szczególnie przywiązana. Wielokrotnie później dochodziło na tym tle do rozdzwinków między rodzeństwem, jako że pan Konstanty był dobrym żołnierzem i szczerym patriotą, lecz nie najlepiej się spisał jako gospodarz.

Od tej pory Szaniecka stała się bardzo wrażliwa na sprawy polskiej własności ziemskiej w Księstwie. Na przykładzie własnej rodziny zorientowała się w niebezpieczeństwie, jakie zaczęło grozić polskiemu stanowi posiadania, odtąd też stała się aktywną orędowniczką

działań gospodarczych, które miały doprowadzić do uratowania polskich majątków ziemskich przed przejściem na własność Niemców. Spotykane przeważnie opisy heroicznych walk Polaków o zachowanie ziemi w rękach prawowitych, dotychczasowych właścicieli nie uwzględniają realiów epoki. Podobnie jak tylko pewien odsetek mieszkańców Wielkiego Księstwa Poznańskiego angażował się w czynną pracę niepodległościową (występując jedynie w akcjach masowych), tak wśród ziemian było wielu właścicieli majątków, którzy nie zwracali uwagi na narodowość osoby kupującej od nich ziemię; znacznie ważniejsza była dla nich wysokość proponowanej kwoty. Z jednej strony więc ziemianie i część tworzącej się burżuazji byli oparciem dla polskiego ruchu narodowego w Księstwie, z drugiej zaś w obydwu grupach byli ludzie swym działaniem nie przynoszący zaszczytu. Emilia Sczaniecka takie sprawy, po doświadczeniach rodzinnych, zaczęła traktować jednoznacznie: *czyn ich jest formalną zdradą i zaprzaństwem narodowym*. Nie każdy jednak podchodził do tych spraw tak zasadniczo, zaś panna Emilia była tego w pełni świadoma. Wiedziała też, że jeżeli sytuacja się nie zmieni, z czasem zabraknie ziemi do utrzymania potomstwa tych właścicieli majątków, którzy musieli pozbyć się ojcowizny. Liczyła się z koniecznością przekwalifikowania, wyjścia ze sfery ziemiańskiej. Oceniała więc sytuację trzeźwo, rzeczowo, prognozami wybiegając w przyszłość — jak się okazało — wcale nie tak odległą.

Od lutego 1855 roku, po śmierci Jędrzeja Moraczewskiego, zacieśniła się przyjacielska więź między Sczaniecką i jego siostrą Bibianną. Rodzeństwo to było zgodne i kochające się bardzo, obydwójce doskonale uzupełniali się intelektualnie i w pracy społecznej, dla której nawet poświęcili swe życie osobiste. W rezultacie, gdy Bibianna Moraczewska została sama, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Emilia Sczaniecka przywykła już do matkowania osieroconym, więc jakby przygarnęła i pannę Bibiannę, choć była ona młodsza od niej zaledwie o 7 lat. Wkrótce obydwie zaczęły tworzyć nierozłączny zespół współpracowniczek w różnego rodzaju przedsięwzięciach patriotycznych i narodowych. Działały razem już wcześniej, ale teraz była to więź niemalże rodzinna, bez wpływu górującego osobowością, wiedzą i doświadczeniem historyka. Moraczewska, jak można wywnioskować z treści zachowanego dziennika, była osobą konkretniejszą od Sczanieckiej, starała się też (w odróżnieniu od panny Emilii) unikać podniosłej



17. Bibiana Moraczewska (1811 - 1887)

retoryki. Choć dużo pisała, drukowała opowiadania, powieści i zajmowała się publicystyką, w ocenie ludzi była rzeczowa, stanowcza, niekiedy otwarta aż do przesady. Zdarzało się, że ta weredyczka potrafiła być nawet jednoznaczna w ocenie najbliższych krewnych przyjaciółki. Znając przywiązanie panny Emilii do rodziny i jej własne zdanie, takie stawianie sprawy musiało prowadzić do rozdzźwięków. A jednak współpracowały zgodnie. Moraczewska też, w porozumieniu ze Szczaniecką, w 1856 roku wyjechała do Warszawy na spotkanie z Narcyzą Żmichowską, odnawiając dawny kontakt, wymianę listów i wiadomości. Trzeba też było pomyśleć o przyszłości Anieli Dembowskiej i jej dzieci, którzy po śmierci męża i ojca znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji materialnej.

W tym czasie życie w Księstwie powoli zaczęło wracać do normy po wydarzeniach Wiosny Ludów. W styczniu 1856 roku Szczaniecka współorganizowała uroczystą mszę żalobną w kościele św. Marcina za duszę zmarłego dwa miesiące wcześniej Adama Mickiewicza. Jednocześnie lata 1855 - 1856 były okresem szczególnie szybkiego pozbywania się ziemi przez mniej zaradnych Polaków. Wkrótce po Wąsowie w ręce niemieckie przeszło Chraplewo Łąckich i Głuponie — zatem było o co walczyć i czego pilnować, zwłaszcza że równoległe z szalem rozrywek i zabaw rozpoczęła się fala bankructw. Dla Szczanieckiej przykro się rozpoczął także rok 1857: w początkach lutego zmarł bowiem jej długoletni przyjaciel i przewodnik po sprawach demokratycznych, Stanisław Worcell. Powoli jeden po drugim zaczęli na zawsze odchodzić jej przyjaciele i współpracownicy z 1831 roku — epoka się zamykała.

W tym czasie charakterystycznym akcentem działalności panny Emilii było nawiązanie kontaktu ze środowiskiem Królestwa Polskiego i Galicji; myślała nawet o wyjeździe do Lwowa. Zawarła znajomość m.in. z Jadwigą Łuszczewską (Deotymą), Felicją Wasilewską-Boberską, z Karolem Szajnochą. Sama też zaczęła być zapraszana dla uświetnienia uroczystych wydarzeń kulturalnych i naukowych. Znajomość z nią była traktowana jako zaszczyt i wyróżnienie, powoli sama stawała się instytucją.

Zgodnie z tą zasadą (tradycją, obyczajem, dowodem szacunku i uznania) zapraszano ją do odgrywania roli pani domu w czasie przyjazdu do Księstwa znakomitości artystycznych, jak w czerwcu 1858 roku, podczas wizyty w Poznaniu Ludwika Kondratowicza, czyli

Władysława Syrokomli. Żywo interesowała się też sprawą wystawienia w Poznaniu pomnika Adama Mickiewicza.

Nie wiadomo dziś, jaki wpływ na życie i działania Emilii Sczanieckiej miała sprawa tzw. prowokacji Baerensprunga. Onże prezydent policji w Poznaniu w 1858 roku, chcąc skompromitować i zdemaskować jak największy krąg polskich działaczy niepodległościowych, nawiązał kontakt z Gromadą Rewolucyjną Londyn, występując w imieniu nie istniejącej w Poznaniu organizacji spiskowej. Emigranci wzięli tę korespondencję za dobrą monetę i przysłali do Księstwa emisariusza Jakuba Majewskiego (ps. Algemon Rewita). Baerensprung liczył na to, że idąc jego śladem zlikwiduje siatkę czołowych konspiratorów wielkopolskich. Ci jednak przeczuli podstęp i odmówili kontaktów z Majewskim. Plan spalił na panewce, niefortunnego emisariusza policja chcąc nie chcąc musiała aresztować, zaś cała sprawa była tematem głośnego wystąpienia Władysława Niegolewskiego w sejmie pruskim, później zaś przyczyną końca kariery Baerensprunga w Poznaniu.

Znając charakter, metody działania i kontakty Emilii Sczanieckiej należy przypuszczać, że była ona doskonale zorientowana w istocie sprawy; nie wykluczone, że i sam „Rewita” szukał z nią kontaktu. Wysoce podejrzane działania emisariusza, brak jakiegokolwiek dodatkowej informacji o jego przybyciu musiały obudzić także czujność panny Emilii, która chyba nic na ten temat (celowo) nie zostawiła na piśmie.

Z interesującą inicjatywą gospodarczą wystąpiła Sczaniecka w 1861 roku. Klęski gnębiące ludność Wielkiego Księstwa Poznańskiego kilka lat wcześniej pozwalały obawiać się powtórzenia podobnej sytuacji w przyszłości i w każdej chwili. Głodni i ubodzy pracownicy to także zubożały i pozbawiony dochodów właściciel majątku, a zatem powstają dogodne warunki do licytacji włości i utraty kolejnego kawałka ziemi pozostającego w polskich rękach, na korzyść Niemców. Poza tym, jak wspominaliśmy, panna Emilia szczerze troszczyła się o bliźnich, pracowników folwarcznych i dbałość o ich byt uważała za swój obowiązek chrześcijański, ludzki, a także narodowy i patriotyczny. Zatem utworzyła w swych majątkach „Fundusz zapomóg dla dworskiej czeladzi i komorników w dobrach pakosławskich”. Podstawę owego funduszu stanowiła kwota 150 talarów z budżetu gospodarczego. Wypłata zapomogi oraz wysokość sumy przekazanej

poszkodowanym zależała od rodzaju nieszczęścia, a także postępowania danej osoby. Nie chodziło tu o nazbyt prosto rozumianą lojalność wobec panny Emilii, lecz o tzw. prowadzenie się, zachowanie trzeźwości, pracowitość itd. Zapomogi wypłacano 1 maja i 1 października każdego roku. Z kwoty tego funduszu przewidziana była także możliwość wypłaty szczególnych gratyfikacji najlepszym gospodarzom i robotnikom folwarcznym; okazją do tego wyróżnienia były coroczne dożynki. W przypadku zaś, gdy w danym roku nie wykorzystano całego funduszu, 30 talarów przeznaczano na dodatkowe wyróżnienia, zaś pozostała kwota stawała się częścią tzw. funduszu żelaznego, uruchamianego w sytuacjach szczególnych, wymagających nagłych decyzji, a będącego do wyłącznej dyspozycji Szczanieckiej.

Utworzenie funduszu zapomogowego było wówczas nowością; podobne inicjatywy, choć znacznie bardziej ograniczone, podjęli też Władysław i Zygmunt Niegolewscy oraz, wzorując się już na ciotce, Władysław Łącki i Stanisław Stablewski.

O warszawskich manifestacjach patriotycznych Szczaniecka dowiedziała się już w styczniu 1861 roku. Jako osoba doświadczona w sprawach politycznych zdawała sobie sprawę z wagi tych wydarzeń. Wiedziała, że jeśli protesty nie ustaną i władze rosyjskie nie poradzą sobie z gwałtownym wzrostem nastrojów patriotycznych w Królestwie, konfrontacja jest nieunikniona. Wystarczy jedno hasło, jedno pozornie drugorzędne wydarzenie, by cała prowincja została ogarnięta ogniem walk, a było oczywiste, że Wielkie Księstwo Poznańskie nie pozostanie bierne — a więc panna Emilia znów będzie potrzebna. Świadomość ta zmobilizowała Szczaniecką fizycznie i psychicznie, mimo że od wielu miesięcy miała podstawy do zmartwień. Kolejno odeszli: Gustaw Potworowski, Tytus Działyński, generał Franciszek Morawski — były minister wojny Królestwa Polskiego, poeta, właściciel Luboni koło Leszna. W 1861 roku zmarł też Joachim Lelewel, zatem zostało zerwane kolejne po Heltmanie ogniwo łączące ją ze środowiskiem emigracyjnym. Rok 1861 był dla panny Emilii trudny także z innego powodu: brat jej Konstanty w dalszym ciągu nie radził sobie z prowadzeniem majątku. W rezultacie jej rodzinne Brody również przeszły w ręce niemieckie, a Konstanty z liczną rodziną przeniósł się do Poznania. Tę wiadomość Szczaniecka ciężko odchorowała.

Nie było jednak czasu na rozpamiętywanie klęski rodzinnej i żalobnych wieści. Narastanie napięcia w Królestwie Polskim pozwalało się

spodziewać rychłej eksplozji. Zatem panna Emilia trochę z nawyku, trochę z chęci zapomnienia o problemach domowych, przede wszystkim zaś z poczucia obowiązku patriotycznego zaczęła organizować w Poznaniu kursy pielęgniarskie dla kobiet. Wykłady prowadzili jej doskonali znajomi jeszcze z 1848 roku – Teofil Matecki i Ludwik Gąsiorowski, a spotkania odbywały się w prywatnych mieszkaniach uczestniczek, przede wszystkim jednak u Korduli Stablewskiej.

W porównaniu z atmosferą poprzedzającą wybuch powstania listopadowego teraz Wielkopolska żyła przygotowaniami insurekcyjnymi w nieco inny sposób. Były, jak wtedy, msze patriotyczne, kolportowano zakazane druki i ulotki, przede wszystkim jednak wrzała podziemna praca organizacyjna, z góry określająca rolę Wielkopolski w przyszłym powstaniu zbrojnym. Ludzi przewidujących niepowodzenie całej akcji było niewielu, przeważał optymizm i gotowość do pomocy.

W otoczeniu panny Emilii pojawiło się już kolejne pokolenie społeczniczek chętnych do współpracy. Obok Bibianny Moraczewskiej stanęły u jej boku też Konstancja Jarochowska i Wanda z Kwileckich Niegolewska. Z nimi też z chwilą wybuchu powstania w styczniu 1863 roku przystąpiła Sczaniecka do tworzenia struktur organizacyjnych zbliżonych do komitetów opieki nad rannymi sprzed 15 lat. Czołowe organizatorki były jeszcze aktywne i w miarę sprawne, doświadczenie Wiosny Ludów sprawdziło się w praktyce, więc nie było powodu do wprowadzania zupełnie nowych pomysłów. Problem polegał jedynie na innym charakterze walk w 1848 roku i obecnie. Wtedy szpitale były tworzone legalnie i funkcjonowanie ich nie łączyło się z ryzykiem sankcji policyjnych. Teraz i walka toczyła się poza Księstwem, i udzielanie pomocy, nawet charytatywnej, groziło surowymi karami. Struktura mogła być więc taka sama lub podobna, lecz metody działania należało zmienić, dostosować do nowych realiów. Jednak Sczaniecka postanowiła zaryzykować i napisała wniosek do naczelnego prezesa prowincji o wyrażenie zgody na utworzenie w Księstwie lazaretów dla tych powstańców, którzy sami przekroczą granicę zaborów. O dziwo, choć dopiero po kilku tygodniach, ale zgodę taką otrzymała. W ten sposób nastąpiła też legalizacja istniejącego już, tajnego Wielkopolskiego Komitetu Niewiast.

Powstaje zatem pytanie o przyczynę owej zgody w obliczu postanowień konwencji Alvenslebena. Wydaje się, że chodziło po prostu

o uzyskanie wglądu w środowisko powstańcze, o jego penetrację pod pozorem chwalebnej przychylności dla inicjatyw samarytańskich. Byłoby to wówczas możliwe bez potrzeby uruchamiania inwigilacji, wywiadu, wprowadzania konfidentów itd. — lub przynajmniej pozwoliłoby na ograniczenie tych tradycyjnych form kontroli danego środowiska. Z kolei Szczaniecka chyba doskonale zdawała sobie sprawę z istoty rzeczy: z jednej strony więc skwapliwie wykorzystwała otwartą przed nią drogę do rozwinięcia akcji charytatywnej, podobnej do inicjatyw z 1848 roku, z drugiej zaś uruchomiła inny już nurt, konspiracyjny; w latach drugiej wojny światowej taką formę pracy określano mianem legalizacji.

Przede wszystkim w kwietniu 1863 roku Szczaniecka ujawniła tylko część struktur Wielkopolskiego Komitetu Niewiast. Sama, jak przed 15 laty, została w cieniu, zaś na przewodniczącą wybrano Gryzeldę Celestynę z Zamoyskich Działyńską, wdowę po hrabim Tytusie — zatem od razu było wiadome, w którym pałacu poznańskim była centrala organizacji. Reguła ta zemściła się w przypadku komitetu Działyńskiego, gdyż hrabia Jan też ulokował siedzibę owej instytucji w swym poznańskim domu, co znacznie później ułatwiło pracę policji pruskiej.

Działyńskiej podlegała Dyrekcja Komitetu, podzielona na trzy wydziały. Pierwszym, lekarskim, kierowali Szczaniecka i Teofil Matecki, drugim, zajmującym się opieką nad wdowami, sierotami i więźniami politycznymi — Wanda Niegolewska oraz doktor Zenkteller, trzecim, zaopatrzenia — Cecylia Działyńska i Jadwiga Różańska. Taki skład Dyrekcji ustalono ostatecznie i taki przekazano informacyjnie władzom.

Najważniejszy i najbardziej rozbudowany był wydział pierwszy. Szczanieckiej bardzo zależało na zaangażowaniu w nim jak największej liczby ochotników — lekarzy, sióstr szarytek i kobiet mających choćby wstępne przygotowanie do opieki nad rannymi. Do zadań wydziału należało również organizowanie szpitali oraz gromadzenie środków potrzebnych do funkcjonowania lazaretu: materiałów opatrunkowych, medykamentów, żywności, bielizny osobistej i szpitalnej itd. Jako osoba w tej pracy najbardziej doświadczona, kierowanie wydziałem panna Emilia wzięła na siebie, zaś jej najbliższym współpracownikiem odpowiedzialnym za sprawy ściśle medyczne był doktor Teofil Matecki — sprawdzony druh i pomocnik jeszcze z 1848 roku. Kasjerką wydziału została Anna Kosińska, Konstancja Łubieńska (już wtedy

65-letnia) — sekretarką, zaś Apolonia Matecka — administratorką. Współpracowały też: Antonina Morzycka, Magdalena Rekowska i lekarze: Ludwik Gąsiorowski, Wojciech Cunow, Maciej Kapuściński oraz Jordan i Gorczyca. Oprócz swych ewentualnych czynności zawodowych lekarze ci, reprezentujący środowiska medyczne Poznania, Środy i Strzelna, stanowili jakby radę lekarską całego Komitetu.

Wydział drugi rozpoczynał swą działalność dopiero po rozpoczęciu walki i rozwijany był w miarę narastania potrzeb. Początkowo chodziło tylko o opiekę nad wdowami i sierotami po poległych i zmarłych w szpitalach, a także nad tymi rodzinami, którym nie był w stanie zapewnić utrzymania powstaniec inwalida. Czas pokazał, że osoby pracujące w strukturze tego wydziału musiały zająć się również organizowaniem pomocy więźniom, czyli powstańcom aresztowanym za udział w walkach za kordonem, a także ich rodzinami. Tu z Wandą Niegolewską i doktorem Zenktellerem współpracowały Waleria Motty, Tekla Niegolewska, a także żona Maksymiliana Jackowskiego (patrona kółek rolniczych) Maria, Maria i Michalina Czapskie, Konstancja Jarochowska.

Największą swobodę działania miały członkinie wydziału trzeciego, które też musiały wykazać się wyjątkową operatywnością w organizowaniu zaopatrzenia dla wszystkich przedsięwzięć Komitetu.

W instrukcji organizacyjnej Sczaniecka z naciskiem podkreśliła dobrowolność udziału w pracach organizacji, niezależnie od wydziału i pełnionej funkcji, a także możliwość odejścia w każdej chwili. Wielka musiała być siła autorytetu moralnego Sczanieckiej, skoro mogła sobie pozwolić na wystąpienie z taką alternatywą. Z reguły im pewność, moralna siła przywódcy organizacji są mniejsze, tym bardziej surowe obowiązują w niej rygory i sankcje za wyłamanie się ze wspólnoty. Tutaj panna Emilia dała współpracownikom swobodę wyboru, ale można sobie wyobrazić opinię, jaką w społeczeństwie zyskałaby sobie osoba, która by się nie sprawdziła i zrezygnowała w dalszej współpracy. Odmowa pomocy i nielojalność wobec Sczanieckiej mogłaby narazić na przykre konsekwencje towarzyskie, co wtedy miało ogromne znaczenie dla zachowania pozycji środowiskowej. Współpraca z panną Emilią była zaszczytem, wyróżnieniem — okazji takiej po prostu nie wypadało zlekceważyć.

Z drugiej zaś strony Sczaniecka wiele ryzykowała i musiała uważać na dobór osób przewidzianych do podejmowania konkretnych działań. Dotyczyło to zwłaszcza pań zaangażowanych w pracę wydziału

drugiego, gdy w czasie opieki nad więźniami należało się liczyć z wykonywaniem także funkcji łącznika, i to w bardzo konkretnych działaniach konspiracyjnych. Ewentualna prowokacja policyjna czy próba wprowadzenia informatora w środowisko komitetowe raczej nie wchodziło w rachubę, poszczególne damy znały się dobrze od lat, a środowisko nie było aż tak liczne, by można było niepostrzeżenie dołączyć kogoś nowego, nieznanego. Rzecz polegała na czymś innym: na doborze osób o dużej odporności psychicznej i umiejętności zachowania się w trudnych sytuacjach. Z czasem zresztą, w miarę przesuwania się wysiłku opieki z osób rannych na uczestników walk ponoszących konsekwencje swej patriotycznej postawy, panie z wydziałów drugiego i trzeciego musiały połączyć swe działania. Szczaniecka wciąż jednak stała na czele całej organizacji i poszczególnych przedsięwzięć, ale za osłoną formalnej przewodniczącej, hrabiny Działyńskiej.

Nielegalnych prac było coraz więcej. Pałac przy Starym Rynku stał się organizacyjną i techniczną centralą Komitetu. Liczne panie ochotniczki zaangażowano tu do szycia bielizny szpitalnej i pościelowej oraz przygotowywania materiałów opatrunkowych. Kierującą tą pracą osoby z wydziału zaopatrzenia coraz częściej jednak do tej legalnej pracy dołączały także inną działalność: gromadzenie oporządzenia wojskowego, szycie czapek, elementów umundurowania, wreszcie osiągnęły najwyższy stopień wtajemniczenia – zaczęły pośredniczyć w przemyśle broni.

Rozbudowywaniu centrali Komitetu towarzyszyło tworzenie ogniw tej organizacji w terenie, zwłaszcza w powiatach sąsiadujących z granicą Królestwa Polskiego. Dodatkowo (w porównaniu z realiami 1848 roku) trzeba było pomyśleć o transporcie rannych przez granicę – strzeżoną przecież w obydwu kierunkach. Samarytanki nie miały z tym problemów, ale ich podopieczni byli pod obserwacją, zanim, po wyzdrowieniu, nie ulokowano ich w twierdzy. W trakcie Wiosny Ludów takich problemów nie było. Tam nie zachodziła potrzeba ochrony rannych od samego początku.

Od strony organizacyjnej wprowadzono też inną nowość: punkty etapowe, do których znoszono lub zwożono rannych, zanim po udzieleniu pierwszej pomocy zostali przetransportowani do szpitala. Organizacja taka była konieczna ze względu na znacznie większą odległość lazaretu od pola walki niż w realiach 1848 roku; ponadto nie było czasu do stracenia ze względu na porę roku. Zimy ówczesne, znacznie

bardziej surowe od dzisiejszych, nie dawały szansy przeżycia pokaleczonemu, zszokowanemu żołnierzowi leżącemu na polu walki, o ile w ciągu kilku godzin od chwili zranienia nie został opatrzony i ulokowany w zamkniętym, ogrzonym pomieszczeniu. W czasie walk Wiosny Ludów (przynajmniej na przełomie kwietnia i maja 1848 roku) było w Wielkopolsce zimno, mokro i deszczowo, ale ranni nie ginęli od mrozu. System udzielania pomocy w czasie powstania styczniowego świadczy o zmyśle organizacyjnym Szanieckiej i jej orientacji w nowych kierunkach rozwoju wojskowej służby medycznej.

Udzielanie pomocy rannym na pobojuwiskach, a zwłaszcza zorganizowanie sprawnego transportu rannych przez granicę było niemożliwe bez szerokiego zaangażowania kobiet w nadgranicznych komórkach Komitetu. Można tu wymienić choćby Marię Skórzewską, Magdalenę Rekowską, Eleonorę Koszutką, Petronelę Skórzewską, nie szczędziła sił w pracy terenowej także Wanda Niegolewska. Czas pokazał, że dobrze spisali się okoliczni chłopci, którzy często z własnej inicjatywy dostarczali podwozy, a w ich domach organizowano przejściowe lazarety. Wyraźnie było tu widać kontynuację postawy z 1848 roku, tak bardzo kontrastującą z zachowaniem dużej części ludności wiejskiej Królestwa Polskiego w czasie powstania styczniowego. Wiele z tych punktów Szaniecka utworzyła osobiście, sama też zwoziła tam leki i środki opatrunkowe.

Do pierwszych walk w pobliżu granicy Księstwa doszło 17 lutego 1863 roku pod Krzywosądem i 21 lutego pod Nową Wsią — natychmiast dotarły tam Paulina Biesiekierska i Magdalena Rekowska, potem dołączyła do nich Szaniecka. Lżej ranni zostali umieszczeni w tymczasowych lazaretach urządzonych w majątkach dwu pierwszych pań: w Płowcach i Wójcinie, ciężiej poszkodowanych zaś panna Emilia zabrała do głównego szpitala Komitetu Niewiast Wielkopolskich, urządnego w Strzelnie. Tam zajęli się nimi lekarze Gorczyca i Wojciech Cunow. Oficjalnie szpital ten jeszcze nie istniał, gdyż władze pruskie wyraziły zgodę na jego funkcjonowanie dopiero w kwietniu 1863 roku, ale nie przeszkadzano w gromadzeniu tam rannych powstańców. Po prostu dla policji korzystniej było mieć podejrzanych w kilku znanych miejscach, niż szukać ich po dworach i prywatnych domach, Wprawdzie i tak większość rannych powstańców tam właśnie była ukrywana, lecz przy szczególnym znaczeniu Wielkopolski dla powstania każda forma kontroli miała duże znaczenie.

Wkrótce w lazarecie w Strzelnie zgromadzono przeszło 120 rannych z bitew pod Bieniszewem, Mieczownicą, Ślesinem, Olszową i Dobroszowem, nie licząc tych, którzy z braku miejsca znaleźli schronienie w prywatnych domach. Sama Szaniecka, mimo swych 59 lat i nie najlepszego stanu zdrowia, jeździła na pola walk, opatrywała, transportowała rannych i kierowała całym systemem udzielania pomocy. Wykonywała w zasadzie tę samą pracę, co w 1848 roku, choć w nieco zmodyfikowanej i utrudnionej formie. W każdym razie pracowała znacznie ciężiej niż wtedy, gdy dopiero zaczynała swą działalność samarytańską w roku 1831. W czasach próby potrafiła wydobyć z siebie maksimum woli i wysiłku, nie bacząc na wiek, zmęczenie i dolegliwości zdrowotne. Zaabsorbowana bez reszty wykonywaną pracą, nie miała czasu na zajmowanie się własnymi problemami; na to przyszła pora później.

Z czasem praca nabrała cech bardziej zorganizowanych, a do udzielania pomocy zaangażowano wcale liczne grono kobiet – nawet tych, które wcześniej takimi sprawami się nie zajmowały. Znamienne, że żołnierze pruscy i rosyjscy im nie przeszkadzali, zwłaszcza gdy jedni widzieli „w akcji” powszechnie przez nich szanowaną Emilią Szaniecką, a drudzy przekonali się, że samarytanka udziela pomocy niezależnie od narodowości rannego i strony walczącej.

Wkrótce okazało się, że pomysł lokalizacji głównego szpitala na Kujawach, w Strzelnie, był słuszny. Udzielano tu nie tylko pomocy rannym znośnym z pobojowisk za kordonem, ale utworzono też bazę materiałów sanitarnych, które stąd były później dostarczane do lazaretów przejściowych, rozmieszczonych w terenie. Jednak główna baza materiałowa wszystkich szpitali powstańczych w Wielkopolsce znajdowała się w poznańskim pałacu Działyńskich. Wkrótce w szpitalu w Strzelnie opiekę nad rannymi objął sam doktor Teofil Matecki, zaś Szaniecka wzięła na siebie obowiązki administracyjne, zaopatrzeniowe, a gdy zaszła potrzeba sama przystępowała do pracy pielęgniarskiej. Jej prawą ręką w tych sprawach była Magdalena Rekowska, córka pułkownika Andrzeja Niegolewskiego.

Pracy było bardzo dużo, a jej natężenie (co oczywiste) zależało od intensywności walk po drugiej stronie granicy. Początkowo przewidywano w Strzelnie miejsce dla 20 - 30 rannych, ostatecznie jednak bywało ich tam aż do 120. Ale i ta liczba łóżek okazała się niewystarczająca i napływających poszkodowanych umieszczano w prywatnych domach.

Podobnie wyglądała sytuacja w innych pogranicznych miejscowościach Księstwa, m.in. w Trzemesznie, Inowrocławiu, Gnieźnie, Pleszewie i Ostrzeszowie. Istniały tam wprawdzie lokalne lazarety zarządzane przez Szczaniecką i jej współpracowniczki, jednak napływ rannych z bitew toczonych niemal wzdłuż całej granicy był tak duży, że zaszła potrzeba ich ulokowania w stałych szpitalach miejskich, a nawet w prywatnych domach. Każda z tych możliwości miała swe pozytywne i mniej korzystne strony. W lazarecie i szpitalu bowiem ranni mieli zapewnioną najbardziej fachową opiekę, ale za to policja bez trudu mogła sprawować nad nimi kontrolę. Jawność funkcjonowania była przecież jednym z głównych warunków istnienia powstańczych szpitali. Z kolei w tym przedsięwzięciu zawierał się punkt niebezpieczny: formy zachowania kontaktu z nieleganymi lazaretami tworzonymi przez Szczaniecką i jej podwładne po drugiej stronie granicy. Tu każda nieostrożność groziła konsekwencjami trudnymi do przecenienia — łącznie z ewentualną masakrą rannych i podróżą personelu medycznego na Syberię.

Szczególnie ciężkie były dla panny Emilii dni z końca kwietnia 1863 roku. Niemal dzień po dniu (jak w 1848 roku) musiała organizować pomoc rannym na pobojuwiskach pod Nową Wsią i Brdowem. Pierwsza z tych bitew, stoczona przez Alojzego Seyfrieda, zakończyła się pomyślnie i problem zasadniczy polegał na odpowiednim zorganizowaniu pomocy dla rannych Rosjan pozostawionych na polu walki. Znacznie trudniej było pod Brdowem, gdzie oddziały rosyjskie rozgromiły zgrupowanie Leona Younga de Blankenheima. Na polu bitwy zostało ponad 50 poległych powstańców, 68 było rannych. Tu udzielano pomocy przez całą noc po zakończeniu walki, a następnego dnia znoszono rannych do pobliskiej wsi.

Był to dla Szczanieckiej okres, jak wspomniano, niezwykle trudny. Nie pierwszej już młodości, pracowała ciężiej niż w 1831 roku; podobno pod Brdowem z przemęczenia nawet na chwilę straciła przytomność. Wreszcie postanowiła przez jakiś czas zająć się tylko bieżącym udzielaniem pomocy na coraz to nowych pobojuwiskach. W rezultacie nie wracała do Księstwa przez kolejne trzy tygodnie. Zajmowała się także rannymi, którzy już byli ulokowani w tymczasowych lazaretach w Brdowie, Kramsku i Babinku, szkoliła nowe pielęgniarki. Ograniczyła się do pracy na miejscu, od czasu do czasu jedynie odbierając z Poznania przesyłki pieniężne oraz paczki ze środkami opatrunkowymi i medykamentami.

Wkrótce doszło do kolejnej bitwy – pod Ignacem (8 maja 1863 roku), gdzie Rosjanie rozbili zgrupowanie Edmunda Taczanowskiego. Na polu walki zostało tym razem 160 poległych powstańców i tylko 80 rannych, jako że zwycięzcy nie brali jeńców. Podobnie jak pod Brdowem, tak i na polach Ignacewa zostało wielu synów zasłużonych działaczy wielkopolskich. Jeden syn Karola Libelta w tych walkach poległ, drugi był ciężko ranny, straty poniosły rodziny Turnów, Węgieńskich, Jackowskich, Niegolewskich, Szanieckich (z linii pułownika Ludwika), Żółtowskich, Sokolnickich, Przyłuskich i Thielów.

Tym razem panna Emilia znalazła się na poboju niemal natychmiast po zakończeniu walki. Widok pola niedawnego starcia był wstrząsający i nawet uodporniona na podobne wrażenia Szaniecka początkowo miała trudności z opanowaniem się. Z okolicy zjechali się wszyscy lekarze będący w pobliżu, do akcji pomocy włączyły się też panie, które na wieść o klęsce przybyły na poboju, by odnaleźć swych bliskich. Praca nie była łatwa, gdyż tym razem pojawiające się w pobliżu oddziały kozackie nastawione były wrogo do samarytanek; bywało, że panna Emilia musiała ukrywać swą tożsamość. Aby uniknąć prześladowań, starano się w każdym lazarecie mieć przynajmniej jednego rannego Rosjanina, który w razie zagrożenia mógł zaświadczyć o humanitarnym traktowaniu rannych, niezależnie od narodowości czy strony walczącej. Kilkakrotnie owa metoda się sprawdziła.

Cały kwiecień i początek maja był dla Szanieckiej okresem wymagającym ogromnego wysiłku fizycznego i odporności psychicznej. Niemal wszyscy świadkowie owych wydarzeń są pełni podziwu i uznania dla odporności panny Emilii. Ta nie najmłodsza już kobieta, osoba o raczej słabym zdrowiu i wrażliwa, tym razem (pomimo chwilowych objawów przemęczenia) była niezmordowana. Napięcie psychiczne nawet zniwelowało dolegliwości nóg i panna Emilia widywana była w ciągłym ruchu. Prędzej czy później musiała zwolnić tempo i pomyśleć o odpoczynku: w połowie maja 1863 roku wróciła do Poznania, potem znów pojawiła się w Strzelnie.

Tu zastała już zupełnie nową sytuację. Po zdekonspirowaniu komitetu Działyńskiego i aresztowaniach władze pruskie zażądały wykazów rannych przebywających w poszczególnych lazaretach. Trzeba więc było jak najszybciej przeprowadzić analizę stopnia zagrożenia represjami każdego z powstańców i w razie potrzeby zarejestrować „delikwenta” z fałszywymi danymi. Głównie chodziło o uchronienie

przed aresztowaniami (po wyzdrowieniu) powstańców pochodzących z Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Zaczęto więc zza kordonu przywozić znajdujące się tam dokumenty osobiste; szczególnie cenione były dokumenty osób już nie żyjących. Jednak nie udało się w ten sposób zabezpieczyć wszystkich zagrożonych aresztowaniami, zresztą byłoby to dla policji podejrzane i spowodowałoby nieobliczalne konsekwencje. W rezultacie niektórzy z już podleczonych powstańców znaleźli się w więzieniu w Inowrocławiu i tam czekali na rozprawę sądową za udział w powstaniu. Nie do pozazdroszczenia był też los rannych Królewaków. Mogli być oni wydani władzom carskim, a wtedy czekała ich szubienica, pał egzekucyjny lub katorga. Sposobem ratowania tych ludzi było załatwianie im fałszywych dokumentów (których i tak nie było za wiele, nawet dla powstańców z Wielkopolski) lub przerzucenie na Zachód, gdzie powiększali grono emigrantów.

Gdy było to możliwe, panna Emilia starała się też informować rodzinę rannego o miejscu pobytu bliskiej im osoby. Następowaly wtedy odwiedziny, ale nie zawsze stan zdrowia powstańca pozwalał na transport. Znany jest tragiczny los jednego z podopiecznych Szanieckiej, księdza Witolda Miaskowskiego (syna Ignacego, weterana powstań z lat 1831 i 1848), który był kapelanem w oddziale Kazimierza Mielęckiego. Ranny w boju, kurował się w lazarecie w Strzelnie. Szaniecka zawiadomiła rodziców o miejscu jego pobytu i ksiądz Miaskowski zdążył jeszcze zobaczyć się z matką. Po wyleczeniu duchowny wrócił do swej parafii w Złotkowie pod Kleczewem (w Konińskim), ale wkrótce został aresztowany i wywieziony na Syberię, gdzie zmarł.

Akcja „legalizacyjna” prowadzona była równolegle z bieżącą pracą pielęgniarską. W dalszym ciągu jedynym jej oparciem była ofiarność polskiej społeczności Księstwa, która przez kilkanaście kolejnych miesięcy zaopatrywała powstańcze szpitale we wszystko, co było potrzebne do ich funkcjonowania. O rozmiarze wysiłku może świadczyć liczba rannych, a potem rekonwalescentów, których zależnie od rozwoju wydarzeń w Królestwie było jednorazowo od stu kilkudziesięciu do kilkuset we wszystkich szpitalach od Strzelna po Ostrzeszów. Nawet zakładając skłonność do przesady, jaka cechuje dane liczbowe zachowane w dziewiętnastowiecznych relacjach, trzeba przyznać, że wysiłek był rzeczywiście duży.

Interesującą formą działalności charytatywnej była także praca „na delegacji” — jak wówczas, gdy Sczaniecka się dowiedziała, że w Częstochowie w zakonspirowanym szpitalu powstańczym leżą ranni — ochotnicy z Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Natychmiast ruszyła tam grupa samarytanek, oficjalnie pod szyldem pielgrzymki na Jasną Górę.

W listopadzie 1863 roku komisarzem pełnomocnym Rządu Narodowego w zaborze pruskim został Julian Łukaszewski. Był to już czas dyktatury Romualda Traugutta, który zamierzał (bardzo już poniewczasie) przekształcić polskie oddziały partyzanckie w armię możliwie zbliżoną do wojsk regularnych. Koncepcja ta wymagała ujednoczenia i centralizacji także wszelkich instytucji związanych z prowadzoną walką i siłami zbrojnymi — niezależnie od zaboru. Zakładano, że co prawda wojna toczy się w Królestwie Polskim, jednak Galicja i Poznańskie, ze względu na funkcje i zadania wykonywane na rzecz powstania, powinny być w maksymalnym stopniu zintegrowane.

Regułą tą objęto również organizacje kobiece działające we wszystkich trzech zaborach. Podstawą, wzorcem do ich tworzenia miało być stowarzyszenie „Piątek” (od obowiązkowej liczby wprowadzanych następnych współpracowniczek przez każdą wtajemniczoną), funkcjonujące w Królestwie Polskim. W lutym 1864 roku Łukaszewski na posiedzeniu tajnego Wydziału Wykonawczego zaboru pruskiego przedstawił projekt struktury i zasad działania owej organizacji pod nazwą „Stowarzyszenie Niewiast”; w myśl owych założeń miało ono podlegać Komisji Lekarskiej przy Wydziale Wojny Rządu Narodowego.

Nowa koncepcja, zmierzająca do ujednoczenia systemu funkcjonowania organizacji kobiecych we wszystkich trzech zaborach, znacznie jednak ograniczyła ich samodzielność. Ponadto Łukaszewski starał się wciągnąć do pracy kobiety niezależnie od ich statusu społecznego i środowiska, z myślą o przyszłym rozszerzeniu zadań o pracę kulturalno-oświatową i narodową. Równocześnie wielkopolski Komitet Niewiast został włączony do nowo tworzonej organizacji, a gromadzone fundusze miały być przekazane do dyspozycji władz powstańczych.

Decyzja ta wprowadziła wiele zamieszania do działalności wielkopolskiej organizacji kobiecej. Dotychczas poznańskie samarytanki były niezależne, same też decydowały o sposobie rozdziału zebranych materiałów i funduszy. Teraz zaczęły się zdarzać przypadki przekazywania

przez władze powstańcze zgromadzonych kwot na cele wojskowe — to zaś od razu znajdowało odbicie w pogorszeniu opieki nad rannymi, którzy składali skargi z tego powodu i tak koło absurdu się zamykało. Ostatecznie w czerwcu 1864 roku zdecydowano, że pieniądze zgromadzone przez Komitet Niewiast mają być przeznaczone wyłącznie na cele związane z opieką nad rannymi w ten sposób, że jedna ich połowa zostanie „w terenie”, druga zaś pozostanie do dyspozycji Głównego Komitetu Niewiast w Poznaniu na utrzymanie szpitali. Wydaje się jednak, że nie było już czasu na wprowadzenie dalej idących zmian ze względu na upadek powstania. Zatem po chwilowym zamieszaniu i nieporozumieniach wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

Emilia Szczaniecka niezmiennie pozostawała na stanowisku współkierownika wydziału lekarskiego i nadal zajmowała się opieką nad podległymi jej szpitalami. Nastąpiła jednak stopniowa zmiana kierunku działalności. Walki w Królestwie Polskim powoli wygasły i coraz mniej rannych napływało do lazaretów. Trzeba więc było pomyśleć o przyszłości chorych, którzy musieli brać pod uwagę aresztowanie w momencie opuszczenia szpitala. W 1863 roku władze początkowo zajmowały się tylko ochotnikami przekraczającymi granicę Królestwa Polskiego, ale w miarę upływu czasu zaczęły się interesować także pacjentami lazaretów. Zdarzały się nawet przypadki zbyt pospiesznego zabierania ozdrowieńców, którzy w warunkach inowrocławskiego więzienia znów zaczęli chorować. Po licznych protestach więc na pewien czas zostawiono rekonwalescentów w spokoju. Teraz jednak, w 1864 roku, skrupuły się skończyły, niemal każdy ozdrowieniec był zatrzymywany przez policję i rozliczany za udział w powstaniu. Zatem prace „legalizacyjne” stały się bardziej aktualne od opieki nad rannymi — obecnie coraz częściej już rekonwalescentami.

Wzrosła rola drugiego wydziału Komitetu, który zajmował się działalnością dobroczynną, udzielaniem wsparcia więźniom, sierotom i wdowom po poległych, rodzinom uwięzionych. Powstańcom osadzonym w więzieniach w Inowrocławiu, Mogilnie i Trzemesznie wysyłano przede wszystkim ciepłą odzież i bieliznę, wykonywaną głównie w szwalni uruchomionej w pałacu Działyńskich. I tak nie udało się pomóc wszystkim, jako że każde więzienie w zaborze pruskim pełne było uczestników powstania styczniowego. Przyjmuje się, że uwięziono ich około tysiąca; najważniejszych przewieziono do Berlina — do Moabitu i Hausvogtei.

Powtórzyła się więc sytuacja z lat 1846-1847 – w tych samych więzieniach znaleźli się synowie uczestników spisku poprzedzającego wydarzenia Wiosny Ludów. Tamtym wytoczono wielki proces zakończony ciężkimi wyrokami, a potem triumfem wiosny 1848 roku. Wiele okoliczności wskazywało teraz na przypomnienie wydarzeń sprzed kilkunastu lat, ale szanse na tak pomyślne zakończenie sprawy były niewielkie. Jak w 1847 roku, tak i teraz do Berlina ruszyły kobiety wielkopolskie, by pomóc uwięzionym, ale i uruchomić koneksje i znajomości dla ratowania mężów, synów i braci. Wyjechały tam więc m.in. Wanda Niegołęwska, Tekla Kwilecka, Maria Czapska, Bibianna Moraczewska; Kwilecka przekroczyła nawet dozwolone granice szukania pomocy i sama stanęła przed sądem w Szamotułach. Z konieczności więc należało przejść do działalności konspiracyjnej. Znacznie łatwiej było udzielać pomocy więźniom osadzonym w poznańskiej cytadeli: było ich tam około 200, przebywali w bardzo trudnych warunkach, niemal głodując.

Reorganizacja komitetów kobiecych zarządzana przez Łukaszewskiego, choć wprowadzona w życie, nie była zaakceptowana przez Wielkopolanki. Wprawdzie podporządkowały się, ale nie zmieniły metod swego działania, zwłaszcza zaś struktury, co zresztą nie było trudne, jako że komisarz pełnomocny dla ziem zaboru pruskiego niemal bez zmian przyjął strukturę *Instrukcji Sczanieckiej* z 1848 roku i organizacji Komitetu Niewiast, ustalonej przez nią na początku powstania styczniowego. Najboleśniej, jak wspomniano, była sprawa zmiany zasad finansowania, lecz z czasem i z tym sobie poradzono. W terenie jednak od czasu do czasu dochodziło do sporów kompetencyjnych i zmian personalnych.

Lazaret w Strzelnie istniał do 20 czerwca 1864 roku. Zostało tam już niewielu rekonwalescentów, tych zaś, którzy musieliby jeszcze pozostać, Sczaniecka ulokowała w zaufanych dworach – mieli tam staranniejszą opiekę, a poza tym łatwiej ich było ukryć przed okiem policji. Jednak do Pakosławia panna Emilia wróciła dopiero w końcu sierpnia, gdyż trzeba się było zająć organizowaniem pomocy dla więźniów.

Nie miała czasu na rozpamiętywanie klęski. Nawet w okresie ciężkiej pracy na pobojuwiskach i w lazaretach starała się na bieżąco orientować w sprawach majątku, dobrze wiedziała, co się dzieje w Pakosławiu, Michorzewie i Michorzewku. Nauczona doświadczeniem

brata, bardzo pilnowała spraw finansowych. Listownie dowiadywała się (z bieżących raportów administratora Wizego) o stanie majątku, tą samą drogą wydawała też dyspozycje – nawet pamiętała o kwotach przeznaczonych na sprawy związane z Bazarem i Towarzystwem Naukowej Pomocy. Zatem praca samarytańska nie absorbowala Szczanieckiej bez reszty, życie zmusiło ją do myślenia także o sprawach codziennych, bytowych. Nie pełniła służby społecznej niczym kosztem – co w innych zaborach niekiedy określano mianem poświęcenia – lecz łączyła jedno z drugim.

Tymczasem w Berlinie rozpoczął się tzw. drugi proces moabicki; tym razem podsądnymi było 149 Wielkopolan – uczestników powstania styczniowego. Wielkopolski Komitet Niewiast funkcjonował legalnie i otwarcie, działające w nim samarytanki z wieloma oskarżonymi kontaktowały się bardzo często, zatem nic dziwnego, że większość z nich powołano w procesie na świadków. Już w okresie śledztwa Szczaniecka ze swymi współpracownicami zajęła się gromadzeniem funduszy na honoraria dla obrońców. Poza tym podobno zdarzały się przypadki wykradania z biur sądowych zeznań niektórych świadków i dyskretnego ich oddawania rankiem następnego dnia; w ten sposób ułatwiano podsądnym ustalenie taktyki obrony. Miała w tym się wyspecjalizować Wanda z Kwileckich Niegolewska.

Wkrótce i panna Emilia otrzymała wezwanie do Berlina w sprawie kwot przekazywanych na cele powstańcze przez Władysława Łąckiego. Charakterystyczna była reakcja sali na wejście Szczanieckiej, zanotowana przez jednego z podsądnych, Stanisława Szczanieckiego (bratanka pułkownika Ludwika): *Gdy panna Emilia Szczaniecka, powołana na świadectwo, weszła do sali, wszyscy Polacy bez wyjątku, bez namowy, jednym uczuciem głębokiej czci wiedzeni, tak samo adwokaci – powstałi ze swych miejsc [...] Sędziowie zdumieli się, widoczne na ich twarzach malowało się wrażenie [...] Przewodniczący Sądu kazał podać krzesło pannie Emilii, która – po oddaniu świadectwa wychodząc – tego samego uczczenia była przedmiotem.*

Treścią zeznania była sprawa kwoty 800 talarów przekazanej przez Władysława Łąckiego na cele powstania, o której wzmiankę policja znalazła w dokumentach Jana Działyńskiego. Szczaniecka zamknęła sprawę stwierdzeniem, że siostrzeniec był jedynie pośrednikiem w przekazaniu owych – do niej należących – pieniędzy na cele charytatywne.

Zdarzenie w sądzie często przedstawiane jest jako demonstracja powszechnego szacunku wobec Szczanieckiej i uznania dla jej postawy. Z pewnością tak było. Jednak nie należy zapominać, że panna Emilia już od 1831 roku cieszyła się wielką estymą, a poza tym w czasie drugiego procesu moabickiego miała 60 lat — a był to wówczas dla kobiety wiek bardzo zaawansowany. Uszanowano działaczkę, Polkę, patriotkę, ale także kobietę, której należy się szacunek jako poważnej (i poważanej) matronie. Zresztą panna Emilia rzeczywiście wówczas nią była.

Wyroki za udział w powstaniu były surowe, ale skazano na śmierć tych podsądnych, którzy w tym czasie znajdowali się za granicą. Kary więzienia jednak nie na długo wyłączyły działaczy wielkopolskich z codziennego życia. Wrócił też do domu Władysław Łącki, który w czasie procesu berlińskiego stracił ojca; odszedł więc na zawsze kolejny szwagier panny Emilii, tym razem mąż jej siostry Nimfy. Władysław Łącki wkrótce dodatkowo zasłużył się sprawie polskiej, wyjeżdżając do Petersburga, by wyjednać ulaskawienie dla powstańców z Wielkopolski, którzy dostali się do niewoli rosyjskiej i właśnie odbywali karę w więzieniach i syberyjskiej tajdze. W dużej mierze dzięki jego staraniom (za pośrednictwem ambasadora Prus) w rodzinne strony wróciło ich kilkudziesięciu.

Rozdział VI

OSTATNIE TRZYDZIESTOLECIE 1864 - 1896

Połowa lat sześćdziesiątych XIX wieku była okresem przełomowym w dziejach Prus. Przewaga tego państwa nad pozostałymi krajami niemieckojęzycznymi była tak duża, że władze berlińskie mogły już sobie pozwolić na dyktowanie warunków i kształtowanie polityki w tej części Europy. Inicjatywa polityczna stopniowo stała się udziałem „żelaznego kanclerza”, Ottona von Bismarcka, trafnie uważanego za twórcę zjednoczonych Niemiec.

Proces integracji ziem niemieckich pod przewodnictwem Prus następował etapami i odbywał się równocześnie na kilku płaszczyznach. Najbardziej dynamicznym elementem owych poczynań był cykl trzech wojen, później nazwanych zjednoczeniowymi: w 1864 roku z Danią, w dwa lata później z Austrią i w 1870 roku z najgroźniejszym przeciwnikiem, z Francją. Porażka Austrii i Francji sparaliżowała opinię publiczną ówczesnej Europy, uwidoczniła potęgę nowego, dopiero powstałego mocarstwa. Monarchia Habsburgów z czasem przekształciła się w państwo austro-węgierskie, musiała ustąpić przed żądaniami niektórych własnych mniejszości narodowych, nadając im autonomię, m.in. Galicji. Francja zaś ostatecznie stała się republiką, czasy pełnego blichtru, ale i sympatycznego Cesarstwa minęły bezpowrotnie. Na kontynencie powstał zupełnie nowy układ trzech cesarzy: Rosji, Niemiec i Austro-Węgier, którzy w pół wieku później stanęli przeciwko sobie do ostatecznej rozgrywki.

W styczniu 1871 roku w Wersalu proklamowano utworzenie Cesarstwa Niemieckiego. W nowym państwie konieczna była moderniza-

cja i modyfikacja systemu administracyjnego. Zjednoczenie terytorialne, mimo zachowania autonomii przez poszczególne państwa związkowe, wymagało także unifikacji psychicznej, wytworzenia poczucia przynależności do wspólnej monarchii. W takim państwie nie było miejsca dla ruchów narodowyzwoleńczych, odśrodkowych, a także dla związków, środowisk czy organizacji, które nie akceptowałyby całkowicie i wyłącznie zwierzchnictwa władz berlińskich. Doskonale rozumiał to kanclerz Bismarck, inicjator ustaw i zarządzeń ograniczających swobodę mniejszości narodowych – głównie Polaków i Duńczyków, a także zwolennik podporządkowania rządowi Kościoła rzymskokatolickiego, uznającego wyższość jedynie papieża.

W tych dwu kierunkach zdążyło ustawodawstwo, wyraźnie germanizatorskie w charakterze, oraz dobór urzędników na poszczególnych stanowiskach. W latach 1869 - 1872 naczelnym prezesem prowincji poznańskiej był Otto hrabia Königsmarck, zwolennik łagodnych form wchłaniania polskiej społeczności przez państwo pruskie. Później, aż do 1886 roku, funkcję tę pełnił William von Günther, zwolennik zaostrzonego kursu wobec Polaków. Równolegle wydawano wtedy zarządzenia ograniczające działalność polskich organizacji w Księstwie i stopniowo uzależniające obsadę stanowisk kościelnych od decyzji władz berlińskich. Starano się również ograniczać prawo Kościoła do inspekcji szkolnych oraz ingerowano w liczbę kleryków kształconych w seminariach. W polskich warunkach, podobnie jak w czasach arcybiskupa Dunina, wywieranie nacisków na Kościół odbierano jako atak skierowany przeciwko prawom narodowym – co zresztą wówczas odpowiadało rzeczywistości.

W 1874 roku aresztowano i wywieziono arcybiskupa Mieczysława Ledóchowskiego; w zaborze pruskim rozpoczął się kulturkampf – otwarta już walka, zmierzająca do eliminacji Kościoła katolickiego z publicznej aktywności na zagarniętych ziemiach polskich. Już w cztery lata później, by uzyskać sojusznika w walce z socjaldemokratami, Bismarck musiał złagodzić kurs i ostatecznie doszło do ugody. Jednak społeczność polska zwarła szeregi, a zwiększany coraz bardziej nacisk germanizacyjny zaczął się spotykać z narastającym i coraz lepiej zorganizowanym oporem.

Zacząło się od stopniowego wypierania języka polskiego z urzędów i germanizacji nauki w szkole. Szczaniecka jednak nie dożyła już decyzji, które ostatecznie doprowadziły do protestów dzieci

w szkołach, fal strajków, a później ustawy zwieńczonej sprawą wozu Drzymały. Jeszcze za jej życia jednak, w 1886 roku, weszła w życie ustawa kolonizacyjna, zmierzająca do stopniowej likwidacji polskiej własności ziemskiej, zaś w roku 1894 w Poznaniu powstało Towarzystwo do Popierania Niemczyzny w Marchii Wschodniej, czyli osławiona Hakata. W 1885 roku doszło do „pruskich rugów” – wielkiej akcji zmierzającej do usunięcia z granic państwa pruskiego wszystkich Polaków będących obywatelami Rosji i Austrii. Wprawdzie po dymisji Bismarcka w 1890 roku kanclerzem Rzeszy i premierem Prus został Georg Leo von Caprivi, który doprowadził do złagodzenia kursu wobec Polaków, ale już w dwa lata później stanowisko to objął Botho hrabia von Eulenburg i polityka nacisku wróciła na poprzednie tory. Po 1871 roku nastąpiła też kolejna zmiana administracyjnej nazwy Wielkopolski: już w 1849 roku Wielkie Księstwo Poznańskie stało się prowincją poznańską, a w 1878 roku Prusami Zachodnimi; w roku 1882 nawet zmieniono barwy prowincji z czerwono-białej na czarno-biało-czarną. Polacy jednak nie przyjęli tych zmian do wiadomości, oni wciąż mieszkali w Wielkim Księstwie Poznańskim, a Poznań był (nawet w ich drukach oficjalnych) miastem stołecznym... aż do 1939 roku.

Środowiska polskie zareagowały na tę politykę oporem, ale objętym ramami legalizmu. W tym czasie ziemie zaboru pruskiego zostały pokryte siecią polskich organizacji gospodarczych; wśród nich niewątpliwie czołowe miejsce zajęły banki ludowe oraz Związek Spółek Zarobkowych i Gospodarczych, które do największego rozkwitu doszły w czasach rządów księży Augustyna Szamarzewskiego i Piotra Wawrzyniaka. To swoiste imperium finansowe, które swym zasięgiem objęło cały zabór pruski od Olsztyna po Bytom, stało się oparciem dla innych inicjatyw, dało szansę rozwoju polskiemu rzemiosłu i rolnictwu, przede wszystkim zaś umocniło podstawy gospodarki kapitalistycznej – tak bardzo potrzebnej zwłaszcza w Poznańskim, któremu wyznaczono rolę zaplecza żywnościowego w Cesarstwie.

Duży nacisk położono na spółdzielczość, pracę w zespołach; spółkami rolniczymi kierował Maksymilian Jackowski. W dalszym ciągu wśród przemysłowców przodował Hipolit Cegielski, a po jego śmierci w 1868 roku, syn Stefan. W 1870 roku powołano Centralne Towarzystwo Gospodarcze, kontynuowały działalność Towarzystwo Naukowej Pomocy i Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Inną formą zorganizowanej działalności Polaków w zaborze był doskonale rozwinięty ruch śpiewaczy, który zajmował się nie tylko krzewieniem kultury muzycznej, ale odgrywał wielką rolę w utrwalaniu polskiej tradycji. W 1884 roku powstało w Inowrocławiu pierwsze w Wielkopolsce gniazdo Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” – organizacji wywodzącej się z Czech, formalnie krzewiącej kulturę fizyczną, lecz w polskich warunkach zajmującej się także przygotowaniem młodzieży do służby wojskowej.

Inne formy aktywności polskiej, które w przeddzień wybuchu powstania wielkopolskiego odegrały wiodącą rolę, jak działalność Stronnictwa Narodowego czy skautingu, rozpowszechniły się dopiero na przełomie wieków – już po odejściu Szanieckiej. Natomiast już wcześniej rozwijała się tajna oświata, umacniano wśród młodzieży przywiązanie do historii i języka polskiego, w szkołach funkcjonowało Towarzystwo Tomasza Zana. Aniela i Zofia Tułodzieckie potajemnie krzywiły wśród dzieci znajomość ojczyстых tradycji, Józef Chociszewski zaś dostarczył im potrzebnej literatury, publikując popularne książki na ten temat. W samym Poznaniu zaś od 1875 roku szczególną rolę odgrywał Teatr Polski.

Charakterystyczną cechą poczynań polskich działaczy narodowych w ostatnich trzech dekadach ubiegłego stulecia była przewaga działań legalistycznych. Nie nastawiano się na otwarty konflikt, na jawną walkę, która przy gospodarczej koniunkturze państwa i jego ogólnej sile nie mogłaby się skończyć inaczej, niż klęską i represjami. Decydowano się raczej na rywalizację, współzawodnictwo, w którym coraz częściej zwyciężały instytucje polskie – znacznie bardziej prężne i elastyczne w działaniu od niemieckich. Zatem ostatni etap swego życia Emilia Szaniecka spędziła w warunkach i atmosferze z jednej strony coraz większego nacisku germanizacyjnego (występującego jakby falami), a z drugiej – narodzin coraz lepiej i bardziej praktycznie zorganizowanego oporu polskich środowisk narodowych. Największe nasilenie owej rywalizacji, która przeszła później w otwartą konfrontację, nastąpiło dopiero na przełomie wieków. Ale tego już panna Emilia nie zobaczyła.

Znamienne, że na temat ostatnich trzydziestu lat (a więc jednej trzeciej życia) Emilii Szanieckiej wiemy dziś znacznie mniej niż o jej zaangażowaniu np. w powstania czy w kontakty z emigracją. Istotnie,

lata 1864-1896 były raczej spokojne, poza falami narastającej bądź opadającej germanizacji. Codzienna żmudna praca i systematyczne działania polityczne mają znacznie mniej piewców i kronikarzy, niż burzliwe przejścia czasu powstania czy wojny. A jednak bywają postacie historyczne, które w tak pozornie mało atrakcyjnych czasach swoją działalnością wciąż zasługiwały na uwagę. Z pewnością należała do nich i Szczaniecka.

Upadek powstania styczniowego był szczególnie bolesny dla emigrantów, którzy zrozumieli, że już nie dożyją wolnej ojczyzny. Do uciążliwości spowodowanych podeszłym wiekiem doszło jeszcze poczucie beznadziejności, świadomość bezsensu poświęceń i starań całego niemal życia. Nie każdy zdążył sobie zabezpieczyć spokojną starość i tak jak po roku 1831 czy 1848 wielu z nich żyło na krawędzi nędzy, teraz jeszcze spotęgowanej bezradnością podeszłego wieku. Jedni szukali najprostszego wsparcia, inni wciąż myśleli o umocnieniu się za granicą, o przygotowaniu do wychowania kolejnych pokoleń w duchu polskim: *skoro nie powiodły się próby odzyskania niepodległości, starajmy się przynajmniej uniknąć roztopienia w społeczeństwie przybranej ojczyzny.*

Zatem nic dziwnego, że niemal zaraz po zakończeniu walk powstańczych panna Emilia odnowiła swoje kontakty z emigracją. Szybko zorganizowała stałe wsparcie finansowe dla Towarzystwa Pomocy Naukowej działającego w Szwajcarii oraz Komitetu Domu Inwalidów w Zurychu. Wspierała organizacje Jarosława Dąbrowskiego i Walerego Wróblewskiego (co konserwatyści jej wypominali), wysyłała pomoc w naturze i pieniądzu, a nawet żywność żyjącemu w trudnych warunkach Heltmanowi; wszelkie próby uzyskania zgody władz na jego osiedlenie się na stałe w Pakosławiu zakończyły się niepowodzeniem.

Wkrótce pojawiła się okazja pracy charytatywnej także w Wielkopolsce, gdy w poznańskich fortach osadzono jeńców austriackich z wojny 1866 roku, a w 4 lata później wziętych do niewoli Francuzów. Powoływano wówczas żeńskie komitety opiekuńcze, w których składzie znów pojawiły się nazwiska doskonale znane z wydarzeń lat 1848 i 1863-1864, wśród nich Bibianny Moraczewskiej, Emilii Szczanieckiej i Celestyny Działyńskiej. Zasłużone panie wciąż trzymały się razem, stawały do czynu, gdy zdarzyła się okazja i była taka potrzeba. Dochodziło wtedy do zaskakujących scen, gdy wśród jeńców austria-



18. Emilia Sczaniecka w późnym wieku

ckich spotykano Polaków z Galicji, zaś między Francuzami bywali synowie naszych dawnych emigrantów.

Panna Emilia nadal samodzielnie, z oddanym administratorem Wizem u boku, zarządzała swym majątkiem. Bardzo przeżywała zgony kolejnych krewnych, zwłaszcza że wśród nich coraz częściej zdarzali

się ci, których na świecie jeszcze nie było, gdy Sczaniecka już aktywnie działała społecznie. Coraz bardziej zaczęła odczuwać wyjątkowość swej długowieczności. Jednak unikała osamotnienia, wciąż aktywnie włączała się do życia rodzinnego, często jeździła do Poznania na różne uroczystości – szczególnie zaś na przedstawienia teatralne, które bardzo lubiła. Ciekawy był stosunek Sczanieckiej do ślubu Heleny Modrzejewskiej z Karolem Chłapowskim: w sytuacji, gdy większość rodzin ziemiańskich odebrała ten fakt jako mezalians, ona głosy takie przyjęła z niesmakiem. Pisała wprost: *Czy to tak trudno pojąć, że wszyscy jesteśmy równi, jako dzieci jednego Boga i jednej Ojczyzny, a ten tylko najwyżej stać może i powinien, który najlepiej umie ją kochać, jej służyć i dla niej życie poświęcić.*

Wiele wskazuje więc na to, że sporo zmieniło się w jej społecznych poglądach na sprawy tzw. pospolitowania się od czasu balu w Bazarze w 1847 roku. Inna rzecz, że teraz już nie miała okazji do rozterki, nie było u jej boku siostrzenic – panien na wydaniu... Nie zapomniała też Sczaniecka o swej misji wychowawczej, którą realizowała nawet w prywatnej korespondencji. Przykładem tu może służyć wpis do sztambucha nieznaney adresatki, dokonany 10 listopada 1866 roku:

Pragniesz Kochana Irenko, abym się wpisała do twego albumu, a ja czuję się zupełnie niezdolną, tak choroba, wiek, a najbardziej nieszczęścia, co w tym roku jak gromy spadają na nasz kraj nieszczęśliwy zupełnie mnie ubezwładniły. I tylko wolać na Was mogę, młode Polki, bierzcie się do czynu, czuwajcie nad waszymi braćmi i mężami, aby zwątpienie nie wdarło się w ich serca, aby służalstwo nie skaziło ich ducha. Kochajcie tylko takich, którzy wiernie służą Ojczyźnie, pracujcie, oszczędzajcie, módlcie się i nie upadajcie na duchu, nie wolno Polce zwątpić w odrodzenie ojczyzny, póki wierzy [we] wszechmocność i sprawiedliwość Boską. Tego od Was domaga się zagrożona Ojczyzna, a gdy to spełnicie, od Was wyjdzie pierwsze hasło odrodzenia, bo Bóg was pobłogosławi.

Emilia Sczaniecka

W 1869 roku Emilia Sczaniecka wyjechała na kolejną kurację do Karlsbadu, a po powrocie znów została sama w zarządzaniu majątkiem, gdyż zmarł Feliks Wize. Nie czując się na siłach podjąć obowiązków (miała już 65 lat), powierzyła zarząd majątku bratu zmarłego, Filipowi Wizemu, zaś Michorzewo przekazała swemu bratankowi, Tadeuszowi Sczanieckiemu.

W styczniu 1870 roku zmarła w Poznaniu Kordula Stablewska, a w lipcu 1873 – Konstanty Szczaniecki; z liczego rodzeństwa panna Emilia została już sama. Odtąd przez kolejnych 20 lat była czczona w rodzinie jako żywa legenda Szczanieckich, symbol trwania rodu.

Żaloba, świadomość gwałtownie upływającego czasu jednak nie załamały Szczanieckiej; po niewesołych refleksjach jak zwykle przystąpiła do działania. W czerwcu 1870 roku przelała swe udziały w spółce bazarowej (1000 talarów) na rzecz Towarzystwa Naukowej Pomocy. Ponieważ organizacja ta od początku była ukierunkowana na udzielanie pomocy mężczyznom (kobiet na studia wtedy nie przyjmowano), panna Emilia zaczęła rozważać możliwość utworzenia podobnego towarzystwa dla dziewcząt. Nie było w tej inicjatywie realizacji sposobu myślenia właściwego sufrażystkom. Szczanieckiej chodziło o stworzenie kobietom możliwości zdobycia kwalifikacji, umiejętności pozwalających im zarobkować w razie pozostania bez środków do życia lub w trudnej sytuacji materialnej. Emancypantką była Biblianna Moraczewska, zaś panna Emilia, bardziej konserwatywna przekonaniami, ale też i praktyczniejsza, popierała ją tylko częściowo. Z zainteresowaniem jednak przyjęła informację o kobietach, które zaczęły studiować na uniwersytetach w Szwajcarii i kursach specjalnych w Petersburgu.

Można przypuszczać, że Szczaniecka, jeśli nie była inspiratorką, to przynajmniej była współorganizatorką poznańskiej filii działającego w Toruniu od 1870 roku Towarzystwa Pomocy Naukowej dla Dziewcząt. Jednak główną działaczką tej organizacji w Wielkopolsce była Moraczewska. Z czasem zresztą Towarzystwo zostało „opanowane” przez rodzinę Szczanieckich: w 1872 roku poznańska filia uzyskała samodzielność, a po śmierci Bibianny Moraczewskiej w 1887 roku czołowe funkcje w niej przejęły bratanice panny Emilii: Helena Jakowicka i Maria Szczaniecka. Sama Emilia Szczaniecka do końca życia była przewodniczącą honorową i regularnie wspierała organizację finansowo. Dodajmy, że z czasem została również członkiem honorowym Stowarzyszenia Nauczycielek w Krakowie, Towarzystwa Czytelni dla Kobiet we Lwowie, towarzystwa „Warta” i Towarzystwa Opieki nad Dziećmi Polskimi.

Po zwycięstwie Prus w wojnie z Francją w 1871 roku w nowo założonym Cesarstwie nastąpiła era „grynderki” (od *gründen* – założyć), czyli okres koniunktury gospodarczej, związanej m.in.

z pojawieniem się dużych kapitałów uzyskanych z reparacji wojennych. Prusy ogarnęło szaleństwo zakładania firm, spółek, a rząd zaczął ujednoczać, regulować wygląd zewnętrzny instytucji państwowych. Od tego czasu właśnie w miastach wielkopolskich pojawiały się charakterystyczne budynki poczty, dworców kolejowych z neogotyckimi wieżami ciśnień, szkół i budynków koszarowych – często zachowane i użytkowane do dziś. Niestety, owa moda nie wiązała się z ostrożnością w inwestowaniu i sprzyjała spekulacji. W rezultacie po fali euforii nastąpiły dość liczne bankructwa. Prawidłowość ta nie ominęła instytucji polskich. Szczególnie dużo szkody w gospodarce polskich majątków spowodował upadek towarzystwa kredytowego „Tellus”, założonego jeszcze w lutym 1863 roku, oraz banku „Małecki, Potworowski i Plewkiewicz”. Długo jeszcze ksiądz Wawrzyniak działaniami we własnych bankach i spółkach musiał ratować autorytet polskich instytucji gospodarczych, mocno nadwerężony aferą „Tellusa”. Emilia Szczaniecka chyba jednak nie poniosła większych strat, gdyż po doświadczeniach z poprzednich dziesięcioleci starannie unikała wszelkich inicjatyw gospodarczych łączących się z ryzykiem, które w razie niepowodzenia mogło doprowadzić do utraty Pakosławia. W trudnej sytuacji znalazł się mąż siostrzenicy Szczanieckiej, Ignacy Bniński, ale udało mu się uratować Samostrzel dzięki kredytom i systematycznej oszczędności.

Interesujący był stosunek Emilii Szczanieckiej do kulturkampfu. Zdawałoby się, że osoba tak religijna, jak ona, w dodatku mająca za sobą doświadczenia z obroną arcybiskupa Dunina, wobec tak otwarcie postawionej sprawy konfliktu między władzami berlińskimi i Kościołem katolickim powinna być w ocenach i działaniu jednoznaczna. Tymczasem panna Emilia w całej awanturze politycznej (bo nie o światopogląd tu przecież chodziło) widziała przede wszystkim zjawisko niebezpieczne dla polskości ziem zaboru pruskiego, a dopiero na drugim miejscu zagrożenie wiary. Drażnił ją ultramontanizm polskich środowisk katolickich, o czym wprost pisała w początkach stycznia 1874 roku: *A tym smutniejsze całe nasze położenie, że między nami nie ma zgody. Partia klerykałna chce wszystkim rządzić, a że w niej polskość nie odgrywa żadnej roli, trudno z nią ślepo iść. A w tej chwili ma w rękę wielką broń, bo zaraz występuje, że kto nie z nią, ten z rządem; położenie trudne i bardzo smutne.*

Jest to stwierdzenie bardzo jednoznaczne i dość zaskakujące, jeśli wyszło od osoby, która jeszcze 35 lat wcześniej zaangażowała się czynnie w obronę arcybiskupa Dunina. Dioniza Wawrzykowska-Wierciochowa widziała w tym wpływ Bibianny Moraczewskiej, wydaje się jednak, że znacznie silniej tę postawę ukształtowały niepowodzenia kolejnych czynów narodowowyzwoleńczych, co w panie Emilii utrwaliło przekonanie, że nie ma spraw bardziej ważnych, niż zachowanie polskości na ziemiach zaboru pruskiego. Kto zaś tego priorytetu nie uznawał uważając, że są sprawy i zwierzchnicy ważniejsi, ten nie mógł już liczyć na życzliwość i poparcie Szanieckiej. Jednym z głównych celów jej działania było zachowanie polskiej ziemi w polskich rękach (na co niewątpliwie miały wpływ doświadczenia z Wąsowem i Brodami); rozwój naszej świadomości narodowej, popieranie wszelkich instytucji polskich – taki był jej główny cel działania aż do końca życia. Dlatego bardzo wysoko ceniła działalność Piotra Wawrzyniaka i Maksymiliana Jackowskiego, choć niewiele wiadomo na temat współpracy obydwu działaczy z panną Emilią.

Wydaje się, że było kilka przyczyn tej sytuacji. Po prostu obydwaj (zwłaszcza Wawrzyniak) byli ludźmi czynu, bardziej potrzebowali konkretnych współpracowników niż patriotów – symboli. Szaniecka, choćby ze względu na wiek, nie nadążałaby z ustalonym przez nich tempem pracy. Poza tym panie Emilii nie odpowiadałby styl działania księdza prałata, który sam był niezmordowany, ale i daleki od sentymentów w doborze współpracowników, eksploatowanych dość bezwzględnie. Można również odnieść wrażenie, że Wawrzyniak nie darzył kobiet w tej pracy zbyt dużym zaufaniem, co miało znaczenie przy ówczesnym tradycyjnym podziale zadań w rodzinie i społeczeństwie między kobiety i mężczyzn. Pod tym względem był jednoznaczny konserwatystą, uczyłby pannę Emilię, ale współpracownika by w niej nie widział. Jackowski szkolił rolników, zakładał spółki, kółka, profilem działalności nieco odbiegał od stylu Szanieckiej. Chyba więc dobrze się stało, że każde z tej „wielkiej trójki” działało po swojemu, choć w jednym kierunku.

Wspominaliśmy o założeniu przez pannę Emilię w 1833 roku szkoły ludowej dla dzieci wiejskich w Pakosławiu. Szaniecka ponosiła wszelkie koszty utrzymania placówki, ale zastrzegła sobie prawo wyboru nauczyciela spośród kandydatów zaproponowanych przez władze. Rejencja wyjątkowo przystała na ten warunek, nie spodziewając

się widocznie, że fundatorka z racji zdrowia i długowieczności będzie z przywileju korzystała jeszcze przez wiele dziesięcioleci. Do dziś zachowały się wspomnienia Stanisława Magnuszewicza, który był ostatnim kierownikiem szkoły w Pakosławiu za życia panny Emilii (od 1884 roku) i współorganizatorem jej uroczystego pogrzebu. Nauczycieli do swej szkoły Szczaniecka dobierała bardzo starannie, zwłaszcza od strony kwalifikacji narodowych, zawodowych i moralnych.

Dość regularnie sprawdzała postępy uczniów, a gdy zdrowie jej pozwalało, uczestniczyła w egzaminowaniu uczniów na końcu roku szkolnego; często zabierała wtedy ze sobą bratanicę Sewerynę i Marię oraz gości, którzy akurat u niej bawili. Uważnie przysłuchiwała się odpowiedziom, a później obdarowywała dzieci książkami, zeszytami i przyborami do pisania.

W 1877 roku panna Emilia założyła w Pakosławiu także ochronkę, czyli przedszkole dla dzieci wiejskich, których rodzice byli zajęci pracą w polu. S. Magnuszewicz widział w tym głównie odpowiedź na kulturkampf. Z pewnością tak było, ale chodziło tu chyba też o zapewnienie opieki dzieciom w celu odciążenia rolników, którzy pewni bezpieczeństwa pociech, wydajniej pracowali i nie ukrywali swej wdzięczności wobec dziedziczki. Sama panna Emilia często tam zaglądała; zacna matrona zawsze zabierała ze sobą coś dla dzieciarni, była też tam radośnie witana. Z czasem rejencja zażądała od Magnuszewicza corocznych szczegółowych sprawozdań z pracy ochronki, ale żadnych uchybień nie stwierdzono. Zarówno szkołę, jak i owo przedszkole Szczaniecka zabezpieczyła na wypadek swej śmierci zapisem testamentowym złożonym w 1888 roku w Grodzisku u notariusza Mottego; później ostatnia wola panny Emilii znajdowała się w sądzie powiatowym w Pniewach.

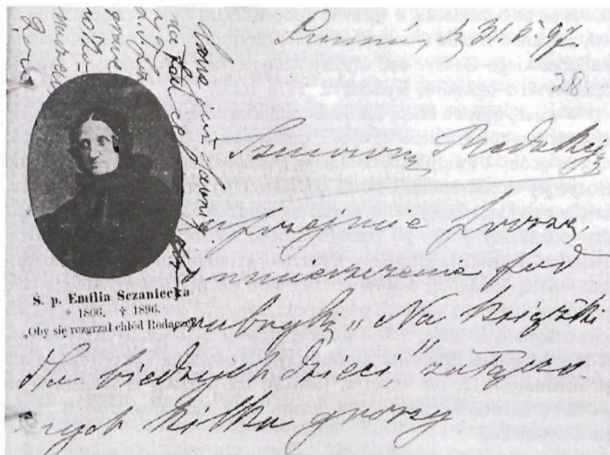
Większość dworów wielkopolskich miała własną bibliotekę, najczęściej służącą właścicielowi i jego najbliższej rodzinie. Miała taką również Emilia Szczaniecka, a zawartość księgozbioru zaciekałaby niejednego urzędnika policyjnego. Były tam bowiem publikacje polsko-, niemiecko- i francuskojęzyczne, a wśród nich także liczne wydawnictwa emigracyjne – niekiedy w ilościach „hurtowych”, jako że panna Emilia (zwłaszcza w latach czterdziestych i pięćdziesiątych) zajmowała się ich kolportażem i to po ziemiach wszystkich trzech zaborów. Oczywiście, takie publikacje nie dla wszystkich były dostępne. S. Magnuszewicz, który z racji wykonywanego zawodu kontak-

tował się ze Szczaniecką w sprawie doboru lektury dla uczniów zauważył, że panna Emilia szczególnie lubiła trzypiętomową powieść Kajetana Suffczyńskiego *Zawsze oni. Obrazy historyczne i obyczajowe z czasów Kościuszki i legionów*, wydaną w 1875 roku.

W miarę upływu czasu Emilia Szczaniecka coraz bardziej stawała się żywym symbolem minionej epoki, obfitującej w burzliwe wydarzenia, chwile próby i zwątpienia. Będąc w Poznańskim, nie wypadło nie złożyć jej uszanowania. Czynili tak nawet jej przeciwnicy polityczni, zwolennicy idei, z którymi nie zawsze się zgadzała, jak Michał Bobrzyński czy późniejszy autor jej panegirycznego życiorysu w „Przeglądzie Polskim”, Kazimierz Morawski. Była żywą kroniką minionych dziesięcioleci, osobą, na której oczach rodziły się i odchodziły na zawsze całe pokolenia, znającą wielkich owej epoki, żyjących na ziemiach polskich i na emigracji. Istotnie, w XIX stuleciu niewiele było ważnych wydarzeń, w których panna Emilia nie uczestniczyłaby osobiście i aktywnie. Miała przeciwników, ale nie wrogów, jednakowoż wszyscy ją szanowali za postawę narodową, patriotyzm, wreszcie za ogromny trud w pracy samarytańskiej.

Wkrótce zdarzyła się okazja uczczenia leciwej już panny Emilii: w 1880 roku w Poznaniu odbyły się uroczyste obchody 50 rocznicy wybuchu powstania listopadowego. Przyjechało około 150 posiwiatych weteranów, przybyła też ich opiekunka z warszawskich lazaretów sprzed półwiecza – ostatnia ze znanych im, żyjących pielęgniarek z tamtego czasu. Po uroczystej mszy w farze odbyła się wielka uczta na 400 osób w sali bazarowej, a wieczorem – przedstawienie *Halki* Stanisława Moniuszki w Teatrze Polskim. Przy *castrum doloris* podczas mszy na polecenie Szczanieckiej umieszczono też wieniec poświęcony Klaudynie Potockiej.

Ona sama też stała się obiektem specjalnego wyróżnienia: rankiem przed uroczystością do mieszkania Stablewskich przy Wielkich Garbarach (gdzie teraz się zatrzymywała w czasie pobytu w Poznaniu) przybyła delegacja najbliższych współpracowników z lat 1848 i 1863-1864 z okolicznościowym wieńcem hołdowniczym. Na czele owej grupy stały wierne, oddane koleżanki: Bibianna Moraczewska i Apollonia Matecka. Również weterani przysłali swoją delegację; jeszcze w końcu czerwca 1868 roku uczcili Szczaniecką zbiorowym zdjęciem, wykonanym na dziedzińcu Bazaru. Fotografii tę zadedykowano i przekazano pannie Emilii – dziś pamiątka ta jest jednym z najcenniejszych eksponatów Muzeum Historii Poznania w ratuszu.



19. Okolicznościowa pocztówka wydana po śmierci Emilii Szanieckiej

Bardzo boleśnie odbierała kolejne pogrzeby w najbliższej rodzinie i wśród przyjaciół. W 1880 roku zmarł Bronisław Dąbrowski, w 1886 – Teofil Matecki, a w następnym Bibiana Moraczewska. Panna Emilia została sama, choć otoczona troskliwą opieką najbliższej rodziny z drugiego, a nawet trzeciego pokolenia. Jednak pamięć miała doskonałą, trzeźwość umysłu bez zarzutu, nadal starała się żyć sprawami regionu i rodziny. Ogromny wysiłek fizyczny związany z pracą samarytańską i organizacyjną wreszcie utrwalił dolegliwość nękającą Szaniecką już od wielu lat: w 1892 roku panna Emilia utraciła możliwość samodzielnego poruszania się i odtąd była wożona w fotelu na kółkach. Ale jeszcze w czerwcu 1884 roku weszła w skład komitetu organizującego obchody trzechsetlecia śmierci Jana Kochanowskiego, zwiedziła też wystawę dzieł Jana Matejki w pałacu Działyńskich. Wrażenie było ogromne, zwłaszcza że styl twórczości artysty z ul. Floriańskiej w pełni odpowiadał mentalności i gustowi panny Emilii.

Szaniecka zachowała też trzeźwość oceny wypowiedzi kanclerza Bismarcka i w listach pisanych w latach osiemdziesiątych z niepoko-

jem podkreślała coraz bardziej narastający nurt antypolski w działaniach administracji pruskiej. Wtedy jednak mogła już tylko obserwować i żyznać się – i mimo wszystko próbować jeszcze działania. We wrześniu 1885 roku zorganizowała spotkanie najbliższych współpracowniczek, by rozważyć sposoby włączenia się w obronę polskiego stanu posiadania ziemi. Postanowiono wesprzeć polski Bank Ziemi przez zakupywanie akcji tej instytucji. Jeszcze w 1890 roku wielokrotnie, zwłaszcza w listach, wypowiadała się na temat narastającego kursu antypolskiego, podkreślała konieczność jawnego bądź konspiracyjnego nauczania historii i języka ojczystego. Przeżywała odejście Bismarcka ze stanowiska kanclerza i założenie Hakaty, jeszcze w 1895 roku obroniła Stanisława Magnuszewicza, którego władze oświatowe chciały przenieść z Pakosławia do regionu bardziej ziemczonego. Coraz częściej w korespondencji powtarzały się słowa ułożonej przez Sczaniecką modlitwy do Matki Boskiej (w lutym 1891 roku oficjalnie uznanej przez władze kościelne): *Królowo Korony Polskiej! Ratuj nas! Wzbudź w Ojczyźnie naszej dawne męstwo i miłość gorącą.* W tym samym 1895 roku odwiedził pannę Emilię uczeń gimnazjum Franciszek Krajna, przyszły kupiec i wydawca. Staruszka źle już się czuła, leżała w łóżku, ale jeszcze upomniała chłopca na przyszłość: *Pamiętaj, że jesteś Polakiem.* Uwagę tę chłopiec zapamiętał na całe życie.

O ostatnich chwilach Emilii Sczanieckiej wiemy z relacji Ireny Stablewskiej i Stanisława Magnuszewicza. Panna Emilia gaśla stopniowo, do końca jednak zachowała trzeźwość umysłu, jedynie na tydzień przed śmiercią straciła słuch. W tym samym czasie odbyła się ceremonia, od dawna już w dworach nie praktykowana: do umierającej pozwolono podejść każdemu, kto chciał się z nią pożegnać, bez względu na funkcję, stanowisko i wykonywaną pracę w majątku. Przy łożu panny Emilii odbyła się wtedy podniosła, wzruszająca uroczystość, manifestacja hołdu dla umierającej społeczniczki, wychowawczynie, samarytanki i patriotki.

Zmarła 11 maja 1896 roku w Pakosławiu. W dwa dni później „Kurier Poznański” opublikował treść testamentu Sczanieckiej:

Ostatnia moja wola

W chwili gdy to czytać będziecie, już mnie wśród Was nie będzie, ale żegnając Was po raz ostatni, błogosławię wszystkich i do Boga zanoszę modły o Wasze szczęście, oddając Was pod Jego świętą opiekę.

Teraz ostatnią prośbę do Was zanoszę: ufam w Wasze przywiązanie, pewną jestem, że wypełnicie ostatnie moje rozporządzenie co do joty, a żadne światowe względy nie będą w stanie odwieść Was od tego świętego obowiązku. Błagam Was o to i zaklinam: nie zmieniajcie w niczym mojego rozporządzenia, zaklinam Was wszystkich pod błogosławieństwem, a w szczególności tego, co teraz list rozpiecztuje:

1. Jeżeli umrę w Pakosławiu, trumnę moją ma zrobić porządkowy taką, jaką robi dla komornic.
2. Ubraną chcę być jak zawsze chodzę.
3. Skoro się przekonacie, że już nie żyję, proszę uwiadomić proboszcza brodzkiego, bo chcę, żeby nabożeństwo odprawiono się w kościele brodzkim – kościół nie ma być ustrojony i żadnej nie ma być mowy, a obiad dla księży w Pakosławiu.
4. Ciało moje ma być przewiezione na bryczce wprost do Michorzewa i pochowane na cmentarzu; miejsce obierze proboszcz miejscowy. Grób proszę zaraz przygotować, skoro umrę, żeby pochowanie ciała zaraz nastąpić mogło, gdy je bez żadnej pompy przywiozą.
5. Śmierć moja nie ma być ogłoszoną w dziennikach.
6. Osoby z rodziny, które nie będą przy mnie w ostatniej chwili, a daleko są zamieszkałe, mają być uwiadomione, że ich proszę, żeby nie zjeżdżały na mój pogrzeb, ale niech w swojej parafii zakupią mszę św. na moją intencję i pomodlą się za moją duszę.
7. Ubodzy, którzy będą na moim pogrzebie, dostaną po marce.
8. Na mój pogrzeb proszę zaprosić księży z Michorzewa i z Lwówka do Bród. [!] Po zapłaceniu wydatków proszę wyznaczyć 900 marek biednej polskiej rodzinie, która wsparcia potrzebuje, a zebrać nie jest w stanie. Marya Sczaniecka wie, o kim myślę.
Boże błogosław mojej Ojczyźnie i mojej rodzinie.

Emilia Sczaniecka

Dnia 10 grudnia 1889.

Był to zwyczajny testament polskich działaczy narodowych ubiegłego stulecia. W owych czasach dobrze widziana była skromność pochówku wyrażona w testamencie, choć doświadczenie życiowe i realia sytuacyjne z góry pozwalały się spodziewać pogrzebu manifestacyjnego; ranga zmarłego sugerowała także formę ostatniego pożegnania. Rzecz była o tyle ważna, że pogrzeb takich postaci, jak Karol Marcinkowski (który w testamencie też wyraźnie sobie życzył skromnego pochówku) czy Emilia Sczaniecka, był okazją ukazania siły



20. Grób Emilii Szanieckiej w Michorzewie

polskiej społeczności zaboru pruskiego. Zarówno „Doktor Marcin” jak i panna Emilia dalecy byli od fałszywej skromności, zachowywali się naturalnie, zgodnie z pozycją społeczną i wykonywanymi zadaniami. Obydwoje tylko własne wydatki osobiste ograniczali do



21. Popiersie Emilii Szanieckiej w Pniewach

niezbędnego minimum, majątek i dochody przeznaczając przede wszystkim na cele narodowe i społeczne.

Zgodnie z przewidywaniami pogrzeb Szanieckiej był manifestacyjny. Pochowano pannę Emilię w piątek 15 maja 1896 roku na przykościelnym cmentarzu w Michorzewie. Oprócz arcybiskupa Floriana Stablewskiego i licznych przedstawicieli organizacji polskich w zaborze pruskim żegnały Szaniecką tłumy ludności z najbliższej okolicy.



22. Epitafium Emilii Szanieckiej w ogrodzeniu cmentarza przy kościele św. Wojciecha w Poznaniu

Mszę żałobną celebrował ks. Kaysiewicz z Brodów, lecz egzekwie nad trumną odprawił sam arcybiskup, który też wygłosił przemówienie pożegnalne. Wkrótce odbyły się akademie żałobne i msze za duszę panny Emilii, m.in. w kościele św. Marcina w Poznaniu i w kościele parafialnym w Łabiszynie. W prasie polskiej ukazały się liczne nekrologi i wspomnienia pośmiertne. Dziś piękny, marmurowy, choć skromny nagrobek Emilii Szanieckiej naprzeciw południowej ściany michorzewskiego kościoła godnie upamiętnia jedną z najbardziej zasłużonych Wielkopolanek ubiegłego stulecia.

Była nią w istocie, choć w działalności panny Emilii występowała naturalność poczynań i pełne przywiązanie do sprawy niepodległości ojczyzny – traktowanej bez patosu i frazesów. Pełniła dla kraju ciężką, lecz owocną służbę, wyrabiając w sobie zarazem zmysł polityczny i organizatorski. Niezmordowana i wręcz nie po kobiecemu konsekwentna, w pracy dla kraju i jego obrońców uczyniła więcej niż niejedna autorka buńczucznych czy pełnych egzaltacji tekstów. Była autentyczną prekursorką dzisiejszych sióstr PCK. Istotnie, warto przypomnieć



Emilia Szczaniecka

ur. 1834 r., zm. 6. 11 Maja 1906 w Mieroszewie, w Poznaniu.

Pełna niepospolitego ducha, jasielała przez długi ciąg życia swymi siłami i zabitał. Całe jej życie było jednym pasmem poświęceń dla spraw szczytnych. W powstaniu Listopadowym leczyła w szpitalach rannych powstańców, we włościach swych opiekowała się dżiatw, wszędzie była dobroczynną Opiekunką biolayen

23. Pocztówka z serii „Wielcy i sławni ludzie Polski” z portretem Emilii Szczanieckiej

tu postać Florence Nightingale, współczesnej pannie Emilii angielskiej pielęgniarki i działaczki społecznej, twórczyni nowoczesnego pielęgniarstwa, która w czasie wojny krymskiej organizowała opiekę nad rannymi, a w 1860 roku założyła pierwszą szkołę dla pielęgniarek. Emilia Szczaniecka była polską Florence Nightingale; choć nie sięgała wyżyn intelektualnych Klaudyny Potockiej czy Narcyzy Żmichowskiej, wykonywała najtrudniejszą pracę pielęgniarską, samarytańską i organizacyjną.

Niezależnie od czynności medycznych wielką część jej życia zajmowała działalność patriotyczna, narodowa, jednoznacznie ukierunkowana w stronę walki narodowowyzwoleńczej. Nie działała żywiołowo, pod wpływem impulsu, lecz doskonale wiedziała, co i kiedy czyni. Jej daleki krewny Kazimierz Szczaniecki w swych pamiętnikach napisał, że w połowie XIX wieku mówiono jakoby: *Kto rządzi Księstwem, mówmy bez przekąsów: doktor, kobieta i para wásów* – czyli Karol Marcinkowski, Emilia Szczaniecka i Maciej Mielżyński. Wiele w tym było przesady, ale istotnie, moralna pozycja wszystkich trojga była w Poznańskim bardzo wysoka.

Jest charakterystyczne, że dziś w dalszym ciągu, po upływie wieku od śmierci Emilii Sczanieckiej, wciąż mało wiemy o jej działalności. Na jej postaci zaważył ten sam schemat myślenia, który odsunął w cień bohaterów *najdłuższej wojny nowoczesnej Europy* i postawił ich za często znacznie późniejszymi w zasługach dla kraju uczestnikami walk zbrojnych. Znacznie częściej wierzy się dziś (i co ciekawe – chętniej) w legendę Emilii Plater, niż w celowość bohaterskiego trudu jej imienniczki z Wielkopolski. Widowiskowy charakter walk skutecznie przesłania walory trudnej, niewdzięcznej pracy na tyłach, dzięki której częstokroć w ogóle walka ta jest możliwa.

Panna Emilia nie dążyła do chwały i zaszczytów. Prawo do nich zdobyła sobie własną, ciężką pracą organizacyjną, samarytańską i patriotyczną. Stała się symbolem, przykładem dla współczesnych jej rodaczek; do niej zwracali się często z trudem podtrzymujący swą egzystencję patrioci – emigranci polscy, weterani kolejnych powstań. Panna Emilia była dla nich uosobieniem serdeczności i ofiarności, tak bardzo wtedy w kraju potrzebnej. Z reguły też nie spotykał ich zawód, spieszyła z pomocą charytatywną niezależnie od aktualnego stanu, w jakim znajdował się jej majątek. Reprezentowała zalety ducha i charakteru nie w każdych okolicznościach należycie szanowane i doceniane, lecz zawsze potrzebne. Słusznie dziś stawiana jest obok Klaudyny z Działyńskich Potockiej jako jedna z najwybitniejszych Wielkopolanek XIX wieku, a jej cnoty patriotyczne i moralne mają walory ponadczasowe.

WSKAZÓWKI BIBLIOGRAFICZNE

Emilia Szaniecka występuje w większości pamiętników i opracowań dotyczących Wielkopolski XIX wieku, choć często są to informacje pojedyncze, szczegółowe, wymagające skompletowania – bez gwarancji uwzględnienia całości zachowanych przekazów. Spośród opracowań dotyczących osoby panny Emilii najpełniej scharakteryzowała ją Dioniza Wawrzykowska-Wierciochowa w obszernej książce *Emilia Szaniecka. Opowieść biograficzna* (Warszawa 1970). Autorka wykorzystala ogromny zasób źródeł i opracowań, przede wszystkim zaś ustaliła podział życiorysu bohaterki, który może być uznany za wzorcowy. Zatem w prezentowanej książce przyjęto układ D. Wawrzykowskiej-Wierciochowej, z wykorzystaniem wielu ustaleń zasłużonej pisarki. Jednak w książce tej można spotkać szereg nieścisłości (nawet w bibliografii), a także ocen, które po ćwierćwieczu od ukazania się pracy wymagają skorygowania i uściślenia. Na te właśnie fragmenty zwrócono parokrotnie uwagę w naszym opracowaniu.

D. Wawrzykowska-Wierciochowa jest autorką licznych prac omawiających udział polskich kobiet w walkach narodowowyzwoleńczych, wśród których często pojawia się postać Szanieckiej. W 1965 roku wydano jej popularnonaukową monografię *W kręgu miłości i bohaterstwa. Z dziejów humanitaryzmu polskiego i prekursorów Polskiego Czerwonego Krzyża*, w 1976 roku ukazała się: *Promienna. Opowieść biograficzna o Klaudynie z Działyńskich Potockiej (1801-1836)*, w 1982 roku: *Sercem i orężem ojczyźnie służyły. Emilia Plater i inne uczestniczki powstania styczniowego 1830-1831*, a w 1988 roku: *Rycerki i samarytanki*. Można też zwrócić uwagę na opracowany przez tę autorkę słowniczek biograficzny *Kobiety wielkopolskie w działalności narodo-*

wej, społecznej i wyzwolenczej (1788-1919), wydany przez Miejską Bibliotekę Publiczną im. Edwarda Raczyńskiego w Poznaniu w 1975 roku. Zasadniczym niedostatkim opracowań tej niestrudzonej badaczki i propagatorki patriotycznej działalności kobiet jest nazbyt emocjonalny stosunek autorki do bohaterki narracji, momentami przechodzący w egzaltację – co niekorzystnie wpływa na ocenę niektórych postaci i zjawisk. Interesujące, że równie zaangażowana w te sprawy i podobnym stylem pisząca Bożena Krzywobłocka postać Emilii Szanieckiej prawie pomija; nie uwzględniła jej także w książce *Wielkopolskie damy* (Poznań 1986), choć panna Emilia... widnieje na okładce. Literacki charakter ma też książka Leonarda Turkowskiego *Droga do Sestos* (Warszawa 1989), w której zamieszczono apokryficzne listy Emilii Szanieckiej.

W okresie międzywojennym najpełniejszą biografię skreśliła Helena Łuczakówna: *Emilia Szaniecka. Zarys biografii na tle walk narodu polskiego o niepodległość* (Poznań 1930), w skrócie opublikowaną także w 1966 roku w pierwszym tomie wydawnictwa *Wielkopolskie XIX wieku*. Z kolei najnowszymi opracowaniami dotyczącymi panny Emilii są przygotowane przez autora niniejszej publikacji: broszura *Emilia Szaniecka 1804-1896* (Poznań 1984) oraz biogram bohaterki zamieszczony w tomie 36 *Polskiego słownika biograficznego*. Postać Szanieckiej uwzględnił również Witold Jakóbczyk w swej książce *Zasłużeni Wielkopolskie XIX wieku* (Warszawa 1987).

Równie obszerne, co różnorodne i rozproszone są materiały źródłowe dotyczące Szanieckiej. Są to przede wszystkim jej i do niej kierowane listy, przechowywane w zbiorach Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Biblioteki Kórnickiej PAN, Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Miejskiej Biblioteki im. Raczyńskich, Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu i w zbiorach prywatnych. W poznańskim Archiwum Państwowym zachowała się częściowa dokumentacja majątków Szanieckiej z notatkami właścicielki, a w Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu – metryka chrztu panny Emilii.

Pamiętników Szaniecka nie napisała, lecz zbliżoną wartość mają notatki sporządzone z jej relacji przez Irenę Stablewską, opublikowane w „Kraju i Świecie” – tygodniowym dodatku ilustrowanym „Gazety Powszechnej” nr 17/18 z 1926 roku. Owa „Iry” (jak czasem podpisywała swe teksty), wnuczka Korduli i Karola Stablewskich, była

wielce zaangażowaną propagatorką postaci ciotecznej babki. Ona to napisała większość tekstów do wspomnianego numeru „Kraju i Świata”, była też autorką wspomnienia pośmiertnego o Szanieckiej, zamieszczonego w tomie 19 *Złotej księgi szlachty polskiej* Teodora Żychlińskiego (Poznań 1896; w tym samym tomie znajduje się tablica genealogiczna rodziny Emilii Szanieckiej, z linii Jerzego z Łagowca Szanieckiego).

Charakter źródłowy mają również liczne wzmianki prasowe o Szanieckiej, zamieszczane głównie na łamach „Dziennika Poznańskiego”, „Wiadomości Literackich” i „Kuriera Poznańskiego”. Dotyczy to zwłaszcza korespondencji panny Emilii, opublikowanej przez Adama M. Skalkowskiego i Romanę Dediową – tu wypada zwrócić uwagę na szczegółowe wskazówki zawarte w tomie I *Bibliografii historii Wielkopolski* opracowanej przez Andrzeja Wojtkowskiego (Poznań 1938, 1995, s. 217) oraz w biogramie Szanieckiej w *Polskim słowniku biograficznym* i w *Wielkopolskim słowniku biograficznym*; wiele z tych pozycji, nie zawsze jednak dokładnie, wymienia D. Wawrzykowska-Wierciochowa w swej monografii.

Warto zajrzeć również do napisanego z dużą dozą elegancji, choć nie zawsze pochwalnie wspomnienia pośmiertnego o Szanieckiej autorstwa Kazimierza Morawskiego („Przegląd Polski” 1897, tom 125). Swoistym wspomnieniem jest również wiersz Teofila Lenartowicza *Siostra szpitalna* zadedykowany Szanieckiej; źródłem do oceny ducha epoki – także opublikowany w 1849 roku tekst dramatu Maurycego Manna *Sztuka i miłość* oraz biogram Szanieckiej napisany przez Wawrzyńca Benzelstierne-Engeströma w *Albumie biograficznym zasłużonych Polaków i Polek w XIX w.* (Warszawa 1903).

Interesująco mało wzmianek na temat Szanieckiej zawierają dwa główne pamiętniki kobiece z Wielkopolski XIX wieku: bardzo rzeczowy i konkretny *Dziennik* Bibiany Moraczewskiej, wydany przez Ludwikę Dobrzyńską-Rybicką w 1911 roku, i dla odmiany nieco przegadane *Pamiętniki* Bogusławy z Dąbrowskich Mańkowskiej, córki generała Jana Henryka, a siostry Bronisława – powstańca z 1848 roku (Poznań 1880-1883). Możliwe, że wstrzeźliwość ta wynikała z charakteru pierwszej z pań i z faktu życia jeszcze Szanieckiej, gdy Dąbrowska oddawała swoje wspomnienia do druku.

Natomiast bogatą kopalnią wiedzy o panie Emilii i jej epoce są niezrównane *Przechadzki po mieście* Marcelego Mottego (Warszawa

1957) oraz dwa pierwsze tomy monumentalnego dzieła Stanisława Karwowskiego *Historia Wielkiego Księstwa Poznańskiego* (Poznań 1918 - 1919, Warszawa 1981).

Jakie pamiątki pozostały po panie Emilii? Jest ich niewiele. Nie dotrwał do naszych czasów dwór Szanieckich w Brodach, ale ocalał drewniany kościół, w którym była chrzczona. Zachowały się, choć w nie najlepszym stanie, pałac w Wąsowie oraz pałacyk panny Emilii i szpitalik w Pakosławiu. W Michorzewie starannie utrzymany jest grób Szanieckiej, na północnej ścianie kościoła zaś znajduje się tablica pamiątkowa poświęcona Anastazji ze Skórczewskich Szanieckiej – babce panny Emilii.

Emilia Szaniecka była także jedną z bohaterek trzeciego i czwartego odcinka telewizyjnego serialu *Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy* w reżyserii Jerzego Sztwiertni; jej rolę kreowała Joanna Sobieska. Autor scenariusza, Stefan Bratkowski, ułokował pannę Emilię w tle innych czołowych postaci Wielkopolski tamtych czasów, z wyraźnym podtekstem jej znajomości z Karolem Marcinkowskim, ale nieco bezbarwnie.

W zbiorach Muzeum Sztuk Użytkowych na Górze Przemysława w Poznaniu znajduje się zestaw mebli (kanapka i sześć fotelików w stylu klasycystycznym), według tradycji pochodzących z pokoju Emilii Szanieckiej. Fotografie panny Emilii i jej współpracowniczek przechowywane są i eksponowane w Muzeum Historii Poznania.

W murze otaczającym cmentarz przy kościele św. Wojciecha w Poznaniu jest epitafium Emilii Szanieckiej, ufundowane przez Wielkopolanki w 1898 roku. Natomiast szczególnie uroczyście upamiętniono pannę Emilię w Nowym Tomysłu, a także w Pniewach, gdzie w wyniku reorganizacji placówek oświatowych jej imię nosi aż kilka szkół szczebla średniego; przed gmachem liceum ogólnokształcącego (dawny pałacem Szoldrskich-Massenbachów) stoi efektowne popiersie patronki szkoły. Imię Emilii Szanieckiej nadano także ulicy w Poznaniu (na Łazarzu) oraz gimnazjum żeńskiemu w Łodzi.

SPIS ILUSTRACJI

1. Emilia Sczaniecka około 1827 roku. Pocztówka sprzed I wojny światowej Wydawnictwa Malarzy Polskich w Krakowie według portretu Fabiana Sarneckiego	21
2. Karol Marcinkowski (1800-1846). Z litografii współczesnej rysował X. Pillati	25
3. Klaudyna Potocka (1801 - 1836). Według J. Straszewicza, <i>Les Polonais et les Polonaises de la Révolution du 29 Novembre 1830</i> , Paris 1832	41
4. Lazaret Poznański w pałacu Łubieńskich w Warszawie w 1831 roku. Z: D. Wawrzykowska-Wierciochowa, <i>Emilia Sczaniecka</i> , Warszawa 1970	47
5. Szpitalik założony przez Emilię Sczaniecką w Pakosławiu. Stan z 1995 roku. Fot. P. Anders	71
6. Widok Bazaru przed rozbudową (przełom XIX i XX wieku). Repr. E. Tomkowiak	83
7. Pałac Emilii Sczanieckiej w Pakosławiu. Stan z 1995 roku. Fot. P. Anders	87
8. Autograf Emilii Sczanieckiej. Adnotacja na dokumencie finansowym z 16 maja 1840 roku. Zbiory prywatne	91
9. Karol Stablewski, mąż siostry Emilii Sczanieckiej, Korduli. Repr. E. Tomkowiak	100
10. Joachim Lelewel (1785 - 1861). Z: J. Straszewicz, <i>Les Polonais et les Polonai- ses...</i>	102
11. Ludwik Mierosławski (1814-1878). Z: D. Wawrzykowska-Wierciochowa, <i>Emilia Sczaniecka...</i>	106
12. Pierwsza strona „Instrukcji dla siostr Komitetu Opieki nad Rannymi” z 1848 roku. Zbiory PTPN	130
13. Doktor Teofil Matecki u schyłku życia. Ze zbiorów Biblioteki PTPN	132
14. Szpital w jednym z dworów wielkopolskich w 1848 roku. Z: D. Wawrzykow- ska-Wierciochowa, <i>Emilia Sczaniecka...</i>	135
15. Wnętrze pokoju Emilii Sczanieckiej. Z: H. Łuczakówna, <i>Emilia Sczaniecka</i> . Poznań 1930	145
16. Pałac Sczanieckich w Wąsowie. Stan z 1992 roku. Fot. M. Rezler	146
17. Bibiana Moraczewska (1811 - 1887). Zbiory Muzeum Narodowego w Poz- naniu. Repr. B. Drzewiecka	148
18. Emilia Sczaniecka w późnym wieku. Z: H. Łuczakówna, <i>Emilia Sczanie- cka...</i>	171

19. Okolicznościowa pocztówka wydana po śmierci Emilii Szanieckiej (tekst pisany ręką Anieli Tułodzieckiej). Zbiory Biblioteki im. Edwarda Raczyńskiego w Poznaniu	178
20. Grób Emilii Szanieckiej w Michorzewie. Fot. M. Rezler	181
21. Popiersie Emilii Szanieckiej w Pniewach. Fot. z 1995 roku. Fot. M. Rezler	182
22. Epitafium Emilii Szanieckiej w ogrodzeniu cmentarza przy kościele św. Wojciecha w Poznaniu. Stan obecny. Fot. M. Rezler	183
23. Pocztówka z serii „Wielcy i sławni ludzie Polski” z portretem Emilii Szanieckiej (1903? r.). Zbiory Muzeum Narodowego w Poznaniu. Repr. B. Drzewiecka	184

SPIS TREŚCI

Wstęp	5
Rozdział I. Młodość i pierwsze doświadczenia	9
Rozdział II. Emilia Sczaniecka podczas wojny polsko-rosyjskiej 1831 roku	29
Rozdział III. Działalność patriotyczna i charytatywna w latach 1831 - 1844	57
Rozdział IV. Próby powstańcze i Wiosna Ludów 1848 roku .	110
Rozdział V. W przeddzień i w trakcie powstania styczniowego .	140
Rozdział VI. Ostatnie trzydziestolecie 1864 - 1896	166
Wskazówki bibliograficzne	186
Spis ilustracji	190



